



# NIE WYMACHUJ MI TYM GNATEM

„Diabelskie połączenie  
P.G. Wodehouse’a  
i Iana Fleminga”.

*New Yorker*

Kyrił Bonfigliovi

I CZĘŚĆ SERII BEZWSTYDNY MORTDECAI



# NIE WYMACHUJ MI TYM GNATEM

Kyrii Bonfigliovi

Przełożyła Magdalena Słysz

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2015

Tytuł oryginału  
DON'T POINT THAT THING AT ME

Redakcja  
Mirosław Grabowski

Projekt okładki  
© Luke Pearson

Korekta  
Igor Mazur

Copyright © the Estate of Kyril Bonfiglioli, 1972  
All rights reserved.  
The moral right of the copyright holders has been asserted.  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca,  
2015

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-078-2

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

[sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

## Od tłumaczki

Przekład powieści Kyrila Bonfigliolego, zwłaszcza po przeszło trzydziestu latach od ich powstania, to prawdziwe wyzwanie i nie chodzi tylko o absurdalny, surrealistyczny humor czy zamierzone błędy językowe. Akcja cyklu o Mortdecaiu jest osadzona w Wielkiej Brytanii lat siedemdziesiątych i nawiązania do ówczesnych realiów, postaci i wydarzeń oraz tradycji historycznych i literackich nie zawsze są dla polskiego czytelnika zrozumiałe. Jednak starając się nie obciążać tekstu, nie zarzynać dowcipów i nie psuć przyjemności z lektury, postanowiłam zamieścić tylko niezbędne w moim przekonaniu przypisy, żeby w jak największym stopniu pozwolić Państwu samodzielnie rozszyfrowywać aluzje, podążać podsuwanymi przez autora fałszywymi tropami i odnajdować te prawdziwe.

M.S.

Wszystkie motto pochodzą z twórczości Roberta Browninga, oprócz jednego, ewidentnej podróbki.

To nie jest powieść autobiograficzna; opowiada o innym korpulentnym, rozwiązłym, niemoralnym marszandzie w średnim wieku. Pozostali bohaterowie też są fikcyjni, zwłaszcza pani Spon, ale miejsca wydarzeń w przeważającej części – autentyczne.

# 1

Takie dawne dzieje i nie umieć ich lepiej opowiedzieć?

*Pippa przechodzi*, przeł. Jan Kasprówicz

Kiedy palisz starą drewnianą ramkę na zdjęcie, wydaje stłumiony nobliwy syk – złożone liście nadają płomieniom wspaniałą pawę, niebieskozielony odcień. W środę wieczorem z zadowoleniem obserwowałem ten efekt, kiedy przyszedł do mnie Martland. Zadzwoił do drzwi trzykrotnie, bardzo niecierpliwie, jak władczy człowiek, któremu się spieszy. Właściwie się go spodziewałem, gdy więc ten łotr Jock ze znacząco uniesionymi brwiami wsadził głowę do salonu, mogłem powiedzieć z niejaką pewnością siebie:

– Wprowadź go.

W jednej ze swoich ulubionych szmir Martland wyczytał, że otyli mężczyźni poruszają się z zadziwiającą lekkością i gracją; w rezultacie chodzi trochę tak jak tłusty elf, który liczy, że dzięki temu zostanie dostrzeżony przez krasnalą. Kiedy tak kroczył, milczący, podobny do kota i cały absurdalny, jego pośladki trzęsły się bezgłośnie.

– Nie wstawaj – rzucił ironicznie, spostrzegłszy, że wcale nie mam takiego zamiaru. – Sam się obsłużę, jeśli nie masz nic przeciwko.

Ignorując bardziej nęcące butelki na tacy do drinków, bezbłędnie wydobył spod niej wielką karafkę Rodneya i nalał sobie sporą ilość, sądząc, że to mój taylor rocznik trzydziesty pierwszy. Punkt dla mnie, ponieważ wlałem tam niewiarygodnie podłe porto. On jednak wcale się nie zorientował: drugi punkt dla mnie. Oczywiście, przecież to tylko policjant. Może już nawet były.

Usadził swój masywny tyłek na moim małym *Régence fauteuil* i cmoknął uprzejmie, delektując się szkarłatnym sikaczem, który miał w szklaneczce. Niemal słyszałem, jak wysila mózg, żeby wymyślić zgrabne lekkie zagajenie. Ten jego rys Oscara Wilde’a... Martland łączy w sobie dwie osobowości: Wilde’a i Kłapouchego. Niemniej jest bardzo niebezpiecznym i bezwzględnym policjantem. Może już „byłym” ... czy to mówiłem?

– Mój drogi staruszkule – odezwał się w końcu – taka ostentacja! Teraz nawet twoje drewno na opał jest złocone.

– To była stara ramka – odparłem wprost. – Pomyślałem, że ją spalę.

– Nie szkoda? Taki ładny rzeźbiony *louis seize*...

– Cholernie dobrze wiesz, że to nie jest żaden ludwik któryś tam – warknąłem. – To podróbka



chippendale'owskiego wzoru pnącej winnej latorośli, wykonana tydzień temu w jednej z tych firm przy Greyhound Road. Dodatek do obrazu, który ostatnio kupiłem.

Zawsze trudno przewidzieć, na czym Martland może się znać, a na czym nie, ale czułem, że jeśli chodzi o antyczne ramki, mogę blefować bezpiecznie; nawet Martland by się nie zapisał na poświęcony im kurs, pomyślałem.

– Byłoby ciekawie, musisz przyznać, gdyby się okazało, że to naprawdę był ludwik szesnasty. Powiedzmy, pięćdziesiąt na sto dziesięć centymetrów – mruknął, patrząc w zamyśleniu na dopalające się w kominku resztki.

W tym momencie wszedł ten łotr Jock, dorzucił do kominka ze dwadzieścia funtów węgla i uśmiechnąwszy się uprzejmie do Martlanda, opuścił pokój. Uprzejmy uśmiech w jego wydaniu to uniesienie górnej wargi i odsłonięcie długich jak u psa, żółtych zębów. Mnie ten widok przeraża.

– Posłuchaj, Martland – powiedziałem spokojnie. – Jeżeli myślisz, że ukradłem albo upłynniłem tego Goyę, to chyba nie sądzisz, na miłość boską, że przyniósłbym go tutaj w ramie? A potem spaliłbym ją we własnym kominku. Przecież nie jestem idiotą, no nie?

Wydał pełen zakłopotania przeczący odgłos, mający oznaczać, że wcale nie miał na myśli cennego Goi,

którego kradzież w Madrycie od pięciu dni nie schodziła z łamów gazet. Dla lepszego efektu machnął rękami, wylewając trochę rzekomo zacnego trunku na dywanik.

– To dywan z Savonnerie – rzuciłem szorstko – bardzo drogi. Porto mu nie służy. Co więcej, pod nim pewnie spoczywa, sprytnie ukryty, bezcenny obraz starego mistrza. Jemu porto na pewno dobrze nie robi.

Popatrzył na mnie z nienawiścią, wiedząc, że to może być prawda. Odpowiedziałem skromnym spojrzeniem, wiedząc, że to **jest** prawda. W mroku za drzwiami ten łotr Jock uśmiechał się najuprzejmiej, jak umiał. Przypadkowy obserwator mógłby uznać, że wszyscy jesteśmy zadowoleni, ale takiego obserwatora w okolicy nie było.

Na tym etapie, zanim ktoś pomyśli, że Martland jest – albo był – tępym gamoniem, lepiej przedstawię całą historię. Na pewno wiecie, że angielscy policjanci nigdy nie noszą przy sobie broni – chyba że w wyjątkowych okolicznościach – oprócz tradycyjnej drewnianej pałki zwanej kukiełką. Wiecie, że nigdy nie są nieuprzejmi i nie uciekają się do przemocy – nie śmią nawet stłuc po tyłkach chłopców, którzy podkradają jabłka, a to ze strachu przed oskarżeniem o napaść, oficjalnym śledztwem i Amnesty International.

Jesteście tego pewni, bo nigdy nie słyszeliście o Special Powers Group – w skrócie SPG – czyli o zewnętrznym oddziale policji powołanym przez

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w obliczu przykrych faktów po wielkim napadzie na pociąg. Powstał z rozporządzenia królewskiego i dysponuje tak zwanym tajnym pełnomocnictwem ministra spraw wewnętrznych oraz jednego z jego urzędników, z tych bardziej stałych niż mniej. Podobno regulamin oddziału liczy pięć stron i co trzy miesiące musi być podpisywany od nowa. Powtarza się w nim jak refren to, że do SPG można przyjmować jedynie najsympatyczniejszych i najbardziej zrównoważonych facetów, ale gdy już zostaną przyjęci, należy im puszczać płazem wszelkie zabójstwa – co najmniej – dopóki tylko są skuteczni. Ma nie być więcej takich spraw jak napad na pociąg, nawet gdyby to oznaczało – broń Boże! – likwidację kilku gości bez wcześniejszych kosztownych procesów sądowych. (Dotąd pozwoliło to już zaoszczędzić fortunę na honorariach dla ławników). Wszystkie gazety, nawet należące do Australijczyków, zawarły z MSW umowę, na mocy której dostają gorące jeszcze materiały prosto z szamba w zamian za odsiewanie wzmianek o użyciu broni i torturach. Czarujące.

SPG – czy Spółgę, jak na nią podobno mówią – nic nie może łączyć z administracją państwową, oprócz jednego ogniwa: przerażonego człowieka w Ministerstwie Finansów. A w wydanym oddziałowi pełnomocnictwie nakazuje się – nakazuje, proszę państwa – żeby komendanci policji udzielali jego członkom „wszelkiej pomocy bez dyscyplinarnych

zobowiązań czy biurokratycznych utrudnień”. Regularne siły policyjne oczywiście uwielbiają ten passus. SPG odpowiada wyłącznie przed premierem Jej Królewskiej Mości poprzez prokuratora generalnego, który ma tytuł hrabiowski, należy do Tajnej Rady Królewskiej i późnym wieczorem kręci się w pobliżu toalet publicznych.

Obecny dowódca jednostki to były pułkownik wojsk spadochronowych, mój dawny kolega szkolny. Otrzymał dziwnie brzmiącą rangę supernadinspektora. To bardzo zdolny facet nazwiskiem Martland. Lubi, i to bardzo, sprawiać ludziom ból.

W tym lub innym momencie na pewno chętnie by mi ten ból sprawił, ot tak, dla dobra śledztwa, ale Jock kręcił się pod drzwiami pokoju, bekając dyskretnie co jakiś czas, aby mi przypomnieć, że jeśli trzeba, jest na każde wezwanie. Jock to swego rodzaju przeciwieństwo Jeevesa <sup>1</sup>: milczący, zaradny i nawet pełen szacunku, kiedy ma na to ochotę, ale jakby cały czas na bani, wierzcie mi, i zawsze skłonny dać po mordzie. W dzisiejszych czasach nie można zajmować się handlem dziełami sztuki, nie mając przy boku łotra, a Jock jest jednym z najlepszych w tym fachu. To znaczy był.

Przedstawiwszy Jocka – nie pamiętam jego nazwiska, ale chyba miał je po matce – powinienem, jak się zdaje, podać także kilka informacji o sobie. Nazywam się Charlie Mortdecai. Naprawdę dostałem na chrzcie imię

Charlie; zdaje się, że moja matka z jakichś tajemniczych powodów chciała w ten sposób dopieć ojcu. Z nazwiska Mortdecai jestem bardzo zadowolony: odrobina starożytności, domieszka żydostwa, lekki powiew zepsucia – na litość boską, żaden kolekcjoner nie może się oprzeć pragnieniu zwarcia miecza z marszandem, który tak się nazywa. Jestem w kwiecie wieku, jeśli to cokolwiek wam mówi, ledwie przeciętnego wzrostu, niestety mam pewną nadwagę tudzież intrygujące resztki dość dawnej efektownej urody. (Czasami, w przyćmionym świetle, z wciągniętym brzuchem, mógłbym nawet wpaść w oko samemu sobie). Lubię sztukę, pieniądze, sprośne dowcipy i alkohol. Bardzo dobrze mi się wiedzie. W nie najgorszej drugorzędnej szkole prywatnej, do której uczęszczałem, odkryłem, że prawie każdy może wygrać w walce, jeśli tylko potrafi wsadzić przeciwnikowi palec w oko. Większość ludzi nie jest w stanie się na to zdobyć, wicie?

Co więcej, mam tytuł *honourable*, ponieważ spłodził mnie Bernard, pierwszy baron Mortdecai z Silverdale w hrabstwie-palatynie Lancaster. Tata był drugim co do znaczenia marszandem w kraju; zatrął sobie życie, próbując przebić pod względem cen Duveena <sup>2</sup>. Oficjalnie dostał tytuł barona za to, że ofiarował narodowi dzieła sztuki warte jedną trzecią miliona funtów, porządne, ale nie do sprzedania, choć tak naprawdę za to, że zapomniał o czymś wstydlwym, co wiedział na czyjś temat. Jego wspomnienia mają zostać

wydane po śmierci mojego brata, powiedzmy w kwietniu, przy odrobinie szczęścia. Gorąco polecam ich lekturę.

Tymczasem w nędznej siedzibie Mortdecaia stary wyjadacz Martland był wyraźnie niezadowolony – albo tylko udawał. Okropny z niego aktor, ale kiedy nie gra, też jest nie do zniesienia, więc trudno powiedzieć, czy się zgrywa, czy nie, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Och, daj spokój, Charlie – powiedział z rozdrażnieniem.

Znowu nieznacznie uniosłem brew, aby dać mu do zrozumienia, że nie chodzimy już do szkoły.

– „Przestań”? Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem.

– Skończmy z tą zabawą w kotka i myszkę.

Przyszły mi głowy trzy cięte riposty na tę propozycję, ale stwierdziłem, że taka rozmowa mnie nie nęci. Czasami mam ochotę na słowną szermierkę z Martlandem, ale to nie była jedna z tych chwil.

– Co według ciebie mógłbym dać ci z tego, co mógłbyś chcieć? – zapytałem rzeczowo.

– Jakąkolwiek wskazówkę w sprawie kradzieży Goi – odparł z przygnębieniem, głosem Kłapouchego.

Spojrzałem na niego lodowato spod uniesionej brwi.

Skulił się trochę.

– Są pewne względy dyplomatyczne, rozumiesz – jęknął cicho.

– Tak – odrzekłem z pewną satysfakcją – domyślam

się tego.

– Tylko jedno nazwisko albo adres, Charlie. Naprawdę cokolwiek. Musiałeś coś słyszeć.

– A jak się ma do tego stare *cui bono*? – rzuciłem. – Gdzie ta sławna marchewka? Czy może znowu chcesz się powołać na dawne szkolne czasy?

– Mógłbyś zyskać spokój, nikt by ci nie zawracał głowy, Charlie. Chyba że, oczywiście, sam maczałeś palce w tej kradzieży.

Zastanowiłem się nad tym ostentacyjnie, żeby nie okazać zbytnej skwapliwości, i pociągnąłem ze swojej szklanki łyk prawdziwego taylora rocznik trzydziesty pierwszy.

– Dobrze – odezwałem się w końcu. – Facet z National Gallery, w średnim wieku, wulgarny, niejaki Jim Turner.

Martland radośnie wyjął długopis i zaczął notować w policyjnym notesie.

– Pełne imię i nazwisko? – zapytał energicznie.

– James Mallord William.

Już miał to zapisać, ale zastygł w bezruchu i łypnął na mnie złym okiem.

– Tysiąc siedemset siedemdziesiąt pięć, tysiąc osiemset pięćdziesiąt jeden – rzuciłem. – Stale podkradał od Goi. Ale staruszek Goya też uprawiał plagiat, nieprawdaż?

Nigdy w życiu tak bardzo nie zaryzykowałem ciosu w twarz. Na szczęście dla pozostałości mojego

patrycjuszowskiego profilu do salonu wszedł Jock, trzymając przed sobą odbiornik telewizyjny, niczym bezwstydną panną w ciąży obnosząca się ze swoim brzuchem.

Martland postawił na rozsądek.

– Ha, ha – odparł grzecznie i odłożył notes.

– Dziś środa, rozumiesz – wyjaśniłem.

– ?

– Zapasy. W telewizji. Jock i ja zawsze je oglądamy. W zawodach bierze udział wielu jego kumpli. Może zostaniesz i obejrzysz z nami?

– Dobrej nocy – odrzekł Martland.

Przez prawie godzinę Jock i ja – oraz taśmy magnetofonowe SPG – raczyliśmy się postękiwaniami i rykami asów catchweightu i zdumiewająco rzeczowym komentarzem pana Kenta Waltona, jedyne go człowieka naprawdę dobrego w swojej robocie, jaki przychodzi mi do głowy.

– Ten facet jest zdumiewająco rzeczowy – rzuciłem do Jocka.

– No. Minutę temu myślałem, że urwie tamtemu ucho.

– Nie, Jock, nie Pallo. Kent Walton.

– A ja myślałem, że Pallo.

– Nieważne, Jock.

– W porządku, panie Charlie.

To było wspaniałe widowisko: wszyscy zawodnicy oszukiwali bezwstydnie, sędzia ani razu ich na tym nie



przyłapał, choć ci dobrzy zawsze zwyciężają przez powalenie amerykańskie w ostatniej minucie. Chyba że walczy Pallo. To takie satysfakcjonujące. Satysfakcjonująca była także myśl, że wszyscy ci młodzi karierowicze z policji sprawdzali, pewnie już nawet w tej chwili, każdy obraz Turnera w National Gallery. A jest ich tam niemało. Martland był na tyle bystry, aby wiedzieć, że nie spłatałbym mu takiego figla tylko po to, żeby się z niego ponabijać: niewątpliwie dopilnuje, żeby sprawdzono każdego Turnera. I jego ludzie niewątpliwie znajdą zatkniętą za którymś z nich kopertę. A w niej – niewątpliwie – jedno z tych zdjęć.

Kiedy zakończyła się ostatnia walka – tym razem z dramatyczną roladą od tyłu – Jock i ja napiliśmy się razem whisky, jak to mamy w zwyczaju po obejrzeniu zawodów. Ja strzeliłem sobie red hackle'a de luxe, a Jock – johnny'ego walkera. Preferuje ten gatunek, a poza tym zna swoje miejsce. Do tego czasu, oczywiście, zdążyliśmy już zdjąć mały mikrofon, który Martland od niechcienia umieścił pod siedziskiem fotela. (Potem siedział na nim Jock, więc na taśmę nagrały się nie tylko zapasy, ale także różne inne mało eleganckie odgłosy). Jock, ze swoją niezrównaną wyobraźnią, wrzucił pluskwę do szklanki, nalał do niej wody i dodał alka-seltzer. Po czym zaczął śmiać się w kułak – zaiste nieprzyjemny widok i dźwięk.

– Uspokój się, Jock – skarciłem go – mamy robotę do wykonania. *Que hodie non est, eras erit* <sup>3</sup>, co znaczy, że

jutro w południe spodziewam się aresztowania. Musi dojść do niego w parku, o ile tylko zdołam urządzić scenę, jeśli uznam to za stosowne. Zaraz potem mieszkanie zostanie przeszukane. Nie powinno cię tu być, tak samo jak wiesz czego. Schowaj to w dachu mgb, pod płótnem, postaw dach i jedź do warsztatu Spinozy. Przekaż samochód bezpośrednio jemu. Bądź tam punkt ósma. Rozumiesz?

– Ano tak, panie Charlie.

Powłókł się holem do swojego pokoju, gdzie wciąż chichotał i z zadowoleniem puszczał bąki. Jego pokój to czyste, skromnie urządzone, pełne świeżego powietrza pomieszczenie; żaden ojciec nie mógłby sobie życzyć niczego lepszego dla swojego małego skauta. Na jednej ze ścian wisi plansza z odznakami skautowskimi i stopniami wojskowymi w armii brytyjskiej; na szafce przy łóżku stoi oprawiona w ramki fotografia Shirley Temple, a na komodzie – model galeonu, jeszcze nie całkiem skończony, a do tego równiutki plik czasopism „Motor Cycle”. Wydaje mi się, że kiedyś Jock używał sosnowego środka dezynfekcyjnego jako płynu po goleniu.

Mój pokój z kolei stanowi dość wierną rekonstrukcję sypialni kurtyzany z okresu dyrektoriatu. Dla mnie jest pełen uroczych wspomnień, choć tobie, czytelniku – męskiemu Brytyjczykowi – na jego widok pewnie zrobiłoby się niedobrze. Ale co tam!

Zapadłem w przyjemny sen, pozbawiony marzeń, bo

nie ma to jak zapasy, żeby oczyścić duszę litością i zgrozą; to jedyne katharsis godne tej nazwy. I nie ma to jak sen niesprawiedliwego.

To była środowa noc i nikt mnie nie budził.

## 2

Jestem człowiekiem, widzisz? Nie zaprzeczaj:  
Zwierzęta żyją wszak po zwierzęcemu.  
Założmy, że mam ogon i pazury.  
To ujma dla człowieka – ja z lwią dumą  
Będę je co dzień nosił, i niech małpy  
Ciosają drwa, przyodziewają zadki.  
Nie chcę się stwarzać na nowo, lecz raczej  
Wziąć co najlepsze z tego, co Bóg stworzył...  
Jeśli upiększyć mam swój dom na nowo,  
Niech nad tą klatką nie zabraknie słomy.

*Apologia biskupa Blougrama, przeł. Grzegorz Uzdanski*

Nikt mnie nie budził aż do godziny dziesiątej pięknego letniego ranka. Wtedy to do pokoju wszedł Jock z herbatą i kanarkiem, który swoim zwyczajem śpiewał jak najęty. Powiedziałem im obu dzień dobry; Jock woli, żebym to ja witał kanarka, więc w tak małej sprawie mogę mu wyświadczyć tę uprzejmość.

– „Ach – dodałem – stary dobry kojący ulung albo lapsang!”

– Że co?

– „Przynieś mi mój parasol, najbardziej żółte buty i stary zielony kapelusz – cytowałem dalej. – Idę do

parku na wiejską zabawę”.

– Że co?

– Och, mniejsza o to, Jock. To słowa Bertrama Woostera, nie moje.

Często mam wrażenie, że Jock powinien zacząć grać w squasha. Byłby świetny jako ściana.

– Odstawiłeś wóz, Jock?

– Uhm.

– Świetnie. Wszystko w porządku? – Było to, oczywiście, głupie pytanie i, oczywiście, od razu pożałowałem, że mi się wyrwało.

– Uhm. Ale... eee... to co pan wie było trochę za duże i nie mieściło się pod plandeką, więc musiałem je trochę z brzegu przyciąć.

– Chyba nie przyciąłeś wiesz czego, Jock...

– Nie ma strachu, panie Charlie, tak tylko sobie zażartowałem.

– Och, to dobrze, Jock. Bardzo się cieszę. Czy pan Spinoza coś mówił?

– Uhm, powiedział brzydkie słowo.

– A tak, wyobrażam sobie.

– No właśnie.

Potem czekała mnie codzienna *Schrecklichkeit* porannego wstawania z łóżka. Przy okazjonalnej pomocy Jocka ostrożnie przeszedłem od prysznic do golenia, od deksedryny do nieznośnej decyzji w sprawie krawata, żeby wreszcie, czterdzieści minut później, dobrnąć bezpiecznie do celu, jaki stanowiło śniadanie,

jedynie śniadanie godne tego miana, śniadanie *du cheminot*, wielka filiżanka kawy wzbogacona, przyozdobiona i udekorowana rumem. Byłem już na nogach. Bez rzygania. Ślimak znalazł się w igłach sosny, żeby wymienić choć jedno <sup>4</sup>.

– Chyba nie mamy zielonego kapelusza, panie Charlie.

– W porządku, Jock.

– Mógłbym posłać małą odźwiernego do Locka, jeśli pan chce...

– Nie, wszystko w porządku, Jock.

– Poszłaby za pół korony.

– Nie, wszystko w najlepszym porządku, Jock.

– Dobrze, panie Charlie.

– Musisz za dziesięć minut zniknąć z mieszkania, Jock. Nie powinna tu zostać żadna broń ani nic takiego. Włącz wszystkie alarmy. Włóż film do foto-rekordy i nastaw aparat... no wiesz.

– Tak, wiem.

– Tak – potwierdziłem, opatrując to słowo, jak przystało na lingwistycznego snoba, dodatkowymi cudzysłowami.

Wyobraźcie sobie potem waszego korpulentnego zbereźnika, jak podąża Upper Brook Street (środkowy Londyn), zmierzając pełną parą w stronę St. James's Park i wielkiej przygody. Wprawdzie z lekko drgającym mięśniami policzka – może i nie bez wspaniałych tradycji – ale na zewnątrz elegancki, opanowany, gotów

kupić bukiet fiołków od pierwszej napotkanej babiny i rzucić jej złotego suwerena; kapitan Hugh Drummond-Mortdecai, mistrz ceremonii pogwizdujący musichallową piosenkę, w jedwabnej bieliźnie wążającej między starannie wytalkowane pośladki, a niech go!

Oczywiście szli za mną od chwili, kiedy tylko się pojawiłem; no, może nie dokładnie za mną, bo był to „przedni ogon”, bardzo sprawnie wykonany manewr; chłopcy z SPG w końcu mają za sobą roczne szkolenie, na miłość boską. Ale nie zdjęli mnie w południe, tak jak przewidywałem. Chodziłem wzdłuż stawu tam i z powrotem (szepcząc mojemu przyjacielowi pelikanowi niewybaczalne rzeczy), a oni udawali, że oglądają wnętrza swoich niedorzecznych kapeluszy (niewątpliwie naszpikowanych urządzeniami nadawczo-odbiorczymi), i czerwonymi topornymi łapami przekazywali sobie ukradkowe znaki. Już zaczynałem sądzić, że przeceniłem Martlanda, i miałem udać się do Reform Clubu, żeby naciągnąć kogoś na lunch – tamtejszy zimny bufet jest najlepszy na świecie – gdy nagle...

Wreszcie się pojawili. I wzięli mnie między siebie. Potężni, przekonani o swojej słuszności, sprawni, milczący, głupi, bezwzględni, poważni, czujni, skrycie mnie nienawidzący.

Jeden z nich ostrzegawczym gestem położył rękę na moim nadgarstku.

– Ręce przy sobie – powiedziałem drżącym głosem. –

Myślisz, że gdzie jesteś... w Hyde Parku?

– Pan Mortdecai? – warknął rzeczowo.

– Niech pan przestanie na mnie warczeć rzeczowo – zaprotestowałem. – To ja, jak pan doskonale wie.

– W takim razie muszę prosić, żeby poszedł pan z nami.

Popatrzyłem na tego człowieka. Do głowy by mi nie przyszło, że jeszcze się tak mówi. Czy „oniemiałem” to właściwe słowo?

– Że co? – zapytałem, cytując swobodnie Jocka.

– Musi pan pójść z nami, proszę pana. – Działał już całkiem sprawnie, naprawdę wszedł w swoją rolę.

– Dokąd mnie zabieracie?

– A gdzie chciałby pan się udać?

– Cóż... eee... do domu?

– Obawiam się, że to niemożliwe, proszę pana. Nie mamy tam swojego sprzętu, rozumie pan.

– Sprzętu? A tak. Rozumiem. Wielkie nieba! –

Policzyłem uderzenia swojego serca, krwinki i kilka innych niezbędnych do życia rzeczy. Sprzęt. Jasna cholera, przecież Martland i ja chodziliśmy razem do szkoły. Wyraźnie próbowali mnie nastraszyć.

– Wyraźnie próbujecie mnie nastraszyć – rzuciłem.

– Nie, proszę pana. Bynajmniej. Jeszcze nie, proszę pana.

Potrafilibyście wymyślić naprawdę bystrą ripostę na coś takiego? Ja też nie potrafiłem.

– No dobrze. To może do Scotland Yardu? –



odparłem dziarsko, na wiele jednak nie licząc.

– Nie, proszę pana, to nic by nie dało, dobrze pan o tym wie. Oni tam mają naprawdę ciasne horyzonty. Myśleliśmy raczej o Cottage Hospital przy drodze do Esher.

Martland powiedział mi kiedyś, w chwili łaskawości, o Cottage Hospital – który śnił mi się później przez kilka dni.

– O nie, nie, nie, nie, nie, nie! – zawołałem jowialnie.  
– Nie chciałbym, żebyście tak nadkładali drogi.

– Wobec tego – po raz pierwszy odezwał się pan Brzydka Wtyczka II – co pan powie na swój domek na wsi, przy Stoke Poges?

Muszę przyznać, że tu lekko się wzdrygnąłem. Moje życie osobiste stanowi wprawdzie otwartą księgę, ale naprawdę myślałem, że Delicje to schronienie znane jedynie najbliższych przyjaciółom. Nie można go było w żadnym razie nazwać nielegalnym, ale trzymałem tam akcesoria, które inni mogliby uznać za nieco frywolne. Coś w stylu pana Norrisa <sup>5</sup> – chwytacie.

– Wiejski domek? – zripostowałem błyskawicznie. – Wiejskidomek wiejskidomek wiejskidomek?

– A tak, proszę pana – odparł pan Brzydka Wtyczka II.

– Miło i na osobności – dorzucił jego partner.

Po kilku nieudanych próbach zasugerowałem (już nieporuszony, uprzejmy, spokojny), że najlepiej i najprzyjemniej byłoby udać się do Martlanda; to świetny chłop, chodziłem z nim do szkoły. Panowie

chętnie by przyjęli każdą moją propozycję, pod warunkiem że byłaby to właśnie ta, więc niebawem wszyscy trzej wpakowaliśmy się do przypadkiem krążącej po okolicy taksówki i BW II dyskretnie podał kierowcy adres, jakbym nie znał miejsca zamieszkania Martlanda równie dobrze jak własnego numeru podatnika.

– Northampton Park w Canonbury? – zachichotałem.

– Od kiedy to zadupie należy do Canonbury?

Obaj uśmiechnęli do mnie łagodnie. Był to widok niemal równie przykry jak uprzejmy uśmiech Jocka. Temperatura mojego ciała spadła o całe dwa stopnie. Czułem to. Oczywiście Fahrenheita; nie chciałem przesadzać.

– To przecież nawet nie Islington – bełkotałem *diminuendo* – już raczej Newington Green, gdybyście chcieli znać moje zdanie. Bo to doprawdy śmieszne...

Zauważyłem, że w przypadkowo krążącej po okolicy taksówce brakowało kilku typowych elementów, jak choćby cennika, reklam, uchwyty przy drzwiach. Był natomiast radiotelefon i połowa kajdan przytwierdzona łańcuchem do trzpienia z kółkiem w podłodze. Jakby zamilkłem.

Ale oni chyba nie sądzili, że będą im potrzebne kajdany. Siedzieli spokojnie i patrzyli na mnie w zamyśleniu, niemal łagodnie, jak ciotki, które się zastanawiają, co chciałbym na podwieczorek do herbaty.

Zajechaliśmy przed dom Martlanda w chwili, gdy

z Balls Pond Road wytoczył się jego tandetny mini. Zaparkował dość niezdarnie i wypluł Martlanda, wściekłego i przemoczonego do nitki.

Miało to dobrą i złą stronę.

Dobłą, bo oznaczało, że nie mógł brać długo udziału w szturmie na moje mieszkanie. Jock najwyraźniej, zgodnie z instrukcją, włączył wszystkie alarmy i Martland, po mistrzowsku sforsowawszy drzwi frontowe, musiał zostać ogłuszony syreną Byk Baszanu Mk IV i wejść pod natrysk automatycznej instalacji przeciwpożarowej. Co więcej, potem niewątpliwie do tego wszystkiego dołączył się przeraźliwy dzwonek umieszczony niebotycznie wysoko na ścianie od ulicy, a na posterunku policji przy Half Moon Street oraz w siedzibie znanej na skalę międzynarodową firmy ochroniarskiej, którą nazywam „Trzeba Złodzieja na Złodzieja”, zaczęły błyskać lampki alarmowe. W swoim orlim gnieździe, czyli w żyrandolu, włączył się śliczny malutki japoński aparat fotograficzny strzelający klatkę na sekundę, a co najgorsze, po schodach przywlokła się, złorzecząc, moja odrażająca konsjerżka o języku chłozzczącym niczym burski bat.

Jeszcze długo przedtem, zanim zaprzyjaźniłem się z panem Spinozą, poprosił on pewnych swoich przyjaciół, żeby „zabezpieczyli” moje mieszkanie, jak to mówią, więc wiedziałem w zarysie, co się będzie działo. Nieznośny dźwięk dzwonek i syren, nieunikniony prysznic, przerażające starcie potężnych

funkcjonariuszy mobilnej jednostki policji, nieokrzesanych ochroniarzy oraz zwykłych łobuzów i wreszcie przebijający się przez to wszystko obrzydliwy, niewyparzony język konsjerżki, naprawdę nie do wytrzymania. Biedny Martland, pomyślałem z zadowoleniem.

Chyba powinienem wyjaśnić, że:

a) funkcjonariusze SPG nie noszą odznak i starają się nie ujawniać swojej tożsamości zwykłym policjantom, bo czasami ich praca polega na odsiewaniu „niedobrych” gliniarzy;

b) pewni przedstawiciele świata przestępczego ostatnio specjalnie odwalili kilka paskudnych, spapranych „akcji”, udając SPG;

c) tępaki z firmy ochroniarskiej, zanim o cokolwiek spytają, zawsze strzelają z pistoletów na gaz pieprzowy, używają krótkofalówek, gumowych pałek i sprejów z farbą do skór anilinowych tudzież spuszczają dobermanów.

O Boże, ależ musiała być tam jatka! A dzięki malutkiemu aparatowi fotograficznemu całe moje mieszkanie – któremu, muszę powiedzieć, od dawna należy się remont – zostanie pięknie odnowione i urządzone przez panią Spon na cudzy koszt.

I, o Boże, ależ wściekły musiał być Martland!

Owszem, miało to, oczywiście, także złą stronę.

Martland posłał mi jedno zimne spojrzenie, potem bezszelestnie wszedł po schodach (otyli ludzie poruszają

się z zadziwiającą gracją etc.), rzucił klucze, rzucił kapelusz, stanął na nim, a następnie wpuścił nas do domu. Z tego, co mogłem się zorientować, to wszystko nie wróżyło panu Mortdecaiowi niczego dobrego. Brzydka Wtyczka II, przepuszczając mnie w drzwiach, miał tak współczujące spojrzenie, że poczułem, jak śniadanie przelewa mi się w jelicie cienkim. Mężnie zaciskając pośladki, wkroczyłem do środka i z wyrozumiałym uśmieszkiem zlustrowałem pokój, zapewne zwany przez Martlanda salonem. Nie widziałem zasłon w ten deseń, odkąd w czasach młodości uwiodłem dyrektorkę poprawczaka; dywan pochodził z foyer prowincjonalnego kina, a tapeta była w małe srebrnoszare *fleurs-de-lis*. Tak, naprawdę. Wszystko, oczywiście, nieskazitelnie czyste. Można by zjeść cały obiad z podłogi – gdyby zamknąć oczy.

Powiedzieli mi, że mogę usiąść, a właściwie zmusili mnie, abym to zrobił. Czułem, że wątroba, ciężka i obolała, uciska mi serce. Straciłem ochotę na lunch.

Martland tymczasem się przebrał i gdy przyszedł do nas suchutki, znowu był sobą. Gotowy do zabawy.

- No, no, no! – zawołał, zacierając ręce. – No, no.
- Muszę już iść – oznajmiłem stanowczo.
- Nie, nie, nie! – wykrzyknął. – Ależ skąd, dopiero co przyszedłeś. Czego się napijesz?
- Poproszę trochę whisky.
- Świetnie. – Nalał sobie szklankę, ale mnie nie.

Ha, ha, pomyślałem.

– Ha, ha – odważnie powiedziałem na głos.

– Ho, ho – odciął się wyniośle.

Siedzieliśmy w milczeniu przez całe pięć minut; wszyscy wyraźnie czekali, żebym zaczął protestować nerwowo, ale bynajmniej nie miałem takiego zamiaru, chociaż trochę się niepokoiłem, że jeszcze bardziej wkurzę tym Martlanda. A czas płynął powoli. Słyszałem tykanie dużego taniego zegarka w kieszeni kamizelki jednego z Brzydkich Wtyczek, tacy byli staromodni. Za oknem po chodniku przebiegło dziecko imigrantów, wrzeszcząc: „M’Gawa! M’Gawa!”, albo coś podobnego. Martland się odprężył i przywołał na twarz zadowolony uśmiezek gospodarza pięknego domostwa, który siedzi w otoczeniu przyjaciół i bliskich, delektując się porto i ciekawą rozmową. Zapadła pałaca, ciężka cisza, w której było słycać tylko odległy ruch uliczny. Zachciało mi się pójść do toalety. Oni wciąż patrzyli na mnie uprzejmie, z uwagą. Rzeczowo.

Martland w końcu wstał z zadziwiającą gracją etc., położył płytę na talerzu gramofonu i starannie ustawił głośność dużych głośników stereofonicznych firmy Quad. Popłynęła z nich urocza piosenka o przejeżdżających pociągach; wszyscy kupowaliśmy tę płytę, gdy tylko sprawiliśmy sobie pierwszy gramofon stereo. Ten utwór nigdy mi się nie znudzi.

– Maurice – Martland zwrócił się do jednego ze swoich oprychów – mógłbyś przynieść z piwnicy

dwunastowoltowy akumulator samochodowy wysokiego napięcia, który się tam ładuje? A ty, Alanie – ciągnął – bądź tak dobry, zaciągnij zasłony w oknach i opuść panu Mortdecaiowi spodnie, dobrze?

Co można zrobić w takiej sytuacji? Walczyć? Jaka minę przywołać na swą arystokratyczną twarz? Pełną pogardy? Oburzenia? Lekceważącej bez troski? Gdy próbowałem dokonać wyboru, sprawnie pozbawiono mnie bielizny i poczułem już tylko przeraźliwą panikę. Martland taktownie odwrócił się plecami i zaczął wydobywać dodatkowe decybele ze sprzętu stereofonicznego. Maurice – już na zawsze zapamiętam to imię – wetknął pierwszą wtyczkę na miejsce pół minuty przedtem, zanim Martland lubieżnym gestem dał znak, żeby wpiąć drugą. W samą porę, bo pociąg o nazwie „Latający Szkot” przemknął w stereo przez przejazd kolejowy. Dołączyłem się do niego w mono.

To był długi dzień, ciągnął się bez końca. Ale nie zabrało to dużo czasu, muszę przyznać. Wytrzymam wszystko, tylko nie ból; co więcej, myśl, że ktoś krzywdzi mnie specjalnie i nie ma z tego powodu wyrzutów, wydaje się bardzo przygnębiająca. Oprawcy intuicyjnie wyczuli punkt, w którym postanowiłem poprosić o udzielenie pardonu, bo kiedy chwilę później doszedłem do siebie, z powrotem wciągnęli mi spodnie i trzy cale przed moim nosem znalazła się duża szklanka whisky z paciorkowatymi bąbelkami skrzącymi się przy brzegu. Wypiłem alkohol i w tym czasie twarze

wszystkich trzech nabrały mdlącej ostrości. Moi oprawcy sprawiali wrażenie udobruchanych, zadowolonych, a nawet dumnych. Czułem, że są dla mnie pełni uznania.

– Wszystko w porządku, Charlie? – zapytał z troską Martland.

– Muszę iść do toalety – powiedziałem.

– No to pójdziesz, drogi staruszk, pójdziesz. Maurice, pomóż panu M.

Maurice zaprowadził mnie na dół do ubikacji dla dzieci; miały wrócić ze szkoły dopiero za godzinę, jak mi powiedział. Wiewiórki i króliczki Margaret Tarrant <sup>6</sup> podziały na mnie kojąco. Potrzebowałem ukojenia.

Kiedy wróciliśmy do salonu, z gramofonu sączyła się muzyka z *Jeziora łabędziego*, proszę was. Martland jest człowiekiem prostolinijnym; uwodząc panny sklepowe, pewnie nastawia *Bolero* Ravela.

– Powiedz mi o nim wszystko – poprosił łagodnie, niemal pieszczotliwie, z miną baby z Harley Street pokątnie wykonującej skrobanki.

– Boli mnie tylna część ciała – jęknąłem.

– Dobrze, bardzo dobrze – skwitował. – Zdjęcie, Charlie, zdjęcie.

– A tak – odparłem mądrze, kiwając głową – wzdęcie. Daliście mi za dużo whisky na pusty żołądek. No wiecie, nie zdążyłem zjeść lunchu. – Po czym zwróciłem im część tej whisky, i to w dość dramatyczny sposób.



Martland wyglądał na poirytowanego, ale moim zdaniem dzięki mnie jego sofa prezentowała się teraz znacznie lepiej.

Przebrnęliśmy przez następne dwie czy trzy minuty, nie psując zbytnio dopiero co nawiązanych cywilizowanych stosunków. Martland wyjaśnił, że rzeczywiście piętnaście po piątej tego ranka w National Gallery znaleźli za Turnerem zdjęcie. Tkwiło za *Ulissesem drwiącym z Polifema* (numer 508). I ciągnął głosem niczym z sali rozpraw:

– Fotografia przedstawia dwóch obcujących ze sobą dorosłych mężczyzn... tak, obcujących.

– To znaczy odbywających stosunek płciowy?

– Istotnie.

– I jedna z twarzy jest wycięta?

– Obie.

Wstałem i poszedłem po kapelusz. Dwaj obwiesie się nie poruszyli, ale wyglądali na zaniepokojonych. Ja jednak naprawdę nie byłem w formie, żeby dać nura przez okno. Odchyliłem potnik wewnątrz ronda, oderwałem kawałek bukramu i podałem Martlandowi małą owalną fotografię. Popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– No, drogi staruszkule – odezwał się miękko – nie trzymaj nas w napięciu. Kim jest ten dżentelmen?

Tym razem to ja spojrzałem na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Naprawdę nie wiesz?

Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie.

– Teraz jest znacznie bardziej zarośnięty –  
podsunąłem.

Pokręcił głową.

– Niejaki Gloag – powiedziałem. – Z jakichś  
obscenicznych względów znany wśród przyjaciół jako  
Butelka Zwrotna. Sam zrobił to zdjęcie. W Cambridge.

Nagle Martland z niewiadomych powodów wydał mi  
się naprawdę przerażony. Podobnie jak jego kumple,  
którzy podeszli do nas, podając sobie małą fotografię  
z jednej brudnej ręki do drugiej. Potem wszyscy zaczęli  
kiwać głowami, najpierw niepewnie, a później  
z przekonaniem. Wyglądało to dość zabawnie, ale byłem  
zbyt zmęczony, aby się tym delectować.

Martland odwrócił się do mnie, już naprawdę zły.

– No dalej, Mortdecai – powiedział, całkowicie  
zapomniawszy o manierach. – Tym razem lepiej  
wyśpiewaj wszystko od początku do końca. I to szybko,  
zanim stracę cierpliwość.

– A kanapka? – spytałem obojętnie. – Szklanka piwa?

– Później.

– Aha. No dobrze. Otóż Gloag Butelka Zwrotna  
przyszedł do mnie trzy tygodnie temu. Dał mi ten  
fragment swojego zdjęcia i kazał trzymać go  
w bezpiecznym miejscu, bo dla niego to gwarancja  
ochrony, a dla mnie – zdeponowanych w banku  
pieniędzy. Nie chciał zdradzić nic więcej, ale  
wiedziałem, że nie próbuje kantować, bo bał się Jocka.

Zapowiedział, że będzie do mnie dzwonił codziennie i jeśli któregoś dnia tego nie zrobi, to będzie znaczyło, że wpadł w kłopoty; wtedy mam ci powiedzieć, żebyś sprawdził Turnera w National Gallery. To wszystko. Z tego, co wiem, nie ma to nic wspólnego z Goyą... skorzystałem tylko z okazji, żeby podsunąć ci ten trop. Czy Butelka wpadł w tarapaty? Zabraliście go do tego swojego cholernego Cottage Hospital?

Martland nie odpowiedział. Stał tylko i patrzył na mnie, pocierając policzek i wydając przy tym nieprzyjemny, cichy, drapiący odgłos. Niemal słyszałem, jak się zastanawia, czy akumulator pomógłby wydobyć ze mnie więcej. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie: prawdę należało ujawniać w ściśle odmierzonych dawkach, żeby pobudzić zdrowy apetyt na późniejsze kłamstwa.

Może uznał, że mówię prawdę; a może doszedł do wniosku, że na razie ma wystarczająco dużo problemów.

Nie miał jednak pojęcia, ile ich jest.

– Możesz odejść – odparł w końcu.

Wziąłem kapelusz, otrzepałem go i ruszyłem do drzwi.

– „Nie wyjeżdżaj z miasta”? – podsunąłem mu w progu.

– Nie wyjeżdżaj z miasta – potwierdził z roztargnieniem.

Wolałem nie przypominać mu o kanapce.

Musiałem przejść całe mile, zanim złapałem

taksówkę. Miała wszystkie klamki przy drzwiach. Zasnąłem kamiennym snem, snem dobrego, wytrawnego kłamcy. Wielkie nieba, mieszkanie było w strasznym stanie! Zadzwoiłem do pani Spon i powiedziałem, że jestem gotowy na nowy wystrój. Przyjechała przed kolacją i pomogła nam doprowadzić mieszkanie do porządku – sukces jej nie zepsuł – a później spędziliśmy miłą godzinę przed kominkiem, wybierając obicia, tapety i inne rzeczy. Wreszcie zasiedliśmy we troje przy kuchennym stole i zabraliśmy się do jedzenia smażonych mięs i warzyw, jakie niewielu obecnie potrafi przyrządzić.

Kiedy pani Spon wyszła, powiedziałem do Jocka:

– Wiesz co, Jock?

A on odparł:

– Nie, a co?

– Zdaje się, że pan Gloag nie żyje.

– Chciwość – skwitował krótko. – Jak pan myśli, kto go załatwił?

– Chyba pan Martland. Ale najwyraźniej po raz pierwszy żałuje, że to zrobił.

– Jak to?

– A tak. Cóż, dobrej nocy, Jock.

– Dobrej nocy, panie Charlie.

Rozebrałem się i zaaplikowałem na swoje rany nieco więcej Boskiej Pomady. Nagle poczułem się straszliwie zmęczony – zawsze tak się czuję po torturach. Jock włożył mi pod kołdrę termofor, poczwiec. On

rozumie.

### 3

Jednak zwęszyłem w tym pewną złośliwą sztuczkę,  
Z którą – Bóg wie kiedy – już raz się gdzieś spotkałem,  
W jakimś złym śnie może. Tutaj się bowiem kończył  
Marsz naprzód tą drogą. I oto jednocześnie  
Z myślą o odwrocie – jak wtedy – coś tu trzasło  
Niby zamek bramy – i jesteśmy w pułapce!

*Sir Roland pod mroczną wieżą stanął, przeł.* Juliusz Żuławski

Dzień zaświtał dla mnie punkt dziesiąta wraz z jedną z najlepszych filiżanek herbaty, z jakimi kiedykolwiek miałem przyjemność obcować. Kanarek był przy głosie, i to jakim! Ślimak znowu znalazł się wśród igieł sosny i nic nie wskazywało na to, że zamierza stamtąd zejść. Prawie się nie skrzywiłem, kiedy dały o sobie znać bąble po akumulatorze Martlanda, chociaż w pewnym momencie stwierdziłem, że przydałaby mi się gęsia szyja Pantagruela.

Odbyłem długą rozmowę telefoniczną ze swoimi agentami ubezpieczeniowymi. Wyjaśniłem im, jak mogą dobrać się Martlandowi do tyłka za szkody wyrządzone moim wnętrzem, i obiecałem zdjęcia z najścia, gdy tylko Jock je wywoła.

Potem włożyłem cudowny, leciutki wełniany kapelusz z wywiniętym rondem i parę butów z kozłej skóry, stworzonych przez Lobba w przebłysku geniuszu. (Rolę krawata, jeśli dobrze sobie przypominam, spełniał *foulard*, w przeważającej części koloru *merde d'oie*, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego mogłoby to was interesować). Tak odziany – i z obficie posmarowanymi wazeliną bąblami – wyruszyłem do parku, żeby odwiedzić pelikana i innych pierzastych przyjaciół. Wszyscy byli w doskonałej formie. „Pogoda – zdawali się mówić – jest doskonała”. Udzieliłem im swojego błogosławieństwa.

Później przeszedłem się przez dzielnicę marszandów, starając się nie odwracać głowy w stronę wystaw sklepowych – o, przepraszam, witryn galerii – gdy zerkałem na te wszystkie zapuszczone Shayery i Koekkoeki z drugiej ręki. Dobra nasza! Po jakimś czasie, kiedy nabrałem pewności, że nikt mnie nie śledzi, ani z przodu, ani z tyłu (zapamiętajcie, to ważne), zjrzałem do Mason's Yard. Tam też, rzecz jasna, są galerie, ale przede wszystkim zamierzałem odwiedzić pana Spinozę, jedyne marszanda w swoim bardzo specyficznym rodzaju.

Moishe Spinoza Barzilai to w gruncie rzeczy firma Basil Wayne & Co., największy wytwórca dyliżansów, o którym nawet wy, niedokształceni czytelnicy, musieliście słyszeć, chociaż na dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć dziesiątych procent nigdy nie

byłoby was stać na jego wspaniałą blachę, nie mówiąc już o iście książęcej tapicerce. Chyba że, oczywiście, gustujecie w szmatławcach niegodnych waszej pozycji i przypadkiem jesteście hinduskim maharadzą albo właścicielem pól naftowych w Teksasie.

Pan Spinoza produkuje bowiem jedyne w swoim rodzaju nadwozia najwspanialszych samochodów na świecie. Słyszał o Hooperze i Mullinerze <sup>7</sup> i wyraża się o nich łaskawie, choć może trochę wymijająco. Jeśli będzie miał ochotę, wyremontuje albo odtworzy okazynego starego rollsa, infantę albo mercedesa. Zastanowi się nad bugattim, cordem, hironnelle'em i leylandem z rzędownym silnikiem ośmiocylindrowym. Podobnie nad jakimiś trzema innymi markami. Ale poproście go o odpicowanie tandetnego mini, wstawienie do niego srebrnych automatów z prezerwatywami albo zainstalowanie w jaguarze rozkładanych kanap do bzykania, a napluje wam w twarz. Nie żartuję! Najbardziej uwielbia hispano-suizę – „izzera-swizzera”. Nie rozumiem tego, ale cóż.

Bawi się także w przekręty. To dla niego coś w rodzaju hobby. Bo nie potrzebuje pieniędzy.

Obecnie dla mojego najlepszego klienta przerabiał późnawego rolls-royce'a Silver Ghost, którego – niejako przy okazji – przyszedłem obejrzyć. Mój klient Milton Krampf (a owszem) kupił ten samochód od prawdziwego łobuza, który znalazł go na wiejskim podwórzu; wóz, unieruchomiony i zasilający



sieczkarnię oraz krajalnicę do rzepy, miał za sobą długą karierę jako półciążarówka do przewożenia towaru, karawan, kombi, pikap, wspaniały prezent ślubny i mobilna „chata” do bara-bara; w odwrotnej kolejności, naturalnie. Pan Spinoza znalazł do niego sześć idealnych kół artyleryjskich po sto funtów każde, zbudował niezwykle wierną replikę karoserii kabrioletu Roi des Belges i polakierował ją szesnastokrotnie białą królowej Anny, za każdym razem polerując na mokro i na sucho. Właśnie kończył oliwkowozieloną gniecioną tapicerkę Levant Morocco i pucował futrem tchórza śliczne arabeski tworzone przez linie *carrosserie*. Nie robił tego sam, rzecz jasna, bo jest niewidomy. Czy raczej był.

Obszedłem samochód, podziwiając go platonicznie. Nie było sensu go pożądać – to wóz dla bogacza. Musiał spalać galon na siedem mil, co jest całkiem w porządku, jeśli ma się pole naftowe. Milton Krampf jest właścicielem niejednego takiego pola. Ten samochód koniec końców miał go kosztować około dwudziestu czterech tysięcy funtów. Wydanie takiej sumy jest dla niego równie bolesne jak dłubanie w nosie. (Mówi się, że ktoś, kto wie, jak jest bogaty, nie jest wcale bogaty – cóż, Krampf to wie. Codziennie rano, godzinę po otwarciu giełdy nowojorskiej, dzwoni do niego człowiek, który mówi mu, jak jest bogaty. I Milton Krampf od razu ma udany dzień).

Wredny terminator powiedział mi, że pan Spinoza jest

w swoim biurze, więc tam skierowałem kroki.

– Hejże, panie Spinoza! – zawołałem wesoło. – Piękne przedpołudnie, żeby chodzić po tym świecie!

Łypnął złowrogo w punkt gdzieś ze trzy cale nad moim lewym ramieniem.

– Ty pieprzony fukinfynu – warknął. (Nie ma podniebienia, rozumiecie. Biedak). – Szy inny pieprzony dhaniu. Jak fmiesz pokazywać fię tutaj, ty kutafie?!

Reszta była jeszcze bardziej nieuprzejma, więc jeśli pozwolicie, nie będę cytował go zbyt dosłownie. Był zirytowany tym, że poprzedniego dnia przysłałem mu mgb z tym drobiażdżkiem w dachu pod brezentem o tak wczesnej porze. „Gdy pierdzi skowronek”, jak to zgrabnie ujął. Poza tym bał się, że ludzie pomyślą, iż zajmuje się czymś takim, i już miał przed oczami straszliwe wizje stojących w kolejce gości w szmacianych czapkach, którzy się domagają, żeby przypacykował im mg.

Kiedy zbliżał się do końca swojej tyrady, odezwałem się do niego surowo.

– Panie Spinoza – powiedziałem – nie przyszedłem tutaj, aby rozmawiać z panem o swoich stosunkach z mamusią. To sprawa wyłącznie moja i mojego psychoterapeuty. Przyszedłem tu z żądaniem, aby nie używał pan brzydkich wyrazów, zwracając się do Jocka, który, jak pan wie, ma bardzo delikatne uszy.

Pan S. użył jeszcze brzydszych słów; niektórych z nich nie rozumiałem, ale musiały być naprawdę

plugawe. Kiedy atmosfera nieco zelżała, z goryczą zaproponował, że przejdzie się ze mną do rollsa, aby pogadać o reflektorach. Byłem zaskoczony i zasmucony obecnością w warsztacie wielkiego wulgarnego duesenburga – jeśli tak się piszę tę nazwę – i dałem temu wyraz, co znowu go tylko wkurzyło. Nie mam córek, ale to wcale nie przeszkodziło panu Spinozie odmalować ich drogi życiowej od kołyski do rogu pod latarnią, by się tak wyrazić. Oparłem się z boku o silver ghosta, podziwiając bogaty zasób słownictwa tego człowieka. „Uczta rozumu i napój duszy”, jak określiliby to Alexander Pope (1688–1744).

Gdy tak odbijaliśmy między sobą piłeczkę, prowadząc tę uprzejmą konwersację, ze wschodniej strony Mason's Yard dobiegł dźwięk, który mogę najlepiej oddać jako DONK. Mniej więcej w tym samym czasie jakieś trzy stopy od mojego pępka rozległo się coś w rodzaju WANG i na drzwiach silver ghosta pojawił się wielki wyprysk. Skojarzywszy jedno z drugim w okamgnieniu, padłem na ziemię, nie myśląc o swoim drogim garniturze. Posłuchajcie, macie do czynienia z doświadczonym tchórzem. Do pana Spinozy, który położył rękę na drzwiach samochodu, dotarło, że ktoś niszczy jego robotę. Wyprostował się więc i krzyknął: „Oj!” albo „Aj!”.

Na zewnątrz zabrzmiało kolejne DONK, tym razem jednak nie nastąpiło po nim WANG, tylko jakieś krótkie plaśnięcie i większość tylnej części głowy pana Spinozy

rozprysła się, ochlapując ścianę za naszymi plecami. Na szczęście, muszę powiedzieć z zadowoleniem, nic z tego nie poplamilo mi garnituru. Wówczas pan Spinoza również padł na ziemię, lecz, oczywiście, trochę za późno. W jego górnej wardze ziała czarnosina dziura, a z kącika ust wystawała resztką sztucznej szczęki. Wyglądał doprawdy odrażająco.

Chciałbym powiedzieć, że go lubiłem, ale, no wiecie, nigdy za nim nie przepadałem.

Dżentelmen w moim wieku, w dodatku słusznej postury (jak mówią krawcy), przeważnie nie biega na czworakach po tłustej podłodze warsztatu samochodowego, zwłaszcza mając na sobie drogie i całkiem nowe elementy garderoby. Najwyraźniej jednak był to dzień łamania konwenansów, więc spuściłem z tonu i pobiegłem, z niezłym skutkiem. Musiało to wyglądać absurdalnie, ale jakoś wydostałem się na podwórko i dotarłem do drzwi O'Flaherty Gallery. Pan O'Flaherty, który dobrze znał mojego ojca, to starszy Żyd o nazwisku Groenblatter czy jakoś tak, smagły jak Etiopczyk. Na mój widok uniósł ręce i pokiwał głową w przód i w tył, zawodząc coś, co brzmiało jak „mmm-mmm-mmmm” w nucie G nad wysokim C.

– Jak dziś idą interesy? – zapytałem dziarsko, może tylko nieco drżącym głosem.

– Nie pytaj, nie pytaj – odparł odruchowo, a potem...

– Kto cię napadł, Charlie, chłopcze?! Czyjś mąż?

A może czyjaś żona, Boże broń?

– Niech pan posłucha, panie G., nikt mnie nie napadł, tylko u pana Spinozy dzieje się coś złego i musiałem uciekać... nie chcę być w to zamieszany... ale po drodze się potknąłem i upadłem. Czy jako dobry przyjaciel mógłby pan polecić Perce'owi, żeby złapał mi taksówkę, bo nie czuję się za dobrze? – Nie wiem dlaczego, ale zawsze tak rozmawiam z panem G.

Perce, jego mały łotr o szczurzej twarzy – nie stać go na dużego, porządnego – złapał mi taksówkę, a ja obiecałem podesłać panu G. dobrego klienta, bo wiedziałem, że dzięki temu będzie trzymał buzię na kłódkę.

Po przyjeździe do domu padłem na fotel, ponieważ trzęsąc się z przerażenia. Jock zaparzył mi cudownie odświeżającej herbaty miętowej, po której poczułem się o wiele lepiej, zwłaszcza że później wypłem jeszcze cztery płynne uncje whisky.

Jock zauważył, że jeśli powiem, iż wpadłem pod samochód, firma ubezpieczeniowa kupi mi nowy garnitur. To ostatecznie postawiło mnie na nogi, całkiem dosłownie, więc od razu udałem się do ubezpieczalni, bo premia za bezszkodowość to dla mnie już i tak pieśń odległej przeszłości. Nie ma to jak mała wypłata, żeby wygładzić zmarszczkę na czole, możecie mi wierzyć. Tymczasem Jock wysłał taksówką małą odźwiernego do Pruniera po pudełko z lunchem *à porter*. Znalazł się w nim cudowny mały turbot *soufflé*,

*Variété Prunier* (sześć ostryg, każda ugotowana inaczej) oraz dwa z firmowych *petits pots de crème de chocolat*.

Zdrzemnąłem się i obudziłem już znacznie spokojniejszy, po czym spędziłem pożytecznie popołudnie przy lampie ultravioletowej, zaznaczając („podbijając”, jak to się mówi w naszej branży) zmywalnym pisakiem podmalowane fragmenty na wspinałym płótnie autorstwa – cóż, bardziej lub mniej – *Allunno di Amico di Sandro*. (Mówię, niech Bóg błogosławi Berensona <sup>8</sup>). Później napisałem dla „*Burlington Magazine*” kilka akapitów artykułu, w którym raz na zawsze chcę dowieść, że *Madonna z Tallard* w muzeum Ashmolean – wbrew temu, co twierdzi ten okropny człowiek Berenson – została namalowana przez Giorgionego.

Na kolację były kotlety wieprzowe z cynaderkami w środku, frytki i piwo. Zawsze przy takich okazjach posyłam Jocka po piwo w dzbanie i każę mu wkładać szmacianą czapkę. Wtedy trunek smakuje lepiej, a Jock nie ma nic przeciwko. Bo małej od odźwiernego by nie obsłużyli, rozumiecie.

Po kolacji przyjechała pani Spon z próbkami taśm usztywniających, pomponów i kretonów na poduszki i inne takie rzeczy oraz kawałkiem różowej moskitiery na baldachim wokół mojego łóżka. Musiałem, niestety, tę moskitierę odrzucić, bo chociaż rzeczywiście była urocza, to jednak powinna być niebieska, w kolorze dla chłopca. To znaczy mam swoje upodobanka, ale

przecież nie jestem zboczeńcem, na miłość boską, no nie? Możecie zapytać panią Spon.

Pani Spon była już trochę zła, gdy przyjechał Martland i zawisł nad nami jak problem z zanieczyszczeniem środowiska. Nieśmiało jak na niego, ale z całą pewnością złowieszczo.

Oboje przyznali, acz niechętnie, że znają się z widzenia. Potem pani Spon pomknęła do okna. Znam wielu mężczyzn, którzy potrafią pomykać, ale pani Spon jest ostatnią kobietą, której to wychodzi. Zapadło lekkie milczenie z rodzaju tych, które uwielbiam. W końcu Martland rzucił trochę za głośnym szeptem:

– Może powinienes poprosić tę starą rozpuśnicę, żeby sobie poszła.

Pani Spon odwróciła się ku niemu i wyłuszczyła, co o nim myśli. Wiedziałem o jej zdolnościach w tym kierunku, ale nigdy nie miałem przyjemności słyszeć, jak czerpie z leksykalnego worka. Była to prawdziwa uczta literacka i przeżycie emocjonalne: Martland wyraźnie przywiądkł. Nie ma to jak nasza subtelna trzykrotna rozwódka, jeśli trzeba komuś spuścić werbalne baty. „Wrzód na dupie podatnika”, „utrzymanek strażnika miejskiego”, „pułkownik Wigg dla ubogich” <sup>9</sup> – to tylko kilka z komplementów, którymi go obrzuciła, ale było ich więcej – znacznie więcej. W końcu jednak wyszła, w obłoku ragazzy i dalszych uroczych epitetów. Miała na sobie zamszowy kostium z pumpami, ale można by przysiąc, że omijając

Martlanda, machnęła brokatowym trenem długości dwunastu stóp.

– O rany! – sapnął, gdy wreszcie nas opuściła.

– Uhm – potwierdziłem z ukontentowaniem.

– Cóż. No więc, Charlie, tak naprawdę przyszedłem, aby ci powiedzieć, jak mi przykro i nieprzyjemnie z powodu tego, co zaszło.

Rzuciłem mu jedno z moich zimnych spojrzeń. Z tych dużych, ekonomicznych.

– Wiem – ciągnął – oberwało ci się paskudnie i chyba jestem winien wyjaśnienie. Chcę przedstawić sytuację... dzięki czemu do pewnego stopnia przejmiesz kontrolę, nie ukrywam tego... i... eee... prosić cię o pomoc.

Psiakość! – pomyślałem.

– Usiądź – powiedziałem lodowato. – Ja sam wolę stać, z powodów, których możesz się domyślić. Ale chętnie wysłucham twoich wyjaśnień i przeprosin. Więcej nie mogę obiecać.

– Dobrze – odparł.

Trochę się wiercił, jak ktoś, kto się spodziewa, że zaproponujecie mu coś do picia, i przypuszcza, że po prostu zapomnieliście czynić honory pana domu. Kiedy się upewnił, że czeka go wieczór wstrzemięźliwości, podjął wątek.

– Wiesz, dlaczego pan Spinoza został dziś rano zastrzelony?

– Pojęcia nie mam – odpowiedziałem ze znużeniem, chociaż przez całe popołudnie przychodziły mi do



głowy najróżniejsze hipotezy. Wszystkie nieprawdziwe.

– To miałeś być ty.

Serce nieodpowiedzialnie zaczęło walić mi w piersi. Poczułem pod pachami chłód i wilgoć. Zachciało mi się do toalety.

Bo akumulatory i tym podobne to jedno, oczywiście w granicach rozsądku, ale informacja, że ktoś naprawdę próbuje cię zabić, na śmierć, to coś, z czym umysł nie chce się pogodzić, co chce wyrzygać; zwykli szarzy ludzie nie mają mentalnych ani emocjonalnych *clichés*, które pozwalają radzić sobie z taką świadomością.

– Skąd ta pewność? – zapytałem po chwili.

– Cóż, szczerze mówiąc, Maurice sądził, że to ciebie zastrzelił. Bo niechybnie taki miał zamiar.

– Maurice? – Nie mogłem uwierzyć. – Maurice? Masz na myśli swojego Maurice'a? A po co miałyby to robić?

– Bo... jak by to powiedzieć... wydałem mu takie polecenie.

Jednak usiadłem.

Z mroku za drzwiami wyłoniła się posepna postać Jocka, który podszedł do mnie i stanął za moim fotelem. Chociaż raz oddychał przez nos, wydając płaczliwy, świszczący odgłos rury wydechowej.

– Dzwonił pan po mnie, proszę pana?

Jock jest naprawdę niezrównany. Bo wyobraźcie sobie, jak to powiedział. Co za takt, co za *savoir faire*, co za wsparcie dla młodego pana w tarapatkach. Od razu poczułem się znacznie lepiej.

– Jock – zacząłem – masz przy sobie swój mosiężny kastet? Mogę prosić, żebyś za moment uderzył pana Martlanda?

Jock nie odpowiedział; gdy słyszy pytanie retoryczne, potrafi je rozpoznać. Ale wyczułem, że klepnął się po kieszeni na biodrach – swojej tajnej skrytce, jak ją nazywa – gdzie od czasu gdy był najmłodszym młodocianym przestępcą w Hoxton, w cieple i smrodzie wiodło żywot sześć uncji sprytnie ukształtowanego mosiądzu.

Martland żywo i z pewną niecierpliwością pokręcił głową.

– To nie będzie konieczne, w żadnym razie. Spróbuj mnie zrozumieć, Charlie.

– To ty spróbuj mnie zrozumieć – odparłem. Zły i z obolałym tyłkiem.

Wydał z siebie coś, co uznałem za westchnienie.

– *Tout comprendre c'est tout pardonner* – oznajmił.

– Doprawdy świetny pomysł!

– Posłuchaj, Charlie, pół nocy przesiedziałem w MSW z tym krwiożerczym starym maniakiem, opowiadając mu o naszej wczorajszej pogawędce.

– „Pogawędka” to dobre słowo.

– Gdy mu powiedziałem, ile wiesz o tej sprawie – ciągnął – stwierdził, że trzeba cię na zawsze uciszyć. „Zlikwidować z największą bezwzględnością”, jak to określił, głupi mały sukinsyn. Czyta za dużo dreszczowców między jedną filiżanką herbaty a drugą.

– Nie – odparłem łagodnie – jeszcze nie dorósł do dreszczowców, z wyjątkiem „Sunday Timesa”. To żargon CIA. Pewnie czyta akta Zielonych Beretów.

– Wszystko jedno – podjął – wszystko jedno – najwyraźniej upodobał sobie to zgrabne wyrażonko – wszystko jedno. Próbowałem go przekonać, że na razie nie wiemy, co wiesz ani, co ważniejsze, skąd to wiesz, i że byłoby szaleństwem zlikwidować cię na tym etapie. Eee... czy na jakimkolwiek innym, oczywiście, ale... tego nie mogłem przecież powiedzieć, no nie? Cóż, usiłowałem go namówić, żeby zwrócił się z tym do ministra, ale twierdził, że minister o tej porze jest zalany w trupa, a on sam nie ma takiej pozycji, żeby przeszkadzać mu bezkarnie w środku nocy, więc... więc musiałem się podporządkować i rankiem uznałem, że najlepiej będzie przydzielić tę robotę Maurice’owi, bo to impulsywny chłopak i będziesz miał szansę ujść z życiem, rozumiesz, prawda? I, Charlie, naprawdę bardzo się cieszę, że puknął nie tego, kogo trzeba.

– Aha – odparłem. Zacząłem się jednak zastanawiać, skąd wiedział, że dziś rano będę u pana Spinozy.

– Skąd wiedziałeś, że dziś rano będę u pana Spinozy?  
– zapytałem od niechcena.

– Maurice cię śledził, Charlie. – To z szeroko otwartymi oczami, na oczekaniu.

Cholerny kłamca – pomyślałem.

– Rozumiem – odparłem.

Przeprosiłem go i pod pretekstem, że chcę się

przebrać w coś wygodniejszego, jak mówią dziwki, wyszedłem z salonu. Tym czymś wygodniejszym był zachwycająco wulgarny niebieski aksamitny smoking, do którego pani Spon wszyła kiedyś, własnymi rękami, sprytnie wymyśloną taśmę tapicerską, podtrzymującą dość zawodny stary pozłacany rewolwer hazardzisty z parowca rzecznego, kalibru jakieś 28 milimetrów. Miałem do niego tylko jedenaście wiekowych nabojów trzpieniowych, których skuteczności, nie mówiąc już o bezpieczeństwie, nie byłem za bardzo pewny. Ale nie trzymałem tego wszystkiego, żeby kogoś zabić, tylko po to, żeby czuć się młodym, twardym i sprawnym. Ludzie, którzy przechowują u siebie pistolety do zabijania, zamykają je w szkatułkach albo szufladach; noszenie ich przy sobie ma wyłącznie sprawić, żeby człowiek siedział w siodle wyprostowany. Przeplukałem też usta płynem odświeżającym, znowu posmarowałem wazeliną bąble i czym prędzej wróciłem do salonu, wyprostowany jak cholera w swoim damskim siodle.

Przystanąłem za fotelem Martlanda i przypomniałem sobie, jak bardzo nie podoba mi się tył jego głowy. Nie żeby miał tam zwały teutońskiego tłuszczu porośniętego szczecina wieprza czy coś takiego; nie, było tam tylko czyste, nienawistne samozadowolenie, niczym niepoparta, ale niezachwiana pewność siebie. Jak u dziennikarki, naprawdę. Uznałem, że mogę sobie pozwolić na utratę autokontroli; to pasowałaby do obrazu, który chciałem stworzyć. Wyjąłem więc swój

pistolecik i wetknąłem Martlandowi lufę do prawego ucha. On jednak siedział dalej z niezwykłym spokojem – naprawdę miał zdrowe nerwy – i tylko odezwał się płacząco:

– Na litość boską, uważaj z tą zabawką, Charlie. Naboje trzpieniowe są bardzo zawodne.

Wetknąłem lufę rewolweru jeszcze głębiej; to dobrze zrobiło bąblom ma moim tyłku. Oczywiście, jak to on, musiał wcześniej sprawdzić, czy mam pozwolenie na broń.

– Jock – powiedziałem rzeczowo – dokonany defenestracji pana Martlanda.

Jockowi zaświeciły się oczy.

– Pójdę po brzytwę, panie Charlie.

– Nie, nie, Jock, pomyliły ci się słowa. Miałem na myśli, że wypchniemy go przez okno. Chyba przez okno w twoim pokoju. Tak, ale najpierw go rozbierzemy. Potem powiemy, że czynił ci awanse i z powodu nieodwzajemnionej miłości wyskoczył z okna.

– Proszę, Charlie, doprawdy, co za paskudny, zwyrodniały pomysł! Pomyśl o mojej żonie.

– Nigdy nie myślę o żonach policjantów, ich uroda uderza mi do głowy jak wino. A dzięki pedalskiemu wątkowi twój minister zabroni publikacji jakichkolwiek wiadomości o tej sprawie, z korzyścią dla nas obu.

Jock tymczasem już wyprowadzał go z salonu metodą „proszę ze mną”, w czym nie bez bólu bierze udział mały palec ofiary. Jock nauczył się tego triku od

pielęgniarsza z domu wariatów. To skuteczni goście.

Pokój Jocka, jak zwykle, aż rozsadzało od tego, co w lepszych dzielnicach Londynu uchodzi za świeże powietrze: to świństwo napływało przez otwarte okno. (Ludzie budują domy, żeby odciąć się od atmosfery na zewnątrz, a potem wycinają dziury w ścianach, żeby wpuścić ją do środka? Nigdy tego nie zrozumieć).

– Pokaż panu Martlandowi szpiczaste barierki, Jock – powiedziałem złośliwie. (Nie macie pojęcia, jak złośliwym głosem potrafię mówić, gdy się postaram. Byłem kiedyś adiutantem w tej waszej obecnej gwardii).

Jock wystawił go za okno na tyle, żeby ten dojrzał barierki, a potem zaczął go rozbierać. Martland stał nieruchomo, nie stawiając oporu, z niepewnym uśmiechem w kąciку ust, dopóki Jock nie zabrał się do odpinania jego pasa. Wtedy zaczął gadać gwałtownie.

Refren jego piosenki mówił o tym, że gdybym odstąpił od swojego zamiaru, on postarałby się, żebym otrzymał w nagrodę:

- i) nienazwane bogactwa Orientu;
- ii) jego dozgonny szacunek i poważanie;
- iii) nietykalność osobistą dla siebie i swoich dzieci, a owszem, nawet do trzeciego i czwartego pokolenia.

W tym momencie zastrzygłem uchem. (Bardzo chciałbym umieć strzyc uszami, a wy nie? Kwestor w moim college’u umiał).

– Zaintrygowałeś mnie – rzuciłem. – Jock, postaw go na chwilę, bo zamierza powiedzieć wszystko.

Więcej nie tknęliśmy Martlanda palcem. Zaczął mówić z własnej nieprzymuszonej woli. Nie trzeba być wcale tchórzem, żeby nie mieć ochoty spaść z wysokości trzydziestu stóp na szpiczastą barierkę, zwłaszcza będąc na golasa. Ja na jego miejscu niechybnie bym się rozryczał.

Okazało się, że cała historia przedstawia się, jak następuje: Gloag Butelka Zwrotna, z nadzwyczajnym brakiem finezji, próbował wyciągnąć pieniądze od dawnego Kumpla z college'u – kolejny element układanki z obrazkiem „obcujących ze sobą mężczyzn” – przysyłając mu trzydziestomilimetrową stykówkę paskudnego zdjęcia. (Była to niewątpliwie część planu, bardzo irytująca. Przypuszczam, że potrzebował forsy na przyjemności, nieszczęśnik; szkoda, że nie poprosił mnie). Kumpel, obecnie nader szanowany obywatel, żyjący w strachu przed siostrą żony i innymi krewnymi, postanowił wybulić sumę, o którą chodziło, całkiem rozsądną, ale jednocześnie zaprosił na kolację zastępcę komisarza policji i przy porto zasięgnął języka, pytając między innymi: „Co obecnie robicie z szantażystami, Freddy?”, i tak dalej. Zastępca komisarza, który widział w sejfie redaktora naczelnego gazety pewien nieopublikowany materiał o Kumplu, spłoszył się jak przestraszony ogier. Uznał, że nie powinienem nic o tym wiedzieć, i – być może złośliwie – podał tamtemu nazwisko i numer telefonu starego Martlanda. „Na wypadek gdyby coś takiego dotknęło kogoś z twoich

znajomych, ha, ha”.

Wówczas Kumpel zaprasza na kolację Martlanda i przekazuje mu wszystkie informacje, które nadają się do ujawnienia. Martland odpowiada: „Niech pan zda się na nas, już my umiemy sobie radzić z draniami tego pokroju”, i przystępuje do operacji.

Nazajutrz jakiś koniuszy, chrząkający wytwornie w swoje wąsy majora lotnictwa, odwiedza Butelkę Zwrotną i wręcza mu dyplomatkę pełną pięknych używanych banknotów dziesięciofuntowych. Pięć minut później do akcji wkracza Martland ze swoimi gauleiterami i zabiera Butelkę do osławionego Cottage Hospital. Nieszczęśnik zostaje podłączony do akumulatora, żeby trochę zmięknął, i gdy dochodzi do siebie, widzi przed nosem regulaminową szklaneczkę szkockiej. Jednak jest z mocniejszej gliny niż ja; tak często bywa z tymi, którzy robią ci dobrze na obie strony.

Mówi z niechęcią: „Fuj!” albo „Phi!”. „Zabierzcie to świństwo. Nie macie chartreuse? Niech wam się nie wydaje, że mnie zastraszyacie; uwielbiam być dręczony przez takich potężnych kudłatych kochasiów jak wy”. I pokazuje im naoczny tego dowód. Są zniesmaczeni.

Cóż, Martland ma tylko nastraszyć Butelkę i wyraźnie dać do zrozumienia, że ta historia ze zdjęciem musi się skończyć. Polecono mu, żeby nie drażył sprawy, i nie powiedziano niczego kompromitującego, ale on z natury i przyzwyczajenia jest wścibski, a poza tym



żywi chorobliwą niechęć do pedałów. Postanawia więc dotrzeć do sedna zagadki, dosłownie, czyli naprawdę dobrać się Butelce do tyłka, żeby zaczął śpiewać.

– Doskonale – mówi ponuro. – Tym razem naprawdę cię zaboli.

– Obiecanki cacanki – odcina się Butelka Zwrotna.

Wtedy poddają go zabiegom, które skutkują bólem u podstawy przegrody (nosowej), co nawet Butelce raczej nie sprawia przyjemności. Kiedy znowu dochodzi do siebie, jest nie tylko bardzo zły, ale też boi się, że poniesie uszczerbek na urodzie, więc mówi Martlandowi, że ma bardzo solidne zabezpieczenie u pana Charliego Mortdecaia, toteż byłoby lepiej, gdyby nim się zainteresowali. Tym samym odmawia dalszej współpracy i Martland, już wkurzony, aplikuje mu kolejną kurację, do tej pory zarezerwowaną wyłącznie dla chińskich podwójnych agentów. Butelka Zwrotna, ku przerażeniu wszystkich, pada martwy. Słaba pikawa i tyle.

Cóż, na wojnie dzieją się gorsze rzeczy, jak to mówią, poza tym, oczywiście, nikt tak naprawdę nie lubił Butelki, może oprócz kilku gwardzistów z koszar Chelsea, ale Martland nie należy do tych, którzy by docenili niekonwencjonalne przysługi. Cała sprawa wydaje mu się wielce niesatysfakcjonująca, zwłaszcza że wciąż nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Wtedy, rozczarowany, odbiera telefon rozgorączkowanego Kumpla, który domaga się od

niego, żeby natychmiast przyjechał i przywiózł ze sobą nieszczęsnego Butelkę. Odpowiada: dobrze, oczywiście, zjawi się za kilka minut, ale... eee... trudno będzie przywieźć pana... eee... Gloaga w jego obecnym stanie. Po przyjeździe na miejsce, ku swojemu przerażeniu, dostaje do przeczytania nader niepokojący list. Nawet Martland, który nie ma nieskazitelnego gustu, wzdryga się na widok papieru: to podrobiony pergamin z nieobciętym brzegiem i złoceniem, bogato tłoczonym fałszywym herbem u góry i polichromowanym widokiem zachodu słońca na pustyni u dołu. Adres nadawcy, wydrukowany w stylu olde englysshe, brzmi: „Rancho de los Siete Dolores de la Virgen, Nowy Meksyk”. Krótko mówiąc, list pochodzi od jednego z moich najlepszych klientów, Milтона Krampfa.

Głosi – to znaczy nigdy go nie widziałem, przytaczam tylko słowa Martlanda – że pan Krampf bardzo podziwia szanownego pana Kumpla i pragnie założyć jego fanklub (!), żeby rozprowadzić poświęcony mu skromny materiał biograficzny wśród senatorów, kongresmenów, brytyjskich parlamentarzystów oraz pracowników „Paris Matcha”. (Naprawdę niepokojące to ostatnie, chyba sami przyznacie). Dalej informuje, że pan Gloag Butelka Zwrotna jest z nim w kontakcie i zamierza włączyć się do akcji, prezentując ilustrowane wspomnienia „wspólnie spędzonych chwil w Cambridge”. Proponuje także spotkanie całej trójki, aby się przekonać, czy

potrafią dojść do porozumienia dla wzajemnej korzyści. Innymi słowy, to szantaż. Może nieśmiały i niezręczny, ale niezaprzeczalnie szantaż. (Czyli już dwóch ludzi z ekipy postradało zmysły i tylko ja jeden pozostałem zdrowy na umyśle i odpowiedzialny. Tak przynajmniej mi się wydaje).

Martland przerywał swoją opowieść, ja zaś nie nakłaniałem go, żeby kontynuował, ponieważ była to bardzo zła wiadomość, a to dlatego, że gdy wariują możni tego świata, odbija się to na szarakach. Byłem tak poruszony, że bezmyślnie zrobiłem Martlandowi drinka. Był to poważny błąd, bo nie chciałem, żeby się znietrzeźwił. Kiedy tylko łyknął sobie starego dobrego soku z winogron, widać było, że wraca mu pewność siebie, a jego głowa znowu zaczęła przybierać typowe, niezdolnie pompacyjne pozy. Jak musieli gardzić nim bracia oficerowie, gdy patrzyli, jak zastraszaniem i włożeniem w tyłki zapewnia sobie coraz to nowe awanse. Jednak cały czas należało pamiętać, że jest niebezpieczny i znacznie bystrzejszy, niż można by sądzić, patrząc na niego albo go słuchając.

– Martland – odezwałem się po pewnym czasie – powiedziałaś, że twój najemnik śledził mnie rano, gdy szedłem do Spinozy?

– Tak, zgadza się. – Rzeczowo, zbyt rzeczowo. Stał się znowu zdecydowanie nadto pewny siebie.

– Jock, pan Martland plecie mi tu koszałki-opałki. Daj mu w mordę, proszę.

Jock wyłonił się z cienia, łagodnie odebrał Martlandowi szklanę i pochylił się, żeby popatrzeć mu dobrodusznie w twarz. Martland odpowiedział spojrzeniem, otwierając szeroko oczy i lekko rozdziawiając usta. To był błąd, to rozdziawienie ust. Potężna łapa Jocka odchyliła się do tyłu, zatoczyła półokrąg i z głośnym plaśnięciem spadła na policzek policjanta.

Martland przeleciał przez oparcie sofy i uderzył o boazerię. Siedział pod nią przez chwilę; z jego małych oczek popłynęły łzy nienawiści i strachu. Usta, już zamknięte, skrzywiły się dziwnie – pewnie liczył zęby.

– To chyba było głupie z mojej strony – odezwałem się. – Lepiej byłoby cię zabić, to by zamknęło sprawę na dobre, a tak, pobity, będziesz myślał o zemście, nieprawdaż? – Dałem mu chwilę, żeby to sobie przemyślał, ogarnął przykre implikacje.

Przemyślał. I ogarnął.

W końcu przywołał na twarz blady uśmiech – okropny widok – zbliżył się i znowu usiadł.

– Nie będę żywił urazy, Charlie. Najwyraźniej uważasz, że po dzisiejszym ranku należy mi się wycisk. Chcę przez to powiedzieć, że jeszcze nie doszedłeś do siebie.

– Coś w tym jest – odparłem zgodnie z prawdą, bo w tym, co powiedział, rzeczywiście coś było. – Mam za sobą ciężki dzień, pełen przemocy i zamętu. Lepiej pójdę spać, bo inaczej mógłbym popełnić brzemienny

w skutki błęd. Dobranoc. – Po czym opuściłem pokój. Gdy zamykałem za sobą drzwi, Martland znowu rozdziawił usta.

Krótką rozkoszną sesją pod ciepłym prysznicem, przemycie drogą pastą do zębów starych zamków z kości słoniowej, pacnięcie pudru Johnson's Baby tu i tam, nur w pościel – i znowu byłem sobą. Martwiło mnie idiotyczne odstępianie Krampfa od planu, i to może nawet bardziej niż zamach na moje własne życie, czułem jednak, że nie ma w tym nic, o co nie mógłbym z lepszym efektem pomartwić się nazajutrz, czyli, jak wszystkim wiadomo, następnego dnia.

Po kilku akapitach Firbanka troski uleciały mi z głowy, a potem łagodnie i delikatnie pogrążyłem się we śnie. Sen nie jest dla mnie zwykłym odpłynięciem; to przeurocze doznanie bycia sączonym i kosztowanym z wprawą. To była dobra noc; sen pieścił mnie jak znajoma lubieżna kochanka, która zawsze jednak ma na podorędziu nową rozkosz, aby zaskoczyć swojego zblazowanego bel ami.

Moim błądem też to posłużyło.

## 4

O siódmej poranek;  
Pagórek zroszony –

*Pippa przechodzi, przeł. Juliusz Żuławski*

Kiedy Jock mnie rozbudził, zaćwierkałem radośnie, ale nie włożyłem w to serca. Poranek rozpoczął się o dziesiątej, jak zwykle, i Upper Brook Street była ledwie wilgotna. Nastał nieprzyjemny, mżysty, parny dzień, a niebo przybrało barwę mysich odchodów. Pippa została w łóżku i żaden ślimak przy zdrowych zmysłach nie wlaźby między igły sosny. Filiżanka herbaty, która zazwyczaj spada jak delikatny deszczyk z nieba, smakowała tym razem jak mocz ścierwojada. Kanarek wyglądał, jakby miał zaparcie, i rzucił mi tylko opryskliwe spojrzenie, zamiast zaśpiewać zwrotkę albo dwie.

– Pan Martland jest na dole, panie Charlie. Czeka od pół godziny.

Warknąłem i naciągnąłem na głowę jedwabne prześcieradło, chowając się z powrotem w ciepłe łono pościeli, gdzie nikt nie może człowiekowi zrobić

krzywdy.

– Powinien pan zobaczyć jego rozkwaszoną mordę, w miejscu, gdzie mu przyłożyłem. To dopiero widok! Wszystkie kolory tęczy.

To mnie podniosło na duchu. Dzień zapowiadał przynajmniej jedną przyjemność. Wstałem więc, mimo że nie miałem na to wielkiej ochoty.

Płyn do płukania ust, połówka deksedryny, kęs grzanki z anchois i szlafrok od Charveta – w takiej właśnie kolejności – i byłem gotów stawić czoło wszystkim Martlandom tego świata.

– Zaprowadź mnie do tego Martlanda – poleciłem Jockowi.

Muszę powiedzieć, że rzeczywiście wyglądał uroczo, i chodzi nie tylko o nasycone jesienne barwy na jego opuchniętej facjacie, ale także o malującą się na niej gamę uczuć, która mnie urzekła. Sami możecie sporządzić sobie ich listę, bo ja w tej chwili nie mam do tego serca. Najważniejsze dla tej opowieści było ostatnie z nich: pełna skrępowania fałszywa serdeczność z lekką domieszką goryczy, jak dwie krople sosu Worcester w talerzu tłustej zupy.

Zerwał się na nogi i podszedł do mnie szybko, z promienną facjatą i ręką wyciągniętą do męskiego uścisku.

– Jesteśmy znowu przyjaciółmi, Charlie? – wymamrotał.

Teraz ja rozdziawiłem usta, to znaczy opadła mi

dolna szczęka – z zażenowania i wstydu za tego człowieka oblałem się potem. Naprawdę. Wydałem szorstki, gulgocący odgłos, który chyba go usatysfakcjonował, bo Martland puścił moją dłoń i znowu usadowił się wygodnie na kanapie. Usiłując pokryć konsternację, poleciłem Jockowi, żeby zaparzył nam kawy.

Czekaliśmy na nią w milczeniu, większym lub mniejszym. Martland próbował zastosować gambit pogodowy – jest jednym z tych, którzy zawsze wiedzą, kiedy najbliższy niż w kształcie litery „V” ma ruszyć się ze swojej grzędy nad Islandią. Wyjaśniłem mu uprzejmie, że dopóki nie wypiję rano kawy, kiepski ze mnie meteorolog.

(Skąd się wzięło to dziwne brytyjskie zainteresowanie pogodą? Jak dorośli budowniczy imperium mogą dyskutować z powagą, czy pada, padało albo będzie badać? Potraficie sobie wyobrazić najbardziej ograniczonych paryżan, wiedeńczyków czy berlińczyków, którzy by się zniżyli do rozmowy o takich bzdetach? *Ils sont fous ces Bretons* – mówi Obelix i ma rację. To chyba w gruncie rzeczy kolejny przejaw angielskiej fascynacji ziemią. Najbardziej cywilizowanym obywatelem jest w głębi serca drobny właściciel ziemski, któremu marzą się skórzane getry i śrutówka).

Po podaniu kawy (jak bardzo przydałby się ablativus absolutus, trudno bez niego pisać!) przez chwilę



złopaliśmy ją elegancko, podsuwając sobie cukier, śmietankę oraz inne dodatki i od czasu do czasu uśmiechając się do siebie fałszywie. Ale potem przykręciłem mu śruby.

– Miałeś mi powiedzieć, skąd wiedziałeś, że będę u Spinozy – zacząłem.

– Charlie, dlaczego tak interesuje cię akurat ten szczegół?

To było faktycznie dobre pytanie, ale nie miałem zamiaru na nie odpowiadać. Tylko patrzyłem na niego z kamienną miną.

– Och, cóż, to naprawdę proste. Przypadkiem dowiedzieliśmy się, że Spinoza ma... czy raczej miał... z ćwierć miliona używanych banknotów funtowych z napadu na pociąg. Zapłacił za nie czystymi piątkami i dostał sto siedemdziesiąt pięć funtów na sto. Cholerny cwaniak. Cóż, wiedzieliśmy, że będzie chciał się ich pozbyć, więc skaptowaliśmy takiego jednego małego prymitywa, który pracuje dla jednej z galerii w Mason's Yard, żeby obserwował to miejsce. Jeśli Spinozę odwiedzał ktoś... eee... interesujący, facet dawał nam cynk przez swoje walkie-talkie.

– No naprawdę – odparłem. – To dopiero intrygująca historia. A co z tymi, którzy przychodzili przed otwarciem galerii?

– No tak, rzeczywiście, ale musieliśmy zaryzykować. To znaczy brakuje funduszy, żeby opłacać zmienników. To kosztowałoby fortunę.

Uwierzyłem mu i wydałem mentalne westchnienie ulgi. Ale uderzyła mnie pewna myśl.

– Martland, czy twój kapuś to nie taki mały palant imieniem Perce zatrudniony w O’Flaherty Gallery?

– Tak, owszem, chyba tak się właśnie nazywa.

– No tak – skwitowałem.

Nadstawiłem ucha; pod drzwiami stał Jock; oddychał przez nos i robił notatki pamięciowe, jeśli tak można to określić. Niewątpliwie poczułem ulgę na wieść, że Perce został przekupiony; gdyby to pan Spinoza prowadził podwójną grę, wszystko byłoby stracone. W dużej mierze. Musiałem dać wyraz swoim uczuciom, bo zauważyłem, że Martland patrzy na mnie z zaciekawieniem. Nie ze mną te numery, pomyślałem. I szybko zmieniłem temat.

– No dobrze! – wykrzyknąłem. – To co z naszą umową? Gdzie te bogactwa Orientu, które wciskałeś mi wczoraj wieczorem? Jeśli się nie mylę, już nawet „połowa królestwa” stanowiła konkretną sumę.

– Och, doprawdy, przestań, Charlie. Wczorajszy wieczór to wczorajszy wieczór, no nie? Obaj byliśmy trochę zdenerwowani. Chyba nie będziesz trzymał mnie za słowo...?

– Okno nie zniknęło – odrzekłem po prostu. – Jock też jest wciąż na miejscu. A ja wciąż jestem zdenerwowany. Dotychczas nikt jeszcze nie próbował mnie zamordować z zimną krwią.

– Tym razem jednak przedsięwziąłem pewne środki

ostrożności, no nie? – odparł i poklepał się po kieszeni na biodrze.

Na tej podstawie domyśliłem się, że jeśli w ogóle ma pistolet, to pod pachą.

– Proponuję pewną grę. Wyjmij to świństwo, zanim Jock zdzieli cię w łeb, a wygrasz kokosa.

– Daj spokój, Charlie, porzućmy urazy. Jestem gotowy zaoferować ci znaczne... eee... korzyści i pójść na... eee... duże ustępstwa, jeśli w tej sprawie przejdziesz na naszą stronę. Cholernie dobrze wiesz, że wdepnąłem w gówno i jeśli cię nie zwerbuję, ten okropny facet w MSW znowu będzie domagał się twojej krwi. Czego być chciał? Na pewno nie interesują cię pieniądze, które mógłby ci zaproponować mój wydział.

– Chciałbym psa Bonzo.

– O Boże, Charlie, chyba nie mówisz poważnie?

– Nie, właściwie to nie. Wolałabym greyhonda, no wiesz, takiego srebrnego.

– Czyżbyś zamierzał zostać kurierem królewskim? Po co ci greyhound? I skąd według ciebie miałbym go wytrzasnąć?

Odparłem:

– Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak, chcę; na drugie: to nie twoja sprawa; na trzecie – jeśli będziesz musiał, to go skądś wytrzaśniesz. Chcę też dostać paszport dyplomatyczny i glejt na przewiezienie bagażu dyplomatycznego do ambasady w Waszyngtonie.

Wiedząc już wszystko, Martland odprężył się i opadł

na oparciu fotela.

– A co będzie w tym bagażu? Czy może to też nie moja sprawa?

– Rolls-royce, skoro pytasz. Cóż, oczywiście nie dosłownie w bagażu, ale zostanie ostemplowany pieczęciami dyplomatycznymi. Na jedno wychodzi.

Stał się poważny, nawet zaniepokojony; rżący silnik *deux chevaux*, jakim był jego mózg, wściekle zwiększył obroty, próbując wspiąć się na wzniesienie.

– Charlie, jeśli zamierzasz go nafaszerować narkotykami, to moja odpowiedź brzmi: nie i jeszcze raz nie. Jeśli to mają być używane banknoty funtowe w rozsądnej liczbie, mogę sprawdzić, co da się zrobić, ale potem raczej nie będę mógł cię chronić.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziałem stanowczo.  
– Masz moje słowo.

Mówiąc to, popatrzyłem mu w oczy szczerze i uczciwie, aby nabrał pewności, że kłamię. (Te banknoty z napadu na pociąg będą musiały zostać szybko upłynnione, no nie?) Odpowiedział na moje spojrzenie jak ufny towarzysz, a potem zetknął ze sobą czubki wszystkich dziesięciu palców, patrząc na nie ze skromną dumą, jakby udał mu się jakiś sprytny numer. Myślał intensywnie i nie przejmował się tym, że to widać.

– Hm, sądzę, że coś niecoś da się załatwić – odezwał się w końcu. – Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że stopień twojego zaangażowania w tę sprawę musi być

proporcjonalny do trudności uzyskania tego, czego sobie życzysz?

– O tak – odparłem pogodnie. – Zechcesz, żeby zabił pana Krampfa, prawda?

– Owszem. Skąd wiedziałeś?

– Cóż, teraz, gdy Butelka Zwrotna został... eee... usunięty, nie możesz zostawić Krampfa przy życiu, bo za dużo wie, mam rację? I jeśli wolno mi zauważyć, to ciężki warunek z twojej strony, bo Krampf to jeden z moich najlepszych klientów.

– Wiem o tym.

– Wiedziałem, że będziesz wiedział. Inaczej pewnie bym o tym nie wspomniał, ha, ha.

– Ha, ha.

– Tak czy owak to jasne, że takiego bogatego faceta jak Krampf nie da się załatwić inaczej, niż go zabijając. Wiadomo też, że mam do niego dostęp, więc zlecając mi tę robotę, oszczędzisz fortunę w swoim budżecie. Co więcej, możesz bez żalu spisać mnie na straty... zwłaszcza że nie mam powiązań z żadną agencją rządową. I wreszcie, jeśli dam się złapać i skończę na krześle elektrycznym, załatwisz nas obu, mnie i Krampfa, za jednym zamachem terrorystycznym.

– Cóż, większość tego to w mniejszym lub większym stopniu prawda – potwierdził.

– Właśnie – odparłem.

Potem zasiadłem przy swoim głupim francuskim biurku – tym, który mój dowcipny marszand nazywał

*malheur-du-jour*, bo zapłacił za niego jak za zboże – i sporządziłem listę tego wszystkiego, czego chciałem od Martlanda. Nie była krótka. Twarz mu się zachmurzyła, kiedy ją czytał, ale zniósł to mężnie i starannie schował kartkę do portfela. Zauważyłem wówczas, że jednak nie ma pod pachą kabury, choć nie była to bynajmniej moja pierwsza pomyłka tego dnia.

Kawa zdążyła już ostygnąć i była ohydna, więc uprzejmie oddałem mu jej resztki. Chyba nawet tego nie zauważył. Później, po kilku towarzyskich frazesach, wyszedł; przez chwilę obawiałem się, że znowu zechce podać mi rękę.

– Jock – powiedziałem głośno – wracam do łóżka. Bądź tak miły i przynieś mi wszystkie londyńskie książki telefoniczne, cały shaker koktajlu... wszystko jedno jakiego, niech to będzie niespodzianka... i kilka kanapek z miękkiego białego chleba, z rzeżuchą.

Łóżko to najlepsze miejsce, jeśli chcesz sobie podzwonić tu i tam. Wybornie także nadaje się do czytania, spania i słuchania kanarków. Nie jest to natomiast dobre miejsce na seks. Seks powinno się uprawiać na fotelach, w łazienkach, na trawnikach, które zostały wyczesane, ale nie skoszone w ostatnim czasie, lub na piaszczystych plażach, pod warunkiem że było się obrzezanym. Jeśli człowiek jest zbyt zmęczony, żeby odbyć stosunek poza łóżkiem, jest pewnie także zbyt zmęczony na cokolwiek innego, a wtedy należy mierzyć siły na zamiary. Kobiety są wielkimi rzeczniczkami

seksu łożkowego, ponieważ mają (przeważnie) kiepską figurę, co chcą ukryć, i (zawsze) zimne stopy, które pragną ogrzać. Z chłopcami oczywiście jest inaczej. Ale pewnie o tym wiecie. Muszę się starać, żeby nie uderzać w dydaktyczny ton.

Wstałem po godzinie, odziałem się w worek jutowy i przewiązałem rzemieniem, po czym udałem się do kuchni, aby dać kanarkowi szansę na rehabilitację. Zrehabilitował się aż z nawiązką, niemal wypruł sobie flaczki, śpiewając i zapowiadając, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Przyjąłem jego zapewnienia z pewną rezerwą.

Poprosiwszy o płaszcz i kapelusz, zbiegłem na dół – w soboty nigdy nie korzystam z windy, bo to mój dzień na gimnastykę. (Choć oczywiście korzystam z niej w drodze powrotnej).

Konsjerżka wyszła ze swojej nory i zaczęła jazgotać; uciszyłem ją, przykładając palec do ust i znacząco unosząc brwi. To niezawodna sztuczka. Baba odeszła, wracając do zmywania podłogi i strzyżenia trawnika.

Pokonałem pieszo całą drogę do Sotheby's, niemal nieprzerwanie wciągając brzuch, co stanowi dla niego świetne ćwiczenie. W domu aukcyjnym wystawiano na sprzedaż pewien należący do mnie obraz, maleńkie płótno przedstawiające gondolę weneckiego arystokraty z gondolierami w liberjach na tle cudownie błękitnego nieba. Kupiłem je przed kilkoma miesiącami, licząc, że przekonam samego siebie, iż to Longhi, ale moje

wysiłki spełzły na niczym, więc wstawiłem je do Sotheby's, gdzie zostało powściągliwie zatytułowane: „Szkoła wenecka, XVIII wiek”. Podczas aukcji podbiłem jego cenę do sumy, którą za nie zapłaciłem, po czym pozostawiłem własnemu losowi. Ku mojej wielkiej radości poszło w górę o kolejne trzysta pięćdziesiąt funtów i przypadło człowiekowi, którego nie znoszę. Prawdopodobnie w tej chwili znajduje się na wystawie przy Duke Street, przypisane Marieschiemu albo komuś jeszcze mniej prawdopodobnemu. Zostałem w domu aukcyjnym jeszcze dziesięć minut i wydałem zarobione pieniądze na wątpliwego, cudownie dwuznacznego Bartolomaeusa Sprängera, który przedstawiał Marsa w hełmie podszczypującego Wenus – co za maniery! Wychodząc, zatelefonowałem do bogatego hodowcy indyków z Suffolk i zaoferowałem mu Sprängera, a on kupił go w ciemno za tak zwaną nieujawnioną sumę, i zadowolony powędrowałem w stronę Piccadilly. Nie ma to jak mała transakcja, żeby poprawić sobie humor.

Myk przez Piccadilly bez szczególnych powodów do strachu i przez Fortnum's ze względu na wspaniałe zapachy, krok wzdłuż Jermyn Street i oto znalazłem się bezpiecznie w Jules's Bar, gdzie zamówiłem lunch i wysączyłem piątą tego dnia white lady. (*Pardon*, zapomniałem wam powiedzieć, jaką Jock sprawił mi niespodziankę). Jako prawdziwy gourmand gardzę oczywiście koktajlami, ale wszak gardzę też nieuczciwością, wyuzdaniem seksualnym, pijaństwem



i innymi formami ziemskich rozkoszy.

Jeśli ktoś mnie do tej pory śledził, to proszę bardzo, nie widzę przeciwwskazań. Jednak po południu potrzebowałem już trochę prywatności, wytchnienia od chłopców z SPG, więc podczas jedzenia uważnie zlustrowałem salę. Przed zamknięciem klientela baru całkowicie się zmieniła, zostało tylko ze dwóch stałych bywalców, których znałem z widzenia; jeśli był tam jakiś ogon, to musiał stać na zewnątrz, zapewne już na skraju wytrzymałości nerwowej.

Rzeczywiście stał na zewnątrz i na skraju wytrzymałości.

Okazało się, że jest to sługus Martlanda, Maurice. (Chyba w gruncie rzeczy nie spodziewałem, że Martland będzie grał fair; szkoła, do której razem chodziliśmy, nie należała do najlepszych. Panowała w niej sodomia i te rzeczy, a brakowało zasad, poczucia honoru i innych luksusów, chociaż dużo słyszało się o nich w kaplicy. Oczywiście zimnych kąpeli aż w nadmiarze, choć ktoś, kto nigdy ich nie brał, byłby zdziwiony, gdyby się dowiedział, że taka zimna kąpiel wyzwala w człowieku prawdziwie zwierzęce instynkty. I jest bardzo niedobra na serce, jak mówią).

Maurice na wysokości twarzy trzymał gazetę i zerknął na mnie przez zrobioną w niej dziurkę, tak jak to czynią w powieściach. Wykonałem kilka szybkich kroków w lewo; gazeta przesunęła się w tę samą stronę. Potem wykonałem trzy kroki w prawo i znowu – gazeta

przesunęła się jak osłona przeciwogniowa działa polowego. Facet naprawdę wyglądał kretyńsko. Podeszedłem do niego i wetknąłem palec przez dziurę w gazecie.

– Buch! – powiedziałem i czekałem na miażdżącą odpowiedź.

– Proszę wyjąć palec z mojej gazety – odpowiedział miażdżąco.

Pokiwałem palcem, opierając nos na górnej krawędzi gazety.

– Odwal się pan! – krzyknął czerwony na twarzy.

No, już lepiej. Odwaliłem się więc, wielce z siebie zadowolony. Za rogiem natknąłem się na policjanta, jednego z tych młodych, różowiutkich, zasadniczych policjantów, których obecnie spotyka się tak często. Ambitnych, szlachetnych i ciętych na wszelkich złoczyńców.

– Panie władzo! – zagulgotałem ze świętym oburzeniem. – Ten niegodziwiec z gazetą właśnie mnie nagabywał! – Drżącym palcem wskazałem Maurice’a, który zatrzymał się w pół kroku z miną winowajcy.

Policjantowi pobladły usta; podeszedł do Maurice’a, który wciąż stał na jednej nodze, z rozłożoną gazetą, i wyglądał jak okrutna parodia *Erosa* Gilberta z *Piccadilly Circus*. (Czy wiecie, że ten Eros jest zrobiony z aluminium? Jestem pewien, że kryje się w tym jakieś moralne przesłanie. Albo żart).

– Stawię się na posterunku za czterdzieści minut! –

zawołałem za policjantem i wskoczyłem do przejeżdżającej taksówki. Na szczęście miała wszystkie uchwyty przy drzwiach.

Jak już wam mówiłem, ludzie Martlanda przechodzą roczne szkolenie. A zatem to, że tak łatwo zauważyłem Maurice'a, oznaczało, że miałem go zauważyć. Zajęło mi to dużo czasu, ale w końcu ją dostrzegłem: krzepką, gładko ogoloną kobietę w triumphie heraldzie; to znakomity samochód do śledzenia ludzi, nierzucający się w oczy, łatwy do zaparkowania i o mniejszym promieniu skrętu niż londyńska taksówka. Miała jednak pecha, że nikt jej nie towarzyszył, więc po prostu wyskoczyłem z taryfy na Piccadilly Circus, wszedłem do metra jednym wejściem, a wyszedłem drugim. Aż tak łatwe do parkowania triumphy heraldy nie są.

Druga taksówka zawiozła mnie na Bethnal Green Road w Shoreditch, wspaniałe miejsce, gdzie uprawia się wszelkie sztuki abstrakcyjne. Kierowca, któremu – jak to nierozsądnie mam w zwyczaju – dałem suty napiwek, szepnął mi: „Nostalgia czwarta na mecie w Kempton Park”. Zastanawiając się, co, u licha, miał na myśli, wdrapałem się po schodach do pracowni mojego podszewkarza.

Tu muszę wyjaśnić, kim jest podszewkarz. Większość starych obrazów potrzebuje przed czyszczeniem „wsparcia”. Mówiąc najprościej, polega to na nasączeniu starego płótna klejem, woskiem albo inną substancją, a potem scaleniu go – by się tak wyrazić –

z nowym płótnem za pomocą gorącej blachy i prasy. Czasami stare płótna są już zbyt wysłużone; czasami podczas tej czynności odchodzi farba (obraz „się rozdyma”, jak to mówią). W obu przypadkach potrzebny jest więc „transfer”. Obraz kładzie się przodem do dołu i zdejmuje z farby każdy skrawek płótna. Nowe płótno przywiera do spodniej warstwy farby i obraz znowu prezentuje się jak trzeba. Jeżeli jest namalowany na desce (czyli drewnie), która zbutwiała albo została nadjedzona przez korniki, najlepsi podszewkarze potrafią zdjąć ją w całości, zostawiając tylko warstwę farby, do której potem przyklejają płótno. To bardzo trudna robota i dobrze płatna. Doświadczony podszewkarz doskonale zna wartość obrazu, którym się zajmuje, i na ogół odpowiednio sobie liczy za swoje usługi. Zarabia więcej forsy niż wielu marszandów, dla których pracuje. Jest niezastąpiony. Każdy idiota umie oczyścić obraz – i wielu z nich to robi – a większość dobrych malarzy potrafi podretuszować albo uzupełnić brakujące fragmenty farby; w rzeczywistości wielu sławnych artystów dorabiało sobie na tym sekretnym procederze. (Do tej delikatnej roboty, jak w przypadku podrabiania statków, często używano odpowiednio rozcieńzonego werniksu, gdyż łatwo się nim posługiwać; potem jest co czyścić, bo oczywiście odchodzi razem z brudnym werniksem. W rezultacie wielu konserwatorów po prostu fotografuje te podpacykowane miejsca, potem, nie cackając się, je

czyści, a następnie domalowuje na podstawie zdjęcia. No bo co stoi na przeszkodzie?) Ale dobry podszewkarz, jak się rzekło, to bezcenna perła.

Pete nie wygląda jak perła. Wygląda jak niedomyty, podejrzany mały Walijczyk, ma jednak zaskakująco dobre maniery, które prezentują u siebie w domu nawet najnikczemniejsi Celtowie. Otworzył więc puszkę mielonki i zaparzył wielki dzbanek cudownie mocnej herbaty PG Tips firmy Brooke Bond. Pospiesznie zaoferowałem, że posmaruję chleb masłem – miał żałobę za paznokciami – i pokroję mielonkę. To był cudowny podwieczorek, uwielbiam mielonkę, a herbata została doprawiona skondensowanym mlekiem i miała głęboką pomarańczową barwę. (Jakaż różnica, ogromna różnica, w porównaniu ze zwyczajami domowymi naszej drogiej królowej!)

Powiedziałem Pete'owi, że niebawem z Sotheby's przybędzie Spränger i że moim zdaniem szata okrywająca wdzięki Wenus to późniejsza robota, pod którą prawdopodobnie kryje się wspaniały przykład kobiecego łona w malarstwie europejskim.

– Zdejmij ją – poleciłem – ale zrób to ostrożnie.

Następnie udaliśmy się do jego pracowni na poddaszu, żebym mógł skontrolować postępy pracy nad zleceniem. Okazały się nader zadowolające. Pete miał wielkie problemy z moim małym tryptykiem sienneńskim (czy tak się to pisze?), ale przecież ciągnęły się one już od osiemnastu miesięcy. Nie dostałem dotąd rachunku

i zapewne już nigdy go nie dostanę.

Potem opowiedziałem Pete'owi o panu Spinozie i wyjaśniłem, co ma dalej zrobić. Nie spodobało mu się to, ale gdy zalałem mu usta złotem, natychmiast przestał jęczeć. Jeśli chcecie wiedzieć, forszę trzyma w puszcze po herbacie. Musiałem przejść przez jeszcze jedną ciężką próbę, zanim mogłem się odsunąć od zalatującej cebulą i pełnej spróchniałych zębów otchłani jego ust.

– A teraz chyba pora na piosenkę, co nie?! – zawołał jak lubieżnie zawstydzony kwatermistrz rozdający prezerwatywy.

– Znakomicie, znakomicie – odpowiedziałem, zacierając z hipokryzją ręce.

Zasiadł więc do swoich małych organów elektrycznych (kosztowały go całe czterysta funtów) i uraczył mnie hymnem *Zawróć, człeku, wyrzeknij się swych niemądrych słabości*, który głęboko mnie poruszył. Z głosami Walińczyków jest coś dziwnie nie tak, są jak karton pod pozłotą i to ogromnie mnie drażni. Śpiew Pete'a potrafi doprowadzić tłum w barze publicznym do łez dzikiej rozkoszy – byłem tego świadkiem – ale zawsze, słuchając go, mam wrażenie, że zjadłem za dużo kanapek z mielonką.

Nagrodziłem go gorącymi oklaskami, a ponieważ na tym etapie był szczególnie niezastąpiony, pokornie poprosiłem o bis. Zaśpiewał mi *Jest taka krwawa fontanna*, hymn, który niezawodnie sprawia rozkosz.

Na chwiejnych nogach zlałem jakoś na dół

i wyszedłem na ulicę, pełen złych przeczuć i mocnej herbaty w żołądku.

Bethnal Green Road o wpół do siódmej w sobotni wieczór to nie jest *locus classicus* dla taksówek. W końcu postanowiłem jechać autobusem. Konduktor nosił turban i znienawidził mnie od pierwszego wejrzenia. Widziałem, że stara się zapamiętać moją twarz, żeby móc mnie nienawidzić jeszcze długo po tym, jak wysiądę.

Mocno przygnębiony, wkroczyłem do mieszkania i stanąłem niemrawo w przedpokoju, gdy tymczasem Jock uwolnił mnie od kapelusza i płaszcza. Potem zaprowadził do ulubionego fotela i przyniósł mi szklaneczkę whisky, która mogłaby oszołomić ogiera z Clydesdale. Doszedłem do siebie na tyle, aby nastawić płytę Amelity Galli-Curci śpiewającej w duecie z Tito Schipą *Un di felice*; to mnie wprowadziło w nastrój belcanto i po wysłuchaniu dalszej części albumu pozbyłem się złych przeczuć. Wykąpany i przebrany do kolacji, nabrałem ochoty na uroczy wystrój art nouveau Wiltona, a jeszcze bardziej na ich ostrygi w sosie serowym. Dodatkowo zjadłem zapiekany krem z mleka i jajek, o którym nie mógłbym nawet marzyć gdzie indziej.

Gdy ponownie wróciłem do domu, przyszła pora na pełen animuszu western z Johnem Wayne'em w telewizji. Pozwoliłem Jockowi obejrzeć go razem ze mną. Nie żałowaliśmy sobie whisky, bo w końcu był

sobotni wieczór.

Chyba w którymś momencie poszedłem do łóżka.



## 5

Może odgadnie cele, którym ogrody służą,  
Za chytrą niemą rzeczą ukrywające stróża.  
Czymże jest lampart, który o każdej porze  
Łypie przewrotnie okiem ku swej wygodnej norze?

*Przedtem, przeł. Magdalena Słysz*

Pewnie od czasu do czasu zauważasz, czytelniku sybaryto, że brandy, jeśli nie spijesz się nią zupełnie, może raczej odpędzać sen niż go sprowadzać. Od tych, którzy ją piją, słyszałem, że przy taniej brandy ten efekt jest jeszcze wyraźniejszy. Inaczej bywa ze szkocką; to naprawdę dobroczynny trunek. Wielkie uznanie dla tego, kto ją wynalazł, niezależnie jakiego koloru miał skórę. Mam mu za złe jedynie to, że szesnaście płynnych uncji jego wynalazku przyjmowanych doustnie *per diem* przez jakieś dziesięć lat osłabia w człowieku pierwotny instynkt. Myślałem, że uwiad sił w moim przypadku jest skutkiem wieku, a także naturalnego dla doświadczonego *coureur* znudzenia, jednakże Jock wyprowadził mnie z błędu. Nazywa to niemocą pijaka.

Wszystko jedno; stwierdzam, że wypiwszy większą ilość mocnej dwunastoletniej szkockiej, przez sześć

godzin śpię jak kamień, a rano czuję nieodpartą ochotę, żeby wstać i działać. Wstałem więc, i to bez słodkiej pomocy czarnej herbaty, a potem zbiegłem na dół, zamierzając ściągnąć Jocka z łóżka i uświadomić mu zalety wczesnego wstawania. Ku mojemu lekkiemu rozczarowaniu wstał już i wyszedł z mieszkania, więc sam zrobiłem sobie śniadanie, wyjmując z lodówki butelkę piwa. Szczerze polecam. Nie będę udawał, że nie wolałbym filiżanki herbaty, ale prawda jest taka, że trochę się boję tych nowych elektrycznych czajników: z mojego doświadczenia wynika, że brutalnie eksplodują wtyczkami, gdy stoisz obok, czekając, aż zagotuje się woda.

W niedzielny rano w Londynie można robić tylko jedno: pójść do Club Row. Zszedłem na palcach po schodach, żeby nie zbudzić swojej madame Defarge, i skierowałem się do stajni. Zostałem w niej wszystkie trzy samochody oprócz należącego do Jocka wielkiego motocykla, który ma taką moc, że można by oświetlić nim małe miasteczko. Żartobliwie puściłem po galijsku oko do przechodzącego kota i znacząco wzruszyłem ramionami; Jock pewnie znowu się zakochał, pomyślałem. Kiedy tacy jak on dostają rui, potrafią przejechać całe mile, nawet, jeśli zachodzi taka potrzeba, uciekwszy z więzienia.

Club Row był kiedyś miejscem spotkań podejrzanych gości sprzedających skradzione psy; obecnie to wielkie targowisko na wolnym powietrzu. Włóczyłem się po

nim przez godzinę, ale dawna magia przestała działać. Zapragnąwszy dokuczyć Jockowi, kupiłem odrażający plastikowy przedmiot – nazywał się „Wara psom!” – i pojechałem z powrotem do domu, zbyt roztargniony, żeby po drodze zabłądzić. Zastanawiałem się, czy aby nie wpaść na Farm Street i nie załapać się na jedno z tych wkurzających kazań u jezuitów, ale w końcu uznałem, że ze względu na mój nastrój mogłoby to okazać się niebezpieczne. Urzekająca logika i przejrzystość wyводу tych naenergetyzowanych zakonników działają na mnie jak syreni śpiew i boję się, że gdybym pewnego dnia został zbawiony – niczym kobieta w okresie menopauzy – pani Spon umarłaby ze śmiechu. Czy tam też obmywają człowieka krwią baranka, czy tylko w Armii Zbawienia?

Jock był już w domu i sprytnie udawał, że wcale nie jest zdziwiony moją wczesną aktywnością. Nie zadawaliśmy sobie żadnych pytań. W czasie gdy przygotowywał mi śniadanie, wsunąłem „Wara psom!” do klatki kanarka.

Potem uciąłem sobie drzemkę, dopóki nie zadzwonił Martland.

– Posłuchaj, Charlie – zagdakał – nic z tego. Nie da rady załatwić tej sprawy z bagażem dyplomatycznym. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych powiedzieli mi, że mogę się zesrać w kilt.

Nie byłem w nastroju do zabaw z Martlandami tego świata.

– Doskonale – uciałem cierpko – wobec tego zapomnijmy o wszystkim. – I odłożyłem słuchawkę. Potem się przebrałem i wyruszyłem do Café Royal na lunch.

– Jock – rzuciłem, wychodząc – pan Martland niebawem zadzwoni ponownie, aby powiedzieć, że jednak mu się udało. Odpowiedz: „Dobrze”. Dobrze?

– Dobrze, panie Charlie.

W Café Royal kłębił się tłum ludzi udających stałych bywalców. Lunch był pyszny, ale już nie pamiętam, z czego się składał.

Kiedy wróciłem do domu, Jock oznajmił, że Martland przyszedł osobiście aż z tego swojego tak zwanego Canonbury i chciał ze mną pertraktować, ale on odesłał go do diabła.

„Prawie napluł na wycieraczkę” – tak opisał jego reakcję na odchodnym.

Położyłem się do łóżka i dopóki nie zmorzył mnie sen, czyli dość krótko, czytałem nieprzyzwoitą książkę. W dzisiejszych czasach nie można dostać porządnych nieprzyzwoitych książek, przepadli gdzieś dobrzy rzemieślnicy. A już najgorsze są te szwedzkie z kolorowanymi zdjęciami, nie sądzicie? Jak ilustracjami w podręczniku do ginekologii.

Obudziła mnie pani Spon; wparowała do mojej sypialni w czerwonym spodniu, które sprawiało wrażenie mokrego. Wyglądała jak nadająca się do prania bohaterka *Szkarłatnej litery*. Chowałem się pod

kołdrą, dopóki nie oświadczyła, że przyszła tylko po to, aby zagrać ze mną w remibrydża. Gra uroczo, ale nie ma szczęścia, biedaczka; przeważnie ogrywam ją na sześć albo nawet siedem funtów, ale w końcu zarabia majątek na dekoracji wnętrz. (Grając w remibrydża, mam zwyczaj, niezmienny, niby przypadkiem zostawiać jedną kartę w pudełku; to zdumiewające, jak człowiek może się wkurzyć, kiedy okazuje się, że w talii nie ma na przykład dziewiątki pik).

Po jakimś czasie, jak zawsze, poskarżyła się na zimno – nie zainstaluję sobie centralnego ogrzewania, bo niszczy antyczne meble i wysusza oskrzela. Więc, jak zawsze, wsunęła się w końcu pod kołdrę obok mnie (słuchajcie, ona musi mieć już z sześćdziesiątkę, na miłość boską) i przez chwilę graliśmy w „łapki”. Potem pani Spon zadzwoniła po Jocka, który przyniósł nagi miecz, żeby położyć go między nami, oraz mnóstwo podgrzanych kanapek z pastrami na chlebie czosnkowym. Wypiliśmy valpolicellę, okropną dla żołądka, ale wyborną, no i tanią. Wygrałem od pani Spon sześć czy siedem funtów. To był naprawdę przemiły wieczór; na samo wspomnienie łyzy napływają mi do oczu. Nie ma sensu zatrzymywać się przy takich chwilach, gdy się dzieją, bo to tylko je psuje; nadają się jedynie do wspomnienia.

Kiedy pani Spon wyszła – po ostatnich „łapkach” – Jock przyniósł mi mój wieczorny przydział: whisky, mleko, kanapki z kurczakiem i glin na wrzody żołądka.

– Jock – powiedziałem, podziękowawszy mu uprzejmie – musimy coś zrobić z Perce'em, tym małym przydupasem pana O'Flaherty'ego.

– Już zrobiłem, panie Charlie. Z rana, gdy pan spał.

– Naprawdę, Jock? Słowo daję, myślisz o wszystkim. Bardzo cierpiał?

– Tak, panie Charlie.

– Ojej. Chyba nie...?

– Nie. Nic takiego, czego dobry dentysta nie mógłby poskładać w parę miesięcy. A i nie wydaje mi się, żeby gość w najbliższym czasie miał ochotę na amory, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Biedaczek – skwitowałem.

– No – potwierdził Jock. – Dobrej nocy, panie Charlie.

– Jeszcze jedno – rzuciłem sucho. – Niepokoi mnie stan higieny w klatce kanarka. Mógłbyś zadbać o to, żeby została wyczyszczona w najbliższym czasie?

– Już to zrobiłem. Kiedy wyszedł pan na lunch.

– Ach, tak. I wszystko w porządku?

– Uhm. Jasna sprawa.

– No cóż, dzięki, Jock. Dobrej nocy.

Tamtej nocy nie spałem zbyt dobrze.

Gdyby Krampf albo Gloag odstąpił od uzgodnionego planu, jeszcze mógłbym to jakoś znieść, ale dwóch idiotów w trzosobowym zespole to już za dużo. Powiedziałem Gloagowi Butelce Zwrotnej, kiedy do mnie przyszedł, że nie mam zamiaru pomagać mu

w szantażowaniu jego szanowanego Kumpla – mogłem jedynie przedstawić go Krampfowi i na tym koniec. Później, kiedy Krampf zwrócił mi uwagę, że można by wykorzystać tamto zdjęcie, nie żeby wycisnąć z faceta pieniądze, ale żeby ułatwić przerzut – do niego – trefnych dzieł sztuki, niechętnie pozwoliłem mu się przekonać, ale tylko pod warunkiem, że to ja napiszę scenariusz i zagram obie role: głównego bohatera i komika. Ale, jak niezmordowanie powtarza Schnozzle Durante [10](#), „wszyscy chcą stanąć na scenie”. Gloag już zapłacił słoną cenę za pragnienie sławy i wszystko wskazywało na to, że Krampf też w końcu dostał fakturę pro forma.

## 6

A jeśli do dostojnej zbliżywszy się gwiazdy,  
Już tylko jako jedna znanej – splot rozedrę  
I ten podmorski cichy prąd, płynący srebrem  
Od nieokiełznanego odłączę kochanka...?

*Sordello*

W poniedziałek o barbarzyńskiej porze obudził mnie telefon. Słodki głos z amerykańskim akcentem zapytał, czy mógłby rozmawiać z sekretarzem pana Mortdecaia.

– Jedną chwileczkę – zagruchałem – już łąaaaaącę.

Wetknąłem słuchawkę pod poduszkę, po czym zapaliłem papierosa i zastanowiłem się. W końcu wezwałem Jocka, powiedziałem mu, o co chodzi, i przekazałem mu słuchawkę. Trzymając ją między owłosionym kciukiem i palcem wskazującym, z małym paluszkim delikatnie odchylonym, zaśpiewał:

– Tu sekreeetarz pana Mortdecaia.

Potem dostał ataku śmiechu – katastrofalnego po wczorajszej fasolowej uczcie – a ja za nim i telefon upadł na podłogę. Słodki Głos z Amerykańskim Akcentem musiał uznać to wszystko za co najmniej dziwne. Okazało się, że była nim sekretarka pułkownika



Bluchera z ambasady amerykańskiej; pułkownik Blucher chciał się spotkać z panem Mortdecaim o dziesiątej. Jock, odpowiednio przejęty, oznajmił, że pan Mortdecai o tej porze jest jeszcze w łóżku, a nigdy nie przyjmuje tam mężczyzn. (Kolejny atak śmiechu). Głos, wciąż słodziutki, odparł na to, że, hm, pułkownik Blucher wyobrażał sobie, iż pan Mortdecai raczej przyjdzie do niego, po czym zapytał, czy dziesiąta trzydzieści to odpowiedniejsza godzina. Jock walecznie stawiał opór – o dziwo, jest dość dumny z tego, że pracuje dla kogoś tak gnuśnego jak ja – i w końcu stanęło na dwunastej.

Gdy tylko Jock odłożył słuchawkę, podniosłem ją ponownie i wykręciłem numer ambasady (499 9000, jeśli chcecie wiedzieć). Odezwał się jeden z najpiękniejszych głosów, jakie kiedykolwiek słyszałem przez telefon – aksamitny, mleczny kontralt, który sprawił, że moja kość ogonowa skrzyła się w pukle. Wyraźnie oznajmił:

- Mała dama panów złajdaczonych.
- Że co? – zachrypiałem. – Jak to, jak to?
- Ambasada Stanów Zjednoczonych – tym razem zabrzmiało to bardziej higienicznie.
- A tak. Oczywiście. Głupiec ze mnie. Och, chciałbym zapytać, czy pracuje u was pułkownik Blucher.

Rozległo się kliknięcie, stłumione elektryczne „grrr, grrr” i zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, znowu usłyszałem w słuchawce Słodki (Słotki?) Głos. Tym

razem nie przedstawił się jako sekretarka pułkownika, tylko jako dowództwo, CumQuicJac, SecSatSix albo jakieś inne czary-mary. Ależ dzieci z tych wojaków!

Nie mogłem przecież powiedzieć, że chcę się upewnić, czy pułkownik Blucher naprawdę istnieje, czy to miał być tylko okrutny żart, no nie? W końcu, płacząc się przez chwilę, wyjaśniłem, że jestem umówiony na spotkanie z... eee... jej zwierzchnikiem, no właśnie, i chcę zapytać, pod jakim numerem przy Grosvenor Square mieści się... eee... ambasada. To powinien być punkt dla mnie – majstersztyk, musicie przyznać – ale miałem do czynienia z trudnym przeciwnikiem, który nie tracił czasu.

– Pod numerem dwadzieścia cztery – zaszczębiotała sekretarka bez wahania – to znaczy dwa i cztery.

Rozłączyłem się, wymamrotawszy na koniec kilka uprzejmości. No to mnie zgarnęli; kto nie maszeruje, ten ginie. A swoją drogą, pomyśleć, że takie cholernie znane miejsce znajduje się pod konkretnym numerem.

Jock spuścił wzrok; wie, kiedy jego młody pan dostaje cięgi.

Przez chwilę bez humoru grzebałem widelcem w talerzu, po czym poleciłem Jockowi, żeby oddał moje śniadanie komuś biednemu, kto na nie zasługuje, a mnie przyniósł zamiast tego dużą szklanę ginu z oboma rodzajami wermutu i jakąś gazowaną lemoniadą. To cudowny eliksir, przywraca cię do życia w mgnieniu oka.

Powściągliwie ubrany i głęboko zadumany, udałem się na Grosvenor Square, ssąc wonnego cukierka. Dumanie jednak nic nie dało; w głowie miałem kompletną pustkę, niczym zasypane świeżym białym śniegiem niedostępne góry albo wrzosowiska. Cukierek wystarczył mi do bram ambasady; w pozie zwanej nedorzecznie „spocznij” stał tam żołnierz, który wyglądał na skutecznego. Jego zaciśnięte kwadratowe szczęki wyraźnie mówiły bystremu obserwatorowi, że nie wpuści za bramę żadnych wrednych komuchów ani innych spiskujących w celu obalenia Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Spojrzałem mu w oczy nieustraszonym wzrokiem i zapytałem, czy to numer dwadzieścia cztery, ale nie wiedział, co od razu poprawiło mi humor.

W środku zostałem przejęty przez cały legion dobrze ukształtowanych młodych pań, które zaczęły przerzucać mnie coraz głębiej w otchłań budynku. Każda z nich była wysoka, smukła, higieniczna, pełna wdzięku i obdarzona przez naturę niesamowicie wielkimi cyckami: niestety, chyba gapiłem się na te ostatnie. W końcu zostałem dostarczony – pod pełnymi żaglami (to termin żeglarski) – do sekretariatu pułkownika Bluchera, gdzie siedział sam Słodki Głos we własnej osobie. Ta kobieta, jak się zresztą należało spodziewać, miała największe przedsięwzięcie ze wszystkich. Musiała chyba pisać na maszynie wyprostowanymi rękami. W okamgnieniu – wcale nie żartuję – zostałem przeszmuglowany do samego gabinetu, gdzie szczupły,

zdrowy młodzieniec w mundurze podsunął mi krzesło.

Rozpoznałem je, gdy tylko posadziłem na nim tyłek. Obity lśniącą skórą, przednie nogi miał o cal krótsze niż tylne. To sprawiało, że siedzącego na nim klienta nagle ogarniało dziwne poczucie niepewności, tymczasowości, niższości. Sam miałem takie krzesło; sadzałem na nim facetów, którzy sprzedawali mi obrazy. W żadnym razie nie zamierzałem dać się w ten sposób traktować; wstałem i skierowałem się ku sofie.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem niewinnie. – Ale mam te... no wie pan... hemoroidy.

Wiedział. Sądząc z uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy, znał to od niedawna.

Zajął miejsce za biurkiem.

Uniosłem pytająco brew.

– Jestem umówiony z pułkownikiem Blucherem – zauważyłem.

– Pułkownik Blucher, do usług – odparł na to młodzian.

Tu straciłem punkt, chociaż wciąż byłem o jeden do przodu, bo zwracając się do mnie, musiał wykręcać szyję i mówić głośniej. Wyglądał wyjątkowo młodo jak na pułkownika i miał dziwnie niedopasowany mundur. Czy widzieliście kiedykolwiek amerykańskiego oficera – nawet amerykańskiego szeregowca – na którym źle by leżał mundur?

Chowając to spostrzeżenie do mentalnej kieszonki na bilety, odezwałem się do młodego człowieka w te

słowa:

– Och, ach tak.

Gdybym miał więcej czasu, wymyśliłbym lepszą ripostę.

Tymczasem młodzieniec wziął długopis i postukał palcem w teczkę, która leżała przed nim na błyszczącym pustym biurku. Na teczce były przyklejone wszelkiego rodzaju kolorowe nalepki, w tym duża pomarańczowa z czarnym wykrzyknikiem. Ogarnęło mnie paskudne przeczucie, że to akta zatytułowane „C. Mortdecai”, ale po namyśle uznałem, że to tylko chwyt taktyczny, aby mnie nastraszyć.

– Panie Mortdecai – odezwał się w końcu pułkownik – wasze MSZ zwróciło się do nas z prośbą o wystawienie *laissez-passer* na pańskie nazwisko. Na czas określony. Wygląda na to, że nie otrzyma pan akredytacji ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie, żadnego poselstwa ani konsulatu, a nasz człowiek w waszym ministerstwie nic o panu nie wie. Mamy też wrażenie, jeśli mogę się tak wyrazić, że zupełnie się tym nie przejmuje. Ma pan w związku z tym coś do powiedzenia?

– Nie – odrzekłem.

To go chyba ucieszyło. Wziął do ręki inny długopis i znowu dotknął teczki.

– Panie Mortdecai, rozumie pan, że muszę wpisać do raportu cel pańskiej wizyty w Stanach Zjednoczonych.

– Mam dostarczyć cenny stary samochód zalakowany

pieczęcią dyplomatyczną – wyjaśniłem – i chciałbym trochę pozwiedzać Południe i Zachód pańskiego kraju. Pasjonuję się historią Dzikiego Zachodu.

– A tak – powiedział uprzejmie – czytałem pański artykuł *Dziewiętnastowieczni brytyjscy podróżnicy na amerykańskich rubieżach*. Pasjonujący.

Poczułem nagły przeciąg w rękawie, w którym trzymałem ukrytą kartę, i doznałem paskudnego przeczucia, że ktoś tu dokładnie prześwietlił „C. Mortdecaia”.

– Dziwi nas tylko – podjął – po co ktoś chce opieczętować pusty samochód. Bo rozumiem, że będzie pusty, panie Mortdecai?

– Znajdą się w nim moje rzeczy osobiste, a mianowicie jedna walizka z eleganckimi garniturami na różne okazje, jedna walizka z drogą bielizną, płócienna torba z książkami na każdy nastrój... żadnej szczególnie obscenicznej... i zapas papierosów oraz starej szkockiej whisky. Za te ostatnie chętnie uiszczę opłatę celną, jeśli pan sobie życzy.

– Panie Mortdecai, jeżeli uznamy pański status dyplomatyczny – czyżby tu zawiesił głos? – będziemy go oczywiście w pełni respektować. Teoretycznie jednak mamy prawo, jak pan wie, uznać pana za persona non grata; chociaż robimy to nader rzadko wobec przedstawicieli pańskiego kraju.

– Taaa – palnąłem – ale staremu Guyowi jakoś się udało, co?

Zastrzygł uszami, a ja ugryzłem się w język.

– Dobrze pan znał pana Burgessa? – zagadnął, przyglądając się uważnie długopisowi, jakby szukał w nim jakichś ukrytych wad fabrycznych.

– O nie, nie, nie! – zawołałem. – Nie, nie, nie, nie, nie. Prawie się z nim nie spotykałem. Być może od czasu do czasu wspólnie wypiliśmy to czy owo, ale przecież nie ma nic nienaturalnego w tym, że mieszkając w jednym mieście z Guyem Burgessem, czasem znalazłem się z nim w jednym barze, no nie? To tylko kwestia prawdopodobieństwa.

Otworzył teczkę i przeczytał z niej kilka linijek, unosząc brew w nader niepokojący sposób.

– Czy kiedykolwiek należał pan do partii komunistycznej albo anarchistycznej, panie Mortdecai?

– A broń Boże! – wykrzyknąłem żywo. – Jestem zgniłym kapitalistą. Łać w mordę tych wszystkich robotników!

– A w czasach szkolnych? – delikatnie indagował dalej.

– No tak. Tak, rzeczywiście, chyba raz czy dwa stanąłem po stronie czerwonych w klubie dyskusyjnym. Ale w ostatnich klasach wszyscy chorują na religię albo komunizm... to jak trądzik młodzieńczy, rozumie pan. Przechodzi po pierwszym normalnym stosunku płciowym.

– Rozumiem – odparł cicho.

Nagle zauważyłem, że facet ma trądzik. Trafiony,

niezatopiony, tak to się chyba mówi. I jak, u licha, zdążyli się dokopać do tych wszystkich brudów na mój temat? Teczka wygląda na grubą i wyobraconą jak walijska barmanka. Zachciało mi się do toalety.

Zapadła cisza, która ciągnęła się w nieskończoność. Zapaliłem papierosa, aby zademonstrować niewzruszony spokój, ale i na to był przygotowany. Wcisnął jakiś guzik i polecił sekretarce, żeby poprosiła woźnego o popielniczkę. Przyniósłszy ją, od razu włączyła klimatyzację. Znowu punkt dla niego. Musiałem odrobić straty.

– Panie pułkowniku – odezwałem się cierpko – a gdybym tak jako dżentelmen dał panu słowo honoru – to było dopiero uderzenie – że zupełnie nie interesuje mnie polityka i że moja misja nie ma nic wspólnego z narkotykami, kontrabandą, walutą, białym niewolnictwem, zwyrodnieniami seksualnymi ani mafią, ma natomiast związek z interesami najmożliwszych tego świata?

Ku mojemu zdumieniu to jakby zadziało. Z wolna pokiwał głową, złożył podpis na pierwszej kartce od góry i opadł na oparcie fotela. Amerykanie mają w sobie czasami zaskakujące pokłady staroświecczyny. Atmosfera w gabinecie od razu wyraźnie się rozluźniła, nawet klimatyzator jakby zmienił ton. Wyteżyłem słuch.

– Proszę mi wybaczyć – odezwałem się – ale w pańskim magnetofonie chyba skończyła się taśma.

– Tak? Dziękuję panu – powiedział i nacisnął inny



guzik. Cycata sekretarka wślizgnęła się do pokoju, wymieniła szpulę i wyślizgnęła się ponownie, rzucając mi po drodze nieznaczny, higieniczny uśmiech. Angielska sekretarka by prychnęła.

– Dobrze pan zna Milтона Krampfa? – ni stąd, ni zowąd zapytał Blucher. Najwyraźniej piłka wciąż była w grze.

– Krampf, Krampf...? – powtórzyłem. – A tak, to mój dobry klient. Mam nadzieję, że spędzę z nim kilka dni. Bardzo miły gość. Trochę stuknięty, ale może sobie na to pozwolić, nieprawdaż? Ha, ha.

– Nie, panie Mortdecai, miałem na myśli doktora Milтона Krampfa III, syna pana Milтона Krampfa juniora.

– A tu pan mnie ma – odparłem zgodnie z prawdą. – Nie miałem okazji poznać pozostałych członków rodziny.

– Naprawdę, panie Mortdecai? A przecież doktor Krampf to szeroko znany historyk sztuki, mam rację?

– Pierwsze słyszę. A w czym się specjalizuje?

Pułkownik zaczął przerzucać papiery w teczce – może to była jednak teczka Krampfa.

– Zdaje się, że opublikował wiele artykułów w amerykańskich i kanadyjskich czasopismach – odrzekł – w tym: *Brak obrazowania w środkowym okresie twórczości Dérain, Chromato-przestrzenne relacje w malarstwie Dufy’ego, Léger i kontrsymbolizm...*

– Stop! – zawołałem, wijąc się. – Wystarczy. Sam mógłbym wymyślić pozostałe tytuły. Znam się na tym dobrze, to nie ma nic wspólnego z historią sztuki. Ja zajmuję się starymi mistrzami i pisuję do „Burlington Magazine”... należę do zupełnie innego gatunku snobów niż ten Krampf i nasze ścieżki jako naukowców nigdy się nie przetną.

– Rozumiem.

Nic nie rozumiał, ale raczej by umarł, niżby się do tego przyznał. Rozstaliśmy się w obłoku nieszczerości. Wciąż wyglądał młodo, ale już nie tak bardzo jak wtedy, kiedy przyszedłem.

W drodze do domu znowu popadłem w zadumę.

Jock czekał już na mnie ze smażonymi kurzymi wątróbkami, ale nie miałem apetytu. Zjadłem tylko banana i wypilem jedną trzecią butelki ginu. Potem trochę się przespałem, pochrapałem sobie, splótszy palce na brzuchu. Taka drzemka bardzo pomaga na kłopoty. Jeśli o mnie chodzi, spełnia rolę dobrego, mądrego, zalatującego tytoniem, ubranego w tweedy angielskiego ojca, jakiego mieli inni chłopcy, gdy byłem mały; takiego, z którym możesz rozmawiać na wszelkie tematy podczas długich wędrówek po wzgórzach, który szorstko mówi ci, że „człowiek powinien dawać z siebie wszystko”, że „powinieneś być mężczyzną”, a potem uczy cię zarzucać przynętę na pstrąga.

Mój ojciec taki nie był.

Sen często zastępował mi tę mityczną postać: często budziłem się pokrzepiony i uspokojony, z rozwiązanymi problemami oraz wyraźną wizją tego, co należy zrobić.

Tym razem jednak obudziłem się nieodświeżony i bez genialnych pomysłów rojących się w głowie. Zamiast krzepiącego wrażenia, że czuję obejmujące mnie ciepłe tweedowe ramię, miałem tylko starego kaca u podstawy czaszki i smak psiej kupy w ustach.

Pamiętam, że słuchając syku rozpuszczającego się w szklance alka-seltzer, powiedziałem: „Trudno się mówi”. Postanowiłem wypróbować efekt czystej koszuli i umytej twarzy; przyniosło to pewną poprawę, ale w głowie wciąż mi się tłukły różne małe zmartwienia wielkości wszy. Nie lubię zbiegów okoliczności i wprost nie znoszę młodych amerykańskich pułkowników, zwłaszcza w źle leżących mundurach.

W tamtych czasach byłem pogodnym, beztroskim facetem, zawsze radośnie witającym wszelkie drobne przeciwności, z nadzieją na przyjemność ze sprawnego ich pokonywania. Toteż zmartwiłem się tym, że jestem zmartwiony, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Złe przeczucia powinny nachodzić człowieka tylko wtedy, gdy ma zaparcie, a ja akurat nie miałem.

Kiedy wyłoniłem się z pokoju, Jock wręczył mi sztywną kopertę; została doręczona, gdy spałem, przez – jak się dowiedziałem – „długi strumień szczyn” w meloniku. Jock, wiedziony niezawodnym instynktem, zaproponował mi w kuchni pintę piwa, ale spotkało się

to z opryskliwą odmową.

Autor listu, który był, jak się zdaje, zastępcą prywatnego sekretarza stałego podsekretarza kogoś innego czy kimś takim, pisał, że otrzymał polecenie, aby zwrócić się do mnie z prośbą (a może odwrotnie – zapomniałem) o stawienie się – o dziesiątej trzydzieści następnego dnia – w pokoju 504 w jednym z tych brzydszych nowych budynków rządowych na spotkanie z niejakim panem L.J. Crouchem.

Mam w życiu dwie zasady, którymi się kieruję, mianowicie:

Zasada numer 1: Jestem do dyspozycji klienta o każdej porze dnia i nocy i żaden trud nie jest dla mnie za wielki, jeśli tylko służy to interesom innych.

Zasada numer 2: Z drugiej strony chromolę, jeżeli ktoś chce mnie wyruchać.

Oddaliłem list Jockowi.

– To podpada pod zasadę numer 1, nie sądzisz, Jock?

– Ma pan całkowitą rację, panie Charlie.

– Dziesiąta trzydzieści, pisali?

– Tak jest.

– Więc obudź mnie o jedenastej rano.

– Dobrze, panie Charlie.

Od razu podniesiony na duchu tą demonstracją tumiwizmu, udałem się do Veeraswamy i zapobiegliwie objadłem się curry z jagnięciną i ćapati z masłem. Wspaniale odziany odźwierny jak zwykle zasalutował mi pięknie za najbardziej błyszczącą

półkoronówkę, jaką tylko mogłem znaleźć w kieszeni. Coś takiego za niewygórowaną cenę. Jeśli jesteście w dołku, znajdźcie kogoś, kto wam zasalutuje.

Z mojego skromnego doświadczenia wynika, że po curry kobiety mają ochotę pójść do łóżka i uprawiać seks; ja miałem ochotę pójść do łóżka i pozbyć się zawartości żołądka. Dziwnie ciężkostrawna potrawa to curry.

Obolały i ociężały powlokłem do łóżka, a Jock przyniósł mi whisky z wodą sodową na schłodzenie krwi. Przez chwilę czytałem *Nędzę historycyzmu* Karla Poppera, a potem zasnąłem i śnili mi się pendzabscy pułkownicy w czapkach z uszami; nieczyste, podejrzanę sny.

O trzeciej nad ranem włączył się alarm antywłamaniowy. Kiedy jesteśmy w domu, przybiera on formę niskiego wycia o złowróżbnej częstotliwości, które słychać w obu sypialniach, obu łazienkach, salonie i sraczu Jocka. Milknie, gdy tylko każdy z nas wciśnie guzik, co stanowi znak, że obaj jesteśmy gotowi do działania. Wcisnąłem swój i alarm natychmiast się wyłączył. Udałem się więc na swoje stanowisko, czyli na fotel w najciemniejszym kącie sypialni, a wcześniej włożyłem pod kołdrę podgłówek, żeby udawał śpiącego mnie. Nad fotelem wiszą antyczne strzelby: jedna to śrutówka Joego Mantona kalibru 8 milimetrów, z pięćcipółmilimetrowym pociskiem w prawej rufie i z nabojem do wiatrówki w lewej. Znajdująca się pod

nimi staroświecka rączka zwalnia klamrę, która przytrzymuje je na ścianie. Moim zadaniem było siedzieć tam bez ruchu, obserwując drzwi i okna. Jock tymczasem miał zejść do centrali systemu alarmowego, żeby sprawdzić, gdzie włączył się alarm, a następnie zająć pozycję przy tylnych drzwiach, by w razie czego odciąć włamywaczowi odwrót i – gdyby okazało się to konieczne – podążyć za nim na górę do mojego pokoju. Siedziałem zaczajony w martwej ciszy, przerywanej jedynie odgłosami powodowanymi przez spożyte wcześniej curry, które przewalało się we mnie niczym skarpety w pralce. Bardzo trudno się bać, dzierżąc w rękach załadowaną śrutówkę kalibru 8 milimetrów, ale mnie jakoś się to udawało. Bo coś takiego nie powinno się dziać, rozumiecie.

Po eonie albo dwóch alarm wydał krótkie piknięcie stanowiące sygnał, że mam pójść na dół. Umierając ze strachu, zszedłem na palcach do kuchni, gdzie przy drzwiach ujrzałem Jocka stojącego na golasa ze starym lugerem kalibru 9 milimetrów. Na tablicy centrali wciąż szaleńczo migało fioletowe światółko oznaczone napisem „Drzwi frontowe”. Kilkoma skinieniami głowy Jock przedstawił plan taktyczny. Wślizgnąłem się do salonu, skąd mogłem obserwować hol i drzwi frontowe, podczas gdy Jock bezszelestnie odsunął rygle w tylnych drzwiach. Usłyszałem, jak je otwiera, a następnie wypada na korytarz. Stamtąd zawołał mnie cicho, natarczywie. Przebiegłem zatem przez jadalnię,

wpadłem do kuchni i wyjrzałem za drzwi. Na korytarzu był tylko Jock. Podążyłem ze jego spojrzeniem w stronę windy; świecił się nad nią numer piętra – piąte, czyli moje. W tej samej chwili winda jęknęła, a piątka zamigotała, więc Jock pognał ku schodom, po czym, nie wydając żadnego dźwięku, zniknął na dole. Trzeba widzieć go w akcji – stanowi iście przerażający widok, zwłaszcza gdy jest goły. Zbiegłem pół piętra niżej, aż ujrzałem prawie całą klatkę schodową; Jock ustawił się na parterze, obserwując drzwi windy. Po sekundzie czy dwóch zerwał się z miejsca i zniknął na tyłach budynku; to mnie trochę zdziwiło, ale nagle zdałem sobie sprawę, że winda musiała zjechać do sutereny. Zbiegłem więc po schodach na łeb na szyję, zupełnie zapominając już o strachu, i kiedy znalazłem się na trzecim piętrze, zobaczyłem, że winda znowu jedzie w górę. Toteż pobiegłem w tym samym kierunku i dotarłem na piąte piętro, kompletnie wykończony. Winda zatrzymała się jednak na trzecim. Wpadłem do mieszkania, przemknąłem przez salon i ukląknąłem przy konsoli gramofonu. Znajdujący się w niej przycisk uruchamiał alarm w stanowisku ochrony „Trzeba Złodzieja na Złodzieja” – jakże marzyłem w tej chwili o tych złoczyńcach! Nie zdążyłem jednak wcisnąć guzika, bo ktoś walnął mnie w głowę u podstawy czaszki – tam, gdzie jeszcze czaił się kac po ginie. Zawadziłem brodą o krawędź konsoli i tak zawisłem. Czułem się bardzo głupio, dopóki nie zostałem uderzony ponownie,

a wtedy bez trudu przeleciałem przez podłogę i zacząłem spadać mila po mili.

Minęła wieczność, gdy oprzytomniałem, i to z wielką niechęcią. Nade mną niczym księżyc wznosiła się twarz Jocka, który pomrukiwał z niepokojem. Kiedy się odezwałem, echo mojego własnego głosu niemal rozsadziło mi głowę. Przepęłniła mnie nienawiść i poczucie nieszczęścia.

– Zabiłeś go? – zapytałem Jocka ze złością.

– Nie, panie Charlie. Czekałem jakiś czas na dole, ale winda zatrzymała się na trzecim piętrze, więc znowu odczekałem chwilę, a potem próbowałem ją ściągnąć, tyle że zjechała pusta. Wobec tego pojechałem na górę, ale pana nie było na zewnątrz, no to podbiegłem do schodów, żeby sprawdzić, czy pana gdzieś nie zobaczę, a wtedy usłyszałem, że winda znowu zjeżdża, i pomyślałem sobie, że tak może być przez całą cholerną noc, więc wszedłem do mieszkania i zacząłem pana szukać. A pan tu leżał i przestraszyłem się, że...

Ledwo podniosłem rękę.

– Przestań – poprosiłem – nie jestem w stanie za tym wszystkim nadążyć. Głowa mi pęka. Przeszukaj mieszkanie, pozamykaj drzwi na klucz, zaprowadź mnie do łóżka i znajdź mi największe tabletki na sen, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. No i włóż coś na siebie, ty idioto, bo inaczej przeziębisz się na śmierć.

I w tym momencie wyłączyłem C. Mortdecaia jako jednostkę i pozwoliłem biedakowi znowu przelecieć



przez podłogę ku mrocznemu morzu.

Jeśli ktoś zamierzał poderżnąć mi później gardło, to nie miałem nic przeciwko temu.

## 7

Któż by gromy ciskał  
Na taką płochość? Gdybyś pan wymownie  
(Czego nie umiem) rzekł jasno, a godnie  
Takiej osobie, że cię uraziła  
W tym albo tamtym, że tu przeoczyła,  
A tam przebrała miarę – i pouczeń  
Gdyby słuchała, nie oddając kluczy  
Do serca, chociaż w przeprosinach chyża –  
Na klaps by wyszło; a ja nie poniżam.

*Moja ostatnia księżna, przeł. Juliusz Żuławski*

Bardzo ostrożnie uniosłem powiekę i szybko znowu ją zamknąłem. Bezlitosny promień słońca wwiertł mi się w czaszkę, aż z mojego mózgu pociekła krew.

Po dłuższym czasie spróbowałem jeszcze raz.

Blask słońca już trochę przygasł, a przy nogach łóżka, załamując ręce, kręcił się Jock. Trzymał przy tym tacę z herbatą, ale naprawdę odniosłem przemożne wrażenie, że załamuje ręce.

– Odejdź – jęknąłem.

Odstawił tacę i nalał herbaty do filiżanki; zabrzmiało to tak, jak gdyby ktoś spuszczał wodę w kabinie pogłosowej. Jęknąłem znowu i odwróciłem się twarzą

do ściany, ale Jock delikatnie poklepał mnie po ramieniu, mrużąc: „No, no”, „Już dobrze” czy coś w tym rodzaju. Podniosłem się, żeby zaprotestować – ale ten ruch spowodował, że moja głowa jakby została z tyłu na poduszce. Ostrożnie pomacałem obolałe miejsce; było w dotyku trochę gąbczaste i rozmiękłe, ale ku swojemu zdziwieniu nie wyczułem zaschniętej krwi. Doszedłem do wniosku, że gdyby pękła mi czaszka, to w ogóle bym się nie obudził. Choć tego ranka to nie miało znaczenia.

Jeśli chodzi o herbatę, nie był to mój codzienny lapsang ani ulung, ale mocniejsza queen Mary's blend firmy Twining: mądry Jock, wiedział, że taki poranek wymaga mocniejszego trunku. Wypiłem pierwszą filiżankę, potem Jock podał mi dwie rozpuszczone tabletki alka-seltzer (ten odgłos!), dwie aspiryny i dwie deksedryny, w wymienionej kolejności, i spłukałem to wszystko drugą filiżanką faworyty królowej Marii. Nigdy więcej nie powiem złego słowa o tej świętej kobiecie.

Niebawem odzyskałem zdolność racjonalnego myślenia i racjonalne myślenie podpowiedziało mi, żebym znowu uderzył w kimono. Lewitowałem już w stronę poduszek, gdy Jock stanowczym gestem podniósł mnie na nogi i postawił mi na głowie tacę z filiżankami herbaty, żebym nie mógł się ruszyć.

– Ta dziwka dzwoni przez cały dzień – powiedział – mówi, że jest zastępcą sekretarza czyjegoś sekretarza,

że chodzi o jakieś dokumenty na podróż i że powinien pan przyjść, jeśli tylko może pan chodzić, bo jej szef przyjmie pana w każdej chwili do wpół do piątej. A dochodzi trzecia.

Stękając i pojękując, wydostałem się na powierzchnię.

– Kto to był tu wczoraj w nocy, jak pan myśli, panie Charlie?

– W każdym razie na pewno żaden z ludzi Martlanda – odpowiedziałem. – Ci spodziewaliby się większych atrakcji, jak ostatnim razem. Czy coś zginęło?

– Na razie nic mi się nie rzuciło w oczy.

– Hm, nie zadali sobie tyle zachodu tylko po to, żeby zdzielić mnie w tył głowy, to jasne jak słońce.

– Może to był zwykły złodziej: nie zrobił zwiadu jak trzeba, został nakryty, stracił głowę i czym prędzej dał dyla. Zostawił to w zamku, dlatego lampka od alarmu nie zgasała.

„To” okazało się kieszonkowym kalendarzykiem wykonanym ze sztywnego celuloиду, w kształcie karty do gry; na odwrocie znajdował się płomienny apel do czytelnika, żeby spróbował jakiegoś ciemnego piwa. Czymś takim dałoby się otworzyć wszelkiego rodzaju zamki bębnekowe ze sprężynowymi zapadkami, ale nie mój zamek antywłamaniowy Chubba z fosforowobrazowymi bolcami, i każdy, kto spędził w poprawczaku choćby tydzień, musiał to wiedzieć. Nie podobało mi się to. Nieopierzeni włamywacze nie wprawiają się na luksusowych mieszkaniach na piątym

piętrze przy Upper Brook Street.

Po raz pierwszy zacząłem się nad tym poważnie zastanawiać i coraz mniej mi się to podobało.

– Jock – powiedziałem – jeśli go zaskoczyliśmy, kiedy próbował otworzyć tym zamek, to dlaczego go tam nie było, gdy go zaskoczyliśmy? A ponieważ go tam nie było, jak mógł zobaczyć, że jest nas dwóch? A jeżeli dał za wygraną, zanim się pojawiłeś, to dlaczego zostawił takie użyteczne narzędzie i siedział w windzie, zamiast „szybko dać dyla”?

Jock otworzył usta, żeby wspomóc proces myślenia. Widać było wyraźnie, jakie to dla niego bolesne.

– Nieważne – odparłem łaskawie. – Wiem, jak się czujesz. Mnie też boli. Wygląda na to, że te drań wetknął kartonik do zamka, żeby uruchomić alarm, a potem przyczaił się w windzie. Kiedy się zjawiłeś, wyskoczył, żeby cię odciągnąć. Potem pojechał na trzecie piętro, bo wiedział, że jak każdy, kto ma trochę oleju w głowie, będziesz czekał na niego na dole. Wybiegł z windy i poszedł schodami na piąte piętro, wiedząc, że poradzi sobie ze mną, jeśli będę sam. Załatwiwszy mnie, słyszy, że przyjechałeś, chowa się za drzwiami i wychodzi po cichu, gdy ty biegniesz ratować swojego pana. Chodziło o to, żeby pozbyć się ciebie na kilka minut i dopaść mnie samego przy otwartych drzwiach. Teraz pozostaje tylko znaleźć odpowiedź: nie jak ani kto, lecz po co to wszystko.

– Żeby coś rąbnąć...

– Jeśli tak, musiało to być coś do zabrania, coś, co łatwo znaleźć... bo przecież nie mógł liczyć, że będzie miał dużo czasu... i co jest na tyle ważne, by takie ryzyko się opłacało. I być może coś, co pojawiło się tu niedawno, bo cała ta sprawa zalatuje mi improwizacją.

– ...albo żeby coś zostawić – podjął Jock z niezawodną logiką.

Aż podskoczyłem, co sprawiło, że mój ból głowy wierzgnął i znowu mnie kopnął. To była paskudna sugestia.

– Co, u licha, ktoś chciałby tu zostawiać? – zapytałem piskliwie, aż bojąc się odpowiedzi.

– No, przykładowo pluskwę – odparł Jock. – Albo kilka uncji heroiny, dość, żeby zapuszkowali pana na dwanaście miesięcy. Albo, dajmy na to, funt plastiku, takiego, co wybucha...

– Wracam do łóżka – oświadczyłem kategorycznie. – Nie chcę brać w niczym takim udziału. Nikt tu nie zamawiał żadnych bomb.

– Nie, panie Charlie, musi pan pójść do szefa tej sekretarki sekretarza. Skoczę do garażu i wyprowadzę wielki słoń dzemu.

– I zostawisz mnie samego w mieszkaniu usianym minami przeciwpancernymi? – jęknąłem.

Ale on już zniknął. Wyrzekając z goryczą, włożyłem na siebie przypadkowe elementy garderoby dżentelmena, przeszedłem na palcach przez mieszkanie i zjechałem na parter. Na szczęście nic nie eksplodowało

mi pod stopami.

Jock czekał na mnie na poziomie ulicy w rollsie i żeby sprawić mi przyjemność, miał na głowie czapkę szofera. Kiedy zajechaliśmy pod budynek ministerstwa, nawet wyskoczył z auta i otworzył mi drzwi; wiedział, że to mnie rozweseli, pocziwiec.

Chyba uwierzycie, że naprawdę nie pamiętam, jakie to było ministerstwo. Działo się to zaraz po dymisji Wilsona, który, jak pewnie sobie przypominacie, zrobił potworny bałagan, zmieniając nazwy resortów. Powiadają, że jeszcze kilku smętnych urzędników państwowych snuje się jak duchy po korytarzach Whitehallu, łapiąc nieznajomych za rękaw i błagając, żeby im powiedzieli, jak trafić do Ministerstwa Integracji Technologicznej. Wprawdzie na ich konta poprzez przelewy bankowe wciąż wpływają pensje, ale tych nieszczęśników najbardziej boli to, że żadni przełożeni nie odczuwają ich braku.

Tak czy owak Jock zostawił mnie przed tym ministerstwem i już po chwili różni młodzi supermężczyźni prowadzili mnie od drzwi do drzwi – każdy z nich był ubrany ładniej od poprzedniego, a drzwi coraz cięższe i bardziej głuche – aż w końcu znalazłem się sam na sam z L.J. Crouchem. Przygotowałem się na spotkanie z takim angielskim pułkownikiem Blucherem, a tymczasem nie mogłem się bardziej pomylić. Potężny, wesoły, grubokościsty facet z włosami jak słoma zdjął nogi z mocno nadjedzonego

przez korniki biurka i przyczłapał, żeby się ze mną przywitać.

– Ha! – ryknął. – Świetnie! Cieszę się, że widzę cię na nogach, młodzieńcze! Jak się dostanie w tyłek, najlepiej wstać i ruszyć do ataku. *Nil illegitimis carborundum*, co? Nie daj się draniom!

Zachichotałem słabo i zapadłem się w głęboki skórzany fotel, który mi wskazał. Gdy rozglądałem się wokół, w moich bezwładnych rękach znalazły się cygara, whisky i woda sodowa. Meble niewątpliwie pochodziły z plebanii lepszego sortu: wszystkie były doskonale wykonane, choć trochę przechodzone. Naprzeciwko, z grupowej szkolnej fotografii wiszącej nad fotelem mojego gospodarza, wytrzeszczało albo mrużyło oczy sześćdziesięciu chłopców o różowych licach. Nad nimi widniało wiosło ósemki, rozłupane i osmalone, noszące barwy college’u St. Edmund Hall. W kącie spoczywała stara mosiężna łuska pocisku morskiego, obstawiona kijami do gry w polo i floretami o rękojeściach ze starym wzorem w motyle. Dwie ściany były ozdobione wczesnymi angielskimi akwarelami z tych dobrych, ponurych, niebieskawych. Nie ma nic nudniejszego, jak mawiał sir Karl Parker [11](#), niż wczesna angielska akwarela – chyba że wyblakła wczesna angielska akwarela. Ale ja zjadłem na nich zęby i zawsze darzę je szacunkiem.

– Zna się pan na akwarelach? – zapytał Crouch, podążając za moim wzrokiem.



– Trochę – odparłem. Spojrzałem mu prosto w oczy.  
– Ma pan tu *Loarę* J.M.W. Turnera, która nie może być oryginałem, bo ten znajduje się w Ashmolean; wspaniałego Callowa z lat czterdziestych dziewiętnastego wieku; Faringtona, którego trzeba by wyczyścić, polichromię Jamesa Bourne’a – to dość rzadkie dzieła; *Łąkę* Petera de Winta z przemalowanym niebem; wspaniałego Johna Sella Cotmana; parę dość efekciarskich Varleyów ze schyłkowego okresu; Payne’a, który został zreprodukowany przed wojną w „Connoisseur”; Rowlandsona, którego Sabine wystawiła na sprzedaż w latach czterdziestych; *Scarborough* Francisa Nicholsona w zblakłym różu... on raczej użyłby indygo; cennego Cozensa i najlepszego Edridge’a, jakiego kiedykolwiek widziałem.

– A niech mnie! – skomentował. – Moje gratulacje. Widzę, że naprawdę zna się pan na rzeczy.

– Och, uległem nieodpartej pokusie, żeby się popisać – odparłem skromnie. – Po prostu mam wprawę i tyle.

– Muszę powiedzieć, że Edridge’a sprzedano mi jako Girtina.

– To powszechny proceder – wyjaśniłem.

– A ile dałby mi pan za całą kolekcję?

Marszand musi być na coś takiego przygotowany. Kiedyś, dawno, dawno temu, obrażałem się w takich sytuacjach, ale teraz znam już wartość pieniędzy.

– Dwa tysiące, dwa tysiące pięćdziesiąt –

odpowiedziałem, wciąż patrząc mu prosto w oczy.

Wyraźnie się przestraszył.

– Funtów?

– Gwinei – powiedziałem. – Jakżeby inaczej.

– Wielki Boże! Przestałem kupować obrazy całe lata temu, kiedy zamknięto stare poczciwe Walker Galleries. Nie wiedziałem, że ceny aż tak skoczą...

– Dla pana ceny będą spadać, jeśli nie zabierze pan tych dzieł ze słonecznego pokoju. Zblakły już tak, że bardziej nie powinny.

Dziesięć minut później drżącymi palcami wziął ode mnie czek. Pozwoliłem mu zatrzymać Nicholsona w zamian za Alberta Goodwina, który wisiał w kiblu. Drzwi gabinetu uchyliły się lekko, a potem zamknęły z pełnym szacunku kliknięciem. To go przestraszyło, jakby miał nieczyste sumienie. Spojrzał na zegar. Było wpół do piątej; wyglądało na to, że spóźni się na pociąg. A razem z nim jego piękni chłopcy, jeśli się nie pospieszy.

– Niech pan powtarza za mną – polecił mi, wyjmując jakąś brudną kartę z szuflady biurka. – Ja, Charlie Strafford Van Cleef Mortdecai, wierny i lojalny sługa Jej Wysokości królowej Anglii, przysięgam uroczyście, że...

Wytrzeszczyłem oczy. Czyżby ten człowiek miał jakieś wątpliwości co do mojego czeku?

– No dalej – zachęcił mnie – niech pan to wykrztusi, przyjacielu.

Wykrztusiłem, linijka po linijce, przysięgając, że będę oddanym kurierem Jej Królewskiej Mości w granicach imperium i poza nimi, pomimo, niezależnie od, w każdym przypadku, tak mi dopomóż Bóg. Potem Crouch dał mi małą szkatułkę na biżuterię z tandetnie wyglądającym srebrnym psem w środku, dokument zaczynający się od słów „My, Barbara Castle, żądamy i domagamy się” oraz cienką teczkę z czerwonej skóry ze złotym tłoczonym napisem „Dwór Świętego Jakuba”. Podpisałem wszystko, aż rozbolała mnie głowa.

– Nie wiem, o co tu chodzi, i nie chcę wiedzieć – powtarzał, gdy składałem podpisy.

Uszanowałem jego życzenie.

Młodzi ludzie odprowadzili mnie do drzwi, rzucając mi gniewne spojrzenia za to, że przeze mnie nie zdążą na pociąg. Etatowcy z budżetówki, oczywiście. Nie wytrzymałbym takiego życia.

Martland zaparkował na podwójnej żółtej linii i teraz pokazywał swoją legitymację służbową dwóm strażnikom miejskim; jeszcze chwila i by im powiedział, żeby przystrzygli włosy. Z rozdrażnieniem dał mi znak, żebym wsiadł do jego okropnego mini, i zawiózł mnie do ambasady amerykańskiej, gdzie dobroduszny znudzony facet przywalił na moje nowe dokumenty pieczęć Departamentu Stanu i życzył mi bałdzo, bałdzo udanego pobytu w JuEsEi. Potem pojechaliśmy do mojego mieszkania, gdzie dałem Martlandowi drinka, a on mi pakiet biletów samolotowych, voucher

przewozowy i tym podobne, a także wypisaną na maszynie listę z terminami, nazwiskami i procedurami. (Te ostatnie to wszystko dyrdymały). Był milczący, ponury i zamyślony. Powiedział, że to nie on walnął mnie w łeb poprzedniej nocy i że nie obchodzi go, kto to zrobił. Nie wydawał się jednak szczególnie zaskoczony tą informacją, tylko raczej zirytowany. Podejrzewałem, że zaczął podejrzewać – tak jak ja – że zaplątaliśmy się w pogmatwaną sieć, którą rozsnuliśmy. I tak jak ja zachodził w głowę, kto w końcu manipuluje kim.

– Charlie – powiedział z namaszcczeniem, kładąc rękę na gałce u drzwi – jeśli przypadkiem wrabiasz mnie w tę aferę z obrazem Goi albo wystawiasz w sprawie Krampfa, będę musiał cię załatwić, rozumiesz to, prawda? Niewykluczone, że i tak będę musiał to zrobić.

Zaproponowałem mu, żeby pomacał tył mojej głowy, przypominający w dotyku wole, które straciło poczucie kierunku, ale odmówił w sposób obraźliwy. Wychodząc, trzasnął drzwiami, co znowu odbiło się przeraźliwym echem w mojej biednej czaszce.

## 8

Nowego niosłem w górę Ganimeda  
Na skrzydłach wysłużonych, lecz wciąż zdolnych  
Nosić, wciąż zdatnych do celów ptasznika;  
Z pięknym – nie jak u byle pardwy – pierzem.  
Gdy Paracelsus zważy tę drobinę,  
Bóg wie, że twoją chudość da się ująć  
(Miłość na drugiej szalce!)...  
...w jednym słowie,  
W pół słowa nawet – nim się zdążysz wzdrygnąć,  
Nim Paracelsus utka myśl, tak lekką  
Jak miłość chłopca, jak śmierć delikatną,  
Naszkić tam ciebie.

*Paracelsus, przeł. Grzegorz Uzdański*

Wyruszałem do Ameryki – był pierwszy dzień wakacji. Zerwałem się z łóżka, wołając o kubek i łoatkę, klapki i czapkę z daszkiem. Bez pomocy stymulantów zbiegłem w podskokach po schodach, śpiewając wesoło: „Jutro o tej porze w szkole nie będzie mnieeee!”, i przeszkadzając Jockowi, który markotnie pakował moje letnie rzeczy przed amerykańską podróżą.

– Dobrze się pan czuje, panie Charlie? – zapytał złośliwie.

– Jock, nie umiem wyrazić, jak dobrze. „Koniec z francuskim, koniec z łaciną, koniec z siedzeniem w twardej ławie godzina za godziina!” – śpiewałem dalej.

Był piękny ranek, który nawet przez samą Pippę mógłby zostać uznany za *proxime accessit*. Świeciło słońce, kanarek darł się radośnie. Na śniadanie była zimna potrawka z ryżu, ryby i jaj; zjadłem dużą porcję, bo nie ma nic lepszego pod słońcem – i spłukałem butelkowym piwem. Jock trochę się dąsał, że musi zostać, ale w głębi duszy już nie mógł się doczekać, kiedy będzie miał całe mieszkanie dla siebie. Jestem pewien, że pod moją nieobecność sprowadzał kumpli, żeby pograć w domino.

Potem otworzyłem zbierającą się od tygodnia korespondencję, wypełniłem dowody wpłat, wypisałem kilka czeków dla bardziej naprzykrzających się wierzycieli, zadzwoniłem pod numer męskiego sekstelefonu, podyktowałem z tuzin listów i zjadłem lunch.

Przed wyruszeniem w długą wyprawę zawsze jem taki sam posiłek, jaki Ropuch przygotował dla Morskiego Szczura. Zjedli go razem przy drodze. Ropuch, jak pamiętacie, odcytani czytelnicy, „...zapakował skromne śniadanie... wziął metr paryskiej bułki, kiełbasę zalatującą czosnkiem, ser, który niemalże szedł piechotą, i oplataną flaszkę o długiej szyjce, zawierającą słońce złane w butelkę i przechowywane na dalekim

Południu” [12](#).

Współczuję wszystkim, którym nie cieknie ślinka na wspomnienie tych pięknych linijek. Ilu mężczyzn w moim wieku ma upodobania i smaki, ukształtowane przez te – ledwie pamiętane – słowa?

Jock zawiózł mnie do warsztatu pana Spinozy; tam załadowaliśmy do silver ghosta moje walizki (jedną ze świńskiej skóry, drugą płócienną) oraz worek z książkami. Mechanik Spinozy, o guście niemal godnym Japończyka, nie wyklepał dziury po pocisku w drzwiach, ale rozwiercił ją i wstawił w to miejsce dysk z polerowanego mosiądzu ze starannie wygrawerowanymi inicjałami Spinozy i datą upamiętniającą dzień, w którym ten odszedł na spotkanie ze swoim zazdrosnym Bogiem – Stwórcą stwórców wszelkich stworzeń, jak zgrabnie ujął to Kipling.

Spinoza i ja mieliśmy pewne trudności z wyperswadowaniem Krampfowi pomysłu, żeby wstawić do silver ghosta zsynchronizowaną skrzynię biegów; teraz każde koło łańcuchowe i wał były wierną repliką oryginalnej skrzyni, z trzydziestu tysiącami mil na liczniku, który z rozkoszą podkręcił paskudny terminator. Biegi wchodziły w sposób, który przywodził mi na myśl ciepłą łyżkę zagłębiającą się w dużą porcję kawioru. Mechanik używał innej metafory, o bardziej uniwersalnym charakterze – lubił porównywać to do szybkiego numerka z damą lekkich obyczajów, którą często odwiedzał. Popatrzyłem na tego gościa,

wybałuszając ślepią; był dwa razy ode mnie starszy.

– Podziwiam pana! – zawołałem z podziwem. – Skąd u pana taka jurność w jesieni życia?

– No cóż, proszę pana – odparł skromnie – jurność to zasługa genów i wychowania. Mój tato lubił bara-bara; a włosy miał gęste jak szczotka do późnej starości, do ostatniego dnia życia. – Otarł po męsku łzę. – Ale prawda jest taka, że nie zawsze potrafię sprostać wymaganiom mojej przyjaciółki. Czasami, proszę pana, to jakby próbować wsadzić cukierek ślazowy do skarbonki.

– Wiem, co ma pan na myśli – odparłem.

Serdecznie uścisnęliśmy sobie ręce; facet z godnością przyjął dychę, którą dałem mu dyskretnie, po czym Jock i ja ruszyliśmy w drogę. Wszyscy z warsztatu machali nam na pożegnanie, z wyjątkiem paskudnego terminatora, który tak się śmiał z niewiadomego powodu, że aż się posikał. Chyba wydawało mu się, że wpadł mi w oko, na miłość boską!

Na londyńskie lotnisko zajechaliśmy niemal po królewsku; pozdrawiałem wszystkich cudownie eliptycznym, skierowanym nieco w dół, wręcz niepowtarzalnym gestem, w którym celuje królowa Maria, matka Jej Wysokości królowej Elżbiety. Można by się oczywiście spodziewać, że człowiek poczuje się niczym władca, mknąc bezszelestnie przez Londyn i jego obrzeża wartym dwadzieścia pięć tysięcy funtów śnieżnobiałym starym rolls-royce'em, a tymczasem, ku



mojemu zaskoczeniu, nasz przejazd budził wybuchy śmiechu – iście świąteczny nastrój. Dopiero po przyjeździe na lotnisko zauważyłem trzy nadmuchane kondomy, wielkie jak balony, które paskudny terminator przywiązał nam do zderzaka.

Na lotnisku zastaliśmy dwóch opryskliwych typów o szurczych twarzach, którzy twierdzili, że nic nie wiedzą o żadnym takim samochodzie, żadnym takim locie, a nawet żadnych takich liniach lotniczych. W końcu Jock wygramolił się zza kierownicy i powiedział im coś w krótkich nieprzyjemnych słowach, a wtedy potrzebne dokumenty znalazły się w mgnieniu oka, i to przekrwionego. Za podszeptem Jocka dałem im funciaka i bylibyście zdziwieni, jak gładko się potem wszystko potoczyło. Z rollsa spuszczone paliwo i wyjęto akumulator. Z jakiegoś sekretnego miejsca wyłonił się piękny młody mężczyzna z bardzo długimi rzesami, który wyjął ze skórzanej teczki stosowne narzędzia. Umieścił małe ołowiane pieczęcie na wszystkich dających się otworzyć częściach silver ghosta (który już znajdował się na palecie), potem puścił oko do Jocka, uśmiechnął się do mnie szyderczo i wrócił pospiesznie do haftowania. Wtedy podszedł przyglądający się temu celnik i wziął ode mnie wszystkie papiery, które dostałem od gościa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Do palety podłączono mały traktor, który odjechał, ciągnąc ją za sobą. Nigdy nie widziałem głupiej wyglądającego

rollsa. Wszystko wskazywało, że to już koniec formalności. Jock odprowadził mnie do terminalu dla pasażerów, gdzie pozwoliłem, aby postawił mi drinka, bo lubi trzymać fason przy ludziach, a potem pożegnaliśmy się szorstko.

Mój lot został zapowiedziany przez megafon głosem Kaczora Donalda. Wstałem więc i wyruszyłem naprzeciw statystycznie małemu prawdopodobieństwu utraty życia w katastrofie lotniczej. Mnie osobiście myśl o takiej śmierci specjalnie nie przeraża – jaki cywilizowany człowiek nie wolałby zginąć jak Ikar niż zostać przejechanym na ulicy przez forda populara?

Kiedy pozwolono nam znowu rozpiąć pasy bezpieczeństwa, siedzący obok sympatyczny Amerykanin zaproponował mi piękne wielkie cygaro. Mówił do mnie „sir” i był tak nieśmiały, że nie mogłem odmówić. (Było naprawdę doskonałe, z atelier samego Henry’ego Upmanna). Powiedział mi w zaufaniu i z naciskiem, że utrata życia w katastrofie samolotowej jest statystycznie mało prawdopodobna.

– Hm, to dobra wiadomość – zachichotałem.

– Statystycznie – wyjaśnił – według najnowszych danych człowiek znajduje się w największym niebezpieczeństwie, jadąc trzyletnim samochodem autostradą na odcinku jedenastu mil.

– Doprawdy? – zauważyłem. Używam tego słowa tylko wtedy, gdy słucham danych statystycznych z ust sympatycznych Amerykanów.

– Może mi pan wierzyć – zapewnił gorąco. – Jeśli chodzi o mnie, co roku pokonuję samolotem wiele, wiele tysięcy mil.

– Co pan powie – odparłem uprzejmie. – Czy raczej czego pan nie powie, aby dowieść, że liczby nie kłamią. Co?

– Właśnie – odpowiedział, przeciągając to słowo.

Zapadliśmy w przyjacielskie milczenie, pokrzepieni słusnością naszego toku rozumowania, delektując się cygarami, które, kiedy tak gryźliśmy je niczym smoczki, kołysły nasze obawy, podczas gdy samolot, wielki, skrzydlaty szary perszeron ze stali na świetlistych, mocnych jak taran kopytach, pokonywał Kanał Świętego Jerzego. Po chwili Amerykanin zwrócił się w moją stronę.

– Ale czy tuż przed startem nie zaciska pan tyłka? – zapytał cicho.

Dało mi to do myślenia.

– Raczej przy lądowaniu – odparłem w końcu – a to już zupełnie niedobrze, jeśli się nad tym zastanowić.

To z kolei jemu dało do myślenia.

– Tak jak w windzie?

– Otóż to.

Zarechotał radośnie, bo doszedł już do siebie i utwierdził się w przekonaniu, że wszyscy mężczyźni niejako odruchowo zaciskają tyłek, jeśli mogą ukuć taką metaforę.

Wymieniwszy uprzejmości, skupiliśmy się na

własnych zajęciach, jak dwie gospodynie wiejskie wspólnie szyjące patchworkową kapę. Moje przybrało formę nudnego niemieckiego artykułu na temat Settecento w Neapolu (tylko niemiecki *Kunst-kenner* może sprawić, że ta epoka staje się nudna), podczas gdy mój towarzysz rozsunał zamek błyskawiczny przy teczce pełnej wydruków komputerowych, dogłębnie niezrozumiałych. Przez chwilę zmagalem się z gęstą prozą profesora Aschlocha – tylko niemieccy poeci tworzą przejrzystą niemiecką prozę – a potem zamknąłem oczy, zastanawiając się z goryczą, dla którego z moich wrogów pracuje ten miły Amerykanin.

Popełnił bowiem jeden błąd w swoim poza tym nieskazitelnym występie: zapomniał się przedstawić. Czy kiedykolwiek zdarzyło wam się zamienić dwa słowa z Amerykaninem, który wcześniej nie przedstawił się z imienia i nazwiska?

Wyglądało na to, że od środy narobiłem sobie zastępy wrogów. Najbardziej prawdopodobną i najpaskudniejszą możliwość – która powodowała największe odruchowe zaciskanie tyłka – stanowiło to, że kimkolwiek oni są, pracują dla pułkownika Bluchera. Martland był straszliwym draniem na swój własny zaściankowy sposób, ale nie potrafił pozbyć się błogosławionego brytyjskiego dystansu. Ponurzy, niewiarygodnie bogaci agenci rządu amerykańskiego to zupełnie co innego. Są zbyt poważni, zbyt przejęci; wierzą, że to wszystko dzieje się naprawdę.

W żołądku zaczęły mi buzować pobudzone przez *Angst* kwasy trawienne i z mojego jelita cienkiego dobyło się niepokojące bulgotanie. Życzliwie więc powitałem widok stewardesy z tacą bezbarwnego śmiecia; pochłonałem wszystko jak ktoś umierający z głodu, podczas gdy miły Amerykanin podziękował ruchem ręki, cały zblazowany, wylatany samolotami i statystycznie mało prawdopodobny.

Ukoiwszy wrzody plastikowym wędzonym łososiem, gumowym kotлетem w żrącej galarecie, kurzą kupą zawiniętą w bekon z polistyrenu i sączącą się rozmięktłą truskawką na kawałku mydła do golenia, byłem skłonny rozważyć możliwość, że się mylę i że ten człowiek jest ostatecznie zwyczajnym zdrowym amerykańskim głupkiem (takim jak brytyjskie głupki, tyle że z lepszymi manierami).

Bo w gruncie rzeczy po co ktoś miałby nasyłać na mnie takiego człowieka? Jaki numer mogłem wywinąć podczas podróży? A skoro o tym mowa, jaki on mógł wywinąć numer podczas podróży? Wyciągnąć ze mnie jakieś dodatkowe informacje? Zapobiec przejęciu kontroli nad samolotem czy obaleniu Konstytucji Stanów Zjednoczonych? Z pewnością byłaby to też strata agenta, bo po kilku godzinach przebywania w tak bliskiej odległości raczej nie mógłbym go w przyszłości nie rozpoznać. Nie, najwyraźniej musiał być tym, na kogo wyglądał, przeciętnym uczciwym menedżerem, być może jednej z tych superfirm

badawczych, które za pieniądze doradzają Departamentowi Stanu, gdzie powinien rozpocząć kolejną pomniejszą wojnę. Odwróciłem się do niego, odprężony i serdeczny, z na nowo odzyskanym zaufaniem.

– Bardzo przepraszam, ale co pan robi? – zapytałem w tak brytyjski sposób, na jaki tylko mogłem się zdobyć.

Ochoczo złożył harmonię wydruku komputerowego, z którym się zmagał (choć to pestka dla kogoś, kto potrafi poradzić sobie z niedzielnym wydaniem amerykańskiej gazety), i zwrócił się ku mnie uprzejmie.

– Och, ja... eee... porównuję i... eee... koreluję i... eee... szacuję dane z tego nader kompletnego zestawienia... dotyczące kosztów sprzedaży detalicznej w korporacji w... eee... Wielkiej Brytanii, proszę pana – odpowiedział szczerze.

Wciąż patrzyłem na niego z lekko, leciutko uniesionymi brwiami, uprzejmym brytyjskim znakiem zapytania migającym na linii włosów.

– Ryba z frytkami – wyjaśnił krótko.

Opuściłem nieco dolną szczękę, osiągając – jak czułem – jeszcze bardziej brytyjski efekt.

– Ryba z frytkami?

– Właśnie. Zamierzam ją kupić.

– Och. Doprawdy? Eee... a dużo?

– O tak, w pewnym sensie, to znaczy całość.

W dalszym ciągu robiłem pytające, pełne zainteresowania miny, a on mówił, mówił i mówił. Jak

się okazało, ryba z frytkami stanowi ostatnią gałąź przemysłu brytyjskiego, wartą sto milionów funtów, która nie została jeszcze wyeksploatowana, i on zamierza ją eksploatować. Siedemnaście tysięcy smażalni, niemal wszystkie niezależne, a z tego wiele przynoszących tylko marginalny zysk, przetwarza pół miliona ton ryb, milion ton ziemniaków i sto tysięcy ton tłuszczu. Biorą one – jak mi powiedział – wszystkie ryby, jakie sprzeda im dostawca, i płacą jedynie tyle, ile muszą; przeważnie smażą to wszystko na oleju, którym nawet Hotentot wzgardziłby jako erotycznym lubrykantem. Odmalował makabryczny obraz teraźniejszości i różowy przyszłości, kiedy to kupi wszystkie te zakłady i udzieli im franczyzy na swoich warunkach.

Brzmiało to dla mnie całkiem sensownie, więc gdy nadawał dalej, uznałem, że aby zachować autentyzm, na razie mu uwierzę, przynajmniej dopóki nie wyładujemy. Właściwie nawet się zakolegowaliśmy, do tego stopnia, że zaproponował mi, bym zatrzymał się w jego mieszkaniu. Oczywiście aż tak mu nie dowierzałem, więc niestety odrzekłem, że zatrzymam się w ambasadzie brytyjskiej. Spojrzał na mnie w zamyśleniu, a potem wyznał, że marzy o tym, aby na czele jego angielskiej firmy stanął książe.

– Świetna myśl! – zawołałem z entuzjazmem. – Tych nigdy za dużo. To cudowni pracownicy, każdy z nich. Ale muszę pana uprzedzić, że księżęta cieszą się dziś

ogromnym wzięciem; nawet banków kupieckich już na nich nie stać, wszyscy przechodzą do branży menedżerskiej, i to migiem. Być może ujawnią się ponownie teraz, gdy odszedł Wilson, jednakże na pana miejscu zdecydowałbym się raczej na markiza albo ze dwóch hrabiów; jest ich znacznie więcej, a mniej zadzierają nosa.

– Hrabiowie? – zapytał. – A nie zna pan przypadkiem hrabiego Snowdona?

Patrzył na mnie niewinnym wzrokiem, mimo to podskoczyłem jak winowajca odbierający wezwanie do sądu.

– Ależ skąd! – zacząłem pospiesznie. – Nie, nie, nie. Teraz to zupełnie inny człowiek, w każdym razie znalazł sobie pracę, chyba w Design Centre, pracują tam okropni ludzie, oczywiście oprócz niego, on tam projektuje wielkie ptaszarnie dla zoo, cholernie dobre, jestem tego pewien. Bardzo zdolny facet. Świetny gość. Szczęśliwy w małżeństwie; ma słodką żonę. Tak. – Zamilkłem.

On jednak ciągnął:

– Przepraszam, że pytam, ale czy jest pan arystokratą?

– Nie, nie, nie – zaprzeczyłem znowu, wijąc się z zażenowania – w żadnym razie. Pudło. Jestem tylko szlachcicem, w dodatku to mój brat zgarnął tytuł; ojciec w pewnym sensie wyświadczył mi przysługę, ha, ha.

Wyglądał na zdziwionego i zaniepokojonego, więc próbowałem mu wytłumaczyć.



– Anglia to nie kontynent, rozumie pan, pod tym względem nie jest nawet taka jak Szkocja. *Seize quartier*, szlachectwo w każdej gałęzi, to coś, o czym nie lubimy mówić, zresztą chyba nie ma nawet pół tuzina rodów, które wywodziłyby się w prostej linii od rycerzy Wilhelma Zdobywcy... a jeśli nawet, to nie są utytułowani. Zresztą – mówiłem dalej – nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby od nich pochodzić; podbój normañski to było coś między spólką akcyjną a gorączką złota nad Klondike. Sam Wilhelm Zdobywca był takim prymitywnym Cecilem Robertsem [13](#), a jego zwolennicy to byli głupcy, cwaniacy, pедераści i kupceści.

Słuchał mnie z takim pięknym osłupieniem, że nie mogłem się oprzeć i kontynuowałem:

– Mówiąc ogólnie, praktycznie żaden z tamtych arystokratów nie jest dziś parem, a tylko nieliczni parowie są arystokratami według wszelkich standardów, które potraktowano by poważnie na kontynencie; większość ma szczęście, jeśli w ogóle jest w stanie prześledzić swoje pochodzenie do jakiegoś zaciętego prostaka, który wypłynął na kasacji klasztorów.

To go naprawdę dobiło; koniec harmonijkowego wydruku wysunął mu się z ręki i upadł na podłogę między naszymi stopami. Obaj schyliliśmy się, żeby go podnieść, ale ja jako szczuplejszy o cal albo dwa schyliłem się niżej, więc nie zderzyliśmy się głowami, za to mój nos (normañski, z domieszką rzymskiej krwi)

wsunął się do połowy pod jego marynarkę i praktycznie uderzył w czarną lufę pistoletu automatycznego, który mój towarzysz podróży miał w kaburze pod pachą.

– Ojej! – pisałem, dość wytrącony z równowagi.

Amerikanin zaśmiał się uprzejmie, w niskiej tonacji.

– Nie bój się, synu; my, Teksaszczy, czujemy się niemal nadzy, jeśli nie mamy przy sobie takiego żelastwa.

Prowadziłem dalej zdawkową rozmowę, ale trudno było mi się skupić na korzyściach wynikających ze smażenia ryb. Teksaszczy biznesmeni być może często noszą przy sobie broń, ale raczej nie sposób uwierzyć, że kupują niewygodnego colta woodsmana, pistolet małego kalibru, o długiej lufie, używany tylko, aby strzelać do celu; niewątpliwie częściej wybierają go zawodowi zabójcy, którzy wiedzą, że taką małą kulką łatwiej trafić w odpowiednie miejsce. Jako poręczna broń do samoobrony praktycznie nie funkcjonuje. Co więcej, teksaszczy biznesmeni raczej nie trzymaliby broni w zaciskach sprężynowych Brysona, które pozwalają szybko ją dobyć.

Podróż coraz bardziej mi się dłużyła, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. Stany Zjednoczone wydawały się odległe i niedostępne. Gdy wreszcie wylądowaliśmy, sympatyczny Amerykanin w końcu zdradził mi swoje nazwisko – Braun, pisane b-r-a-u-n, a wymawiane jak Brown. Bardzo prawdopodobna historyjka, pomyślałem. Pożegnaliśmy się i chwilę

później, kiedy wyszliśmy z samolotu, facet się ulotnił. Gdy tylko ten ciepły, korpulentny człowiek zniknął, poczułem, że lubię go coraz mniej.

Martland sumiennie zastosował się do moich instrukcji – byłaby z niego cudowna żona. Na lotnisku czekał duży smutny typ, który zaprowadził mnie do wielkiego, rozbrzmiewającego echem pomieszczenia, gdzie stał już na palecie lśniący rolls w otoczeniu innych typów, dzierzących śliczne małe baki z benzyną, egzotyczne tablice rejestracyjne, książeczki z czekami podróznymi i sam nie wiem co jeszcze. O tak, i poważnego faceta, który przybił mi w paszporcie gumowy stempel. Przyjąłem ich dary z pełną znużenia wdzięcznością, jak koronowana głowa przyjmuje miejscowe wyroby rękodzielnicze. Wówczas pojawił się wściekły człowieczek z ambasady brytyjskiej, ale ponieważ stał po drugiej stronie czegoś w rodzaju bariery z drutem kolczastym – nie udało mu się uzyskać odpowiedniej przepustki czy czegoś takiego – wielki nieruchawy Amerykanin, podobnie zresztą jak ja, kompletnie zignorował jego piski i jazgotanie. Facet z bakiem przeciął kombinerkami wszystkie ołowiane pieczęcie i rzucił je nad drutem jazgoczącemu człowiekowi, tak jak w zoo rzuca się orzeszki cmokającej nieprzyzwoicie i drapiącej się pod pachami małpie. Zaniepokoiłem się o jego zdrowie – to znaczy o zdrowie tego jazgoczącego, nie tego z bakiem.

Wsiadłem do rollsa, wciągając w płuca niezrównany

zapach nowego nadwozia z nową skórzaną tapicerką. Wielki smutny facet, który znał swoje miejsce, stanął na stopniu, żeby wyprowadzić mnie na zewnątrz. Rolls zapalił cicho, z ochotą, jak podszczygnięta wdowa, i czyniąc tyle hałasu co złota rybka w akwarium, wyjechaliśmy z komory celnej. Po wyrazie prymitywnych, niewyrobionych twarzy Amerykanów widziałem, że gdyby wychowali się w innej kulturze, kłanialiby się w pas, mnąc czapki w dłoniach. Na znak szacunku, rozumiecie.

Gdy wyjeżdżaliśmy, podszedł do nas facet z ambasady, wciąż jazgoczący, który teraz prawie dławił się z wściekłości i rozgoryczenia. Gdyby wychował się w innej kulturze, pewnie walnąłby mnie w czoło. Próbowałem przemówić mu do rozumu, apelowałem, żeby przestrzegał zasad korpusu dyplomatycznego, i w końcu doszedł do siebie. Okazało się, co następuje: ambasador przebywa na luksusowym polu golfowym gdzieś daleko, gra w golfa, rounders albo w jeszcze coś innego z jednym z ich prezydentów, kongresmenów czy kogo tam mają, ale wraca nazajutrz rano i mam stawić się u niego, żywy czy martwy, z czapką w dłoni, żeby wysłuchać jego napomnień i oddać greyhonda, a on, jazgoczący człowieczek, chce znać nazwisko tego cholernego faceta, który śmiał tknąć pieczęcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych na rollsie. Powiedziałem mu, że nosi on nazwisko McMurdo (niezły refleks, musicie przyznać), i obiecałem, że jeśli

znajdę czas, zadzwonię do ambasadora w najbliższych dniach.

Wtedy znowu zaczął coś bełkotać niezrozumiale, zaczynając zdania od słów: „Czy zdaje pan sobie sprawę...”, i nie kończąc, więc spojrzałem na niego surowo.

– Niech się pan pozbiera – powiedziałem ostro i wcisnąłem mu do ręki banknot funtowy.

Odjeżdżając, widziałem go jeszcze przez moment w lusterku wstecznym; skakał po czymś zawzięcie. Niektórzy z tych facetów z dyplomacji są zbyt emocjonalni, i to o wiele. Ten nadałby się do Moskwy, tam migiem nauczyliby go kompromisu.

Znalazłem swój hotel i w garażu przekazałem rollsa brązowawemu gościowi, który wydawał się kompetentny; miał łobuzerski błysk w oku i od razu mi się spodobał. Uzgodniliśmy, że do karoserii będzie używał tylko szmatki do kurzu i nic innego; pan Spinoza nie dałby mi spokoju, gdybym pozwolił, żeby jego specjalny sekretny wosk został usunięty detergentami albo skamieniał od silikonu. Potem złapałem windę – tak tu mówią, wiedzieliście o tym? – i pojechałem do recepcji (razem z bagażami), a następnie powoli udałem się do porządnie urządzonego apartamentu z toaletą godną samej bogini Kloaki. Jak prawdziwy Anglik wyłączyłem tę śmieszoną klimatyzację i otworzyłem okna.

Po piętnastu minutach włączyłem klimatyzację

z powrotem i zadzwoniłem do recepcji, żeby przysłali kogoś, kto pozamyka okna – co za wstyd!

Później przynieśli kilka kanapek, ale nie bardzo mi smakowały.

A jeszcze później przeczytałem do snu jeden na wpół zrozumiały akapit.

## 9

Czy będzie stał bez ruchu? Czy też naprzód  
Przed siebie ruszy, chociaż krokiem chwiejnym?  
Nędzne przeszkody pod butami miażdżąc,  
Gnany przez stary ślepy zew, wylęgły  
W zwierzęcym mózgu, coraz szybciej, aż mu  
Słońce rozkaże cel życia wypełnić  
W nowych dalekich krajach, zanim jeszcze  
Lód we władanie weźmie polną ścieżkę.

*Dwaj poeci z Croisic, przeł. Grzegorz Uzdański*

Czy wiecie, że rano przynieśli mi filiżankę herbaty – i to naprawdę dobrej herbaty? Gdybym pamiętał nazwę hotelu, na pewno bym wam ją zdradził.

Potem podali jedno z tych pysznych, wymyślnych amerykańskich śniadań, bekon na słodko, naleśniki i syrop, ale to mi już nieszczególnie smakowało.

Złapałem windę (!) i zjechałem do garażu, żeby zapytać o rollsa, który, jak się zdaje, spędził wygodnie noc. Brązowawy facet nie mógł się powstrzymać i umył okna, ale tylko wodą z mydłem, jak się zaklinał, więc wybaczyłem mu i podzieliłem się z nim swoimi zasobami. Dziesięć minut później siedziałem już

w wielkiej klimatyzowanej taksówce, którą wynająłem za pięćdziesiąt dolarów na cały dzień. Wydaje się, że to strasznie dużo, wiem, ale bylibyście zdziwieni, jak okropnie małą wartość mają tam pieniądze. To dlatego, że jest ich tam mnóstwo.

Kierowca miał chyba na imię Bud i nie wiadomo dlaczego ubzdurał sobie, że ja nazywam się Mac. Wyjaśniłem mu uprzejmie, że Charlie, ale odparł na to:

– Taaa? To super, Mac.

Po chwili przestałem się tym przejmować – kiedy wejdiesz między wrony, no nie? – i Bud wkrótce zabrał mnie na przejażdżkę po Waszyngtonie, nie pomijając żadnej atrakcji turystycznej. To zaskakująco piękne i urokliwe miasto, chociaż zbudowane głównie ze szkaradnego wapienia. Cieszyła mnie każda chwila tego zwiedzania. Upał łagodziły przyjemne powiewy wiatru, który w nader miły dla oka sposób unosiły bawełniane sukienki dziewcząt. Jak to jest, że wszystkie młode Amerykanki mają takie apetyczne nogi: krągłe, gładkie, solidnie smukłe; zmówiły się czy co? Jeśli już o tym mowa, jak to jest, że mają takie niesamowite cycki? Może większe, niż lubicie wy i ja, ale i tak kuszące. Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, po pasach przed nami przeszła szczególnie dobrze odżywiona młoda istota, a jej wielkie cysterny przy każdym kroku podskakiwały w górę na wysokość czterech cali.

– Co za urzekająca kobieta! – rzuciłem do Buda. – Nie ma co do tego wątpliwości!



– Masz na myśli tę babkę z wielkimi zderzakami, Mac? No. W łóżku rozlewają się jak para sadzonych jaj, i to XXL.

Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się słabo. Bud tymczasem kontynuował, relacjonując mi w skrócie swoje osobiste upodobania w tej kwestii, które wydały mi się doprawdy fascynujące, choć do pewnego stopnia dziwaczne.

Uważa się – nie bez racji – że dzieła van Dycka z okresu jego pobytu w Genui stanowią najlepszą serię portretów w dziejach malarstwa. Sam doszedłem do tego wniosku w waszyngtońskiej National Gallery. Jeśli nie widzieliście znajdującej się w tamtejszych zbiorach *Clelii Cattaneo*, to nie możecie twierdzić, że widzieliście cokolwiek. Byłem w tej galerii tylko godzinę; nie da się za jednym razem przyswoić sobie całego tego bogactwa artystycznego, a ja tak naprawdę zamierzałem zobaczyć tylko jednego konkretnego Giorgione. Gdybym miał więcej czasu – jak kostucha, nierychliwa, ale sprawiedliwa – opowiedziałbym wam o nim to i owo, tego jednak nie mamy w harmonogramie.

Wychodząc, już na wpół pijany tą nieroztropną mieszkanką sztuki, poleciłem Budowi, żeby zawiózł mnie do typowego amerykańskiego saloonu dla niższej klasy średniej na zimne piwko i mały lunch.

Przed wejściem Bud z powątpiewaniem zlustrował mnie od stóp do głów i zasugerował, żebyśmy może wybrali jakieś inne, bardziej eleganckie miejsce.

– Nonsens, mój drogi Budzie! – wykrzyknąłem stanowczo. – To całkiem normalny, skromny strój modnego angielskiego dżentelmena odwiedzającego placówki dyplomatyczne swojego kraju *in partibus* i jestem pewien, że nie wzbudzi zdziwienia wśród poczciwych mieszkańców Waszyngtonu. A mówiąc dziarskimi słowami sir Tobiasza: „Szaty te dość są dobre, aby w nich kufle wychylać; buty te także dobre na to” [14](#). Prowadź dalej.

Wzruszył ramionami w typowy dla jego współplemieńców wyrazisty sposób i posłusznie poprowadził dalej. Był bardzo wysoki i mocno zbudowany, ale ludzie mimo to trochę się gapili – może był trochę nieformalnie ubrany, jak to często taksówkarze, podczas gdy ja, jak wspomniałem, odziałem się stosownie do okazji, bo przecież miałem się spotkać z ambasadorami, wysokimi urzędnikami bankowymi czy innymi ważnymi osobistościami. W Anglii nikt nie zwróciłby uwagi na kontrast między nami, ale w Ameryce nie mają pojęcia o demokracji. Dziwna rzecz.

Usiedliśmy w przegrodzie czy budce, takiej jak w starej londyńskiej gospodzie, w której serwuje się mięso z grilla, ale obskurniejszej. Mój stek był całkiem smaczny, ale krępująco wielki; można by odnieść wrażenie, że to cały przekrój poprzeczny wołu. Dostałem do niego sałatkę, natomiast Bud zażyczył sobie ziemniaka – ale jakiego ziemniaka! Wielką bulwę,

wyhodowaną, jak mi powiedział, na równinach Idaho. Zostawiłem chyba dziesięć uncji swojego steku, a wtedy Bud całkiem spokojnie powiedział kelnerowi (który też miał na imię Mac), żeby zapakował te resztki dla psa, i tamten nawet nie mrugnął okiem, chociaż obaj wiedzieliśmy doskonale, że Bud skonsumuje je sobie tego wieczoru na kolację. Steki są strasznie drogie w Waszyngtonie, jak pewnie wam wiadomo.

Bud być może przebił mnie w jedzeniu steku, ale ja spuściłem mu manto, jeżeli chodzi o picie. Mają tam trunek, który nazywa się, nie wiadomo dlaczego, *high balls*; przeszliśmy na niego po wypiciu piwa i okazało się, że Bud nie dorasta mi do pięt w tej dyscyplinie, przewyższałem go bowiem o klasę. I wtedy zaczął na mnie patrzeć z respektem. Chyba w pewnym momencie zaproponowałem mu nawet, żeby przyjechał do Londynu i zatrzymał się u mnie; w każdym razie taki miałem zamiar, to wiem na pewno.

Kiedy opuszczaliśmy bar, drogę zagroził mi najwyraźniej podchmielony obywatel, który zapytał:

– Coś ty za jeden, jakiś wariat czy co?

Na co odparłem kumplowskim pozdrowieniem, którego wcześniej użył Bud, zwracając się do kolegi taksjarza:

– A pierdol się! – („Odpowiedź ust własnych cieszy człowieka, jak miłe jest zdanie stosowne!”), Księga Przysłów, 15,23).

Ku mojemu zdziwieniu, a nawet konsternacji, pijaczek

wyraźnie się obraził, bo z całej siły wałnął mnie w twarz, tak że z nosa pociekła mi krew na koszulę. Obawiam się, że zirytowany tym wziąłem odwet.

Kiedy podczas wojny – tak, panienki, drugiej wojny światowej – służyłem w jednym z tych oddziałów płaszcza i pomady, przeszedłem kurs walki wręcz i okazało się, że jestem w tym naprawdę dobry, choć patrząc na mnie, może byście się tego nie domyślili.

Wałnąłem go nasadą dłoni pod nos – to znacznie skuteczniejsze niż cios pięścią – potem kopnąłem go mocno w jaja i gdy zgodnie z moimi przewidywaniami zgiął się wpół, wbiłem mu kolano w to, co zostało z jego biednego pysia. Wtedy jakby upadł – co nie jest nienaturalne w takich okolicznościach – a ja na wszelki wypadek, przechodząc nad nim, nadepnąłem mu na obie dłonie. Cóż, uderzył mnie pierwszy, rozumiecie przecież, i na pewno pierwszy by się do tego przyznał. Bud, pod wielkim wrażeniem, wyprowadził mnie szybko na ulicę, podczas gdy wszyscy w saloonie za naszymi plecami zaczęli klaskać – parter, balkon i galeria. Facet bez wątpienia nie cieszył się tam popularnością. Miałem niewielkie kłopoty, żeby wsiąść z powrotem do taksówki, zwłaszcza że fotel kierowcy znowu był nie po tej stronie.

Wszyscy ci piękni młodzi mężczyźni z ambasady znienawidzili mnie od pierwszego wejrzenia, paskudne małe ciacha, ale zaprowadzili mnie do ambasadora z nie większą zwłoką, niż było to konieczne, żeby mogli

poczuć się ważni. Ambasador przyjął mnie w koszuli z krótkimi rękawami, jeśli możecie w to uwierzyć, i odniosłem wrażenie, że także specjalnie mnie nie polubił. Na moje uprzejme pozdrowienie rodem ze Starego Świata odpowiedział czymś, co mogę tylko nazwać dźwiękiem klaksonu.

Z najbardziej praktycznych względów przeciętny interesant może podzielić ambasadorów na dwie kategorie: szczupłych, którzy zazwyczaj bywają układni, dobrze wychowani i sympatyczni, oraz bardziej przykości, nieprzejawiających żadnej z tych cech. Jego ekscelencja ambasador, z którym miałem do czynienia, zaliczał się do tej drugiej kategorii: jego rozlana facjata była poprzątkowana tłuszczem, poznaczona dziurami po ospie i tak usiana trąbikami, krostami i popękanymi naczynkami, że przypominała mapę konturową kanionu Kolorado. Miał wielkie podgardle w kolorze śliwkowym, które wisało luźno i rozciągało się, kiedy mówił. Jakoś nie mogłem wzbudzić w swoim sercu miłości do niego, ale biedak zapewne dostał nominację od laburzystów; korytarze jego władzy wiodły tylko do toalety dla panów.

– Nie będę owijał w bawełnę, Mortdecai – zatrąbił. – Okropny z pana człowiek. My tu usiłujemy kreować obraz błyskawicznie rozwijającej się Wielkiej Brytanii, gotowej konkurować na gruncie nowoczesności z całą światową czołówką, a pan szwenda się po Waszyngtonie w stroju Bertiego Woostera jak postać z folderu

Wydziału Turystyki, mającego reklamować staaare niezawoodne Koleje Brytyjskie.

– Doprawdy – zauważyłem – jak pięknie zabrzmiał ten slogan w pańskich ustach!

– Co więcej – ciągnął donośnie – pański śmieszny melonik jest wgnieciony, absurdalny parasol pogięty, a koszula poplamiona krwią. I do tego ma pan podbite oko.

– Powinien pan zobaczyć tamtego drugiego – zaświergotałem radośnie, ale nie zrobiło to na nim odpowiedniego wrażenia.

Nie zważając na mnie, perorował:

– To, że jest pan wyraźnie pijany jak świnia, nie stanowi wytłumaczenia dla kogoś, kto w pańskim wieku... paskudnym zresztą... wygląda i zachowuje się jak zbieg z domu pogodnej starości dla uzależnionych od alkoholu artystów musichallowych. Nie wiem, kim pan jest, i nie chcę wiedzieć. Poproszono mnie, żebym panu pomagał w miarę swoich możliwości, ale nie było to polecenie służbowe, więc niech się pan raczej nie spodziewa pomocy z mojej strony. Mogę panu jedynie doradzić, żeby nie zwracał się pan do tej placówki o wsparcie, kiedy wkurzy władze Stanów Zjednoczonych, ponieważ bez wahania się pana wyprę i będę rekomendował pański areszt oraz deportację. Jeśli po wyjściu z tego gabinetu skręci pan w prawo, zobaczy kancelarię, gdzie otrzyma pokwitowanie na silver greyhonda oraz zwykły paszport tymczasowy

w zamian za dyplomatyczny, który nigdy nie powinien zostać panu wydany. Do widzenia, panie Mortdecai.

Co powiedziawszy, zaczął z determinacją podpisywać listy, czy co tam ambasadorowie z determinacją podpisują, kiedy chcą, żeby delikwent sobie poszedł. Zastanawiałem się, czy nie porzygać się z obrzydzenia na jego biurko, ale miałem obawy, że mógłby uznać mnie za wymagającego pomocy obywatela brytyjskiego, więc jedynie opuściłem gabinet z godnością, nie czekając, aż zostanę wyproszony. Jednak po wyjściu skręciłem w lewo i trafiłem do pokoju maszynistek, przez który przeszedłem beztrąsko, kręcąc parasolem i pogwizdując kilka zwrotek *Pokaż nam majtaski, Elsie*.

Zastałem Buda śpiącego w samochodzie na parkingu. A później pojechaliśmy do pobliskiego saloonu, nawet niejednego. Szczególnie zapamiętałem jedno miejsce, w którym zażywna młoda kobieta rozebrała się przy dźwiękach muzyki, tańcząc na barze w zasięgu mojej ręki. Nigdy wcześniej nie widziałem striptizerki; pod koniec występu miała na sobie już tylko siedem koralików, z czego cztery to były kropelki potu. Zdaje się, że nas stamtąd wyrzucono.

Wiem, że poszedłem do łóżka, ale muszę przyznać, że nie pamiętam dobrze szczegółów. Nie jestem nawet pewien, czy przed snem umyłem zęby.

## 10

Ruszyliśmy galopem. Moja dusza  
– Papirus, co w zamknięciu długo kruszał –  
Rozwinęła się w końcu, łopocząc na wietrze,  
I nadzieje za sobą zostawiła przeszłe.

*Ostatnia wspólna droga, przeł. Grzegorz Uzdański*

Obudziłem się w zdecydowanie pogodnym nastroju, ale to nie trwało długo. Kiedy się ubrałem i spakowałem, kac dopadł mnie jak gorliwy i niedoświadczony terier szczura. Skierowałem się więc powoli do hotelowego baru (w takim stanie łapcie wolną windę, nie ekspresową), gdzie natychmiast zostałem zdiagnozowany przez barmana, który bezzwłocznie zastosował kurację. Kac – wyjaśnił – to ni mniej, ni więcej, tylko syndrom wycofywania; należy zatrzymać to wycofywanie, przyjmując więcej tego, co jest wycofywane, i wtedy syndrom znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Brzmiało to logicznie. Przepisał mi po prostu szkocką i wodę źródlaną – zaklinał się na wszystkie świętości, że woda źródłana jest dostarczana codziennie rano z Appalachów, dacie wiarę? Odwdzieczyłem mu się naprawdę sowitym



napiwkim.

Wyleczony, ale niewątpliwie zalany, opłaciłem rachunek w recepcji, odebrałem nieskazitelnie czystego silver ghosta od brązowego faceta, który oddał mi go niechętnie, i ostrożnie ruszyłem mniej więcej w kierunku Nowego Meksyku. Potomność zapewne będzie chciała wiedzieć, że byłem przebrany za Amerykanina; miałem na sobie kremowy garnitur z surowego jedwabiu, okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz w kolorze kakaowym z jaskrawopomarańczową tasiemką. Efekt był całkiem seksowny, muszę przyznać skromnie. Pan Abercrombie pogryzłby pana Fitcha, gdyby to zobaczył, a Tailor i Cutter wzruszyliby się do łez.

O dziwo, znowu zacząłem się bać. Miałem dziwne wrażenie, że ta ziemia – „gdzie prawo i zwyczaje wywodzą się ze snów starych panien” <sup>15</sup> – to niemniej ziemia, na której może mnie spotkać krzywda, jeśli nie będę na siebie uważał, a nawet jeżeli będę uważał.

Kiedy już opuściłem nieładne przedmieścia i obrzeża miasta, skończyła mi się benzyna. Silver ghost to wspaniałe auto, ale nawet jego największy wielbiciel musiałby przyznać, że liczba przejechanych mil w zestawieniu z ilością spalonego paliwa nie przedstawia się imponująco. Wybrałem stację benzynową, która wyglądała na taką, co to robi interesy, i zajechałem pod dystrybutor. Było to w pobliżu miasta o nazwie Charlottesville, na skraju Parku Narodowego

Shenandoah. Facet z obsługi stał odwrócony do mnie plecami i podparty pod boki mówił właśnie: „Co powiecie na tego gościa?”, odprowadzając wzrokiem duży kobałtowy samochód, który szybko nikał w oddali. Nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, dopóki nie zgasilem silnika. Wówczas – spóźniony refleks – spojrział na rollsa w nader pochlebny dla mnie sposób i szepnął: *Shiiit!* (W następnych dniach miałem usłyszeć tyle pełnych podziwu shiiitów, że można by nimi użyźnić wszystkie obszary pustynne Oklahomy). Zachichotał jak prawiczek, wkładając do baku końcówkę węza paliwowego, i pobłogosławił mnie na dalszą drogę, po raz ostatni kalając moje uszy tym zasranym komplementem pod adresem mego wozu. Zastanowiło mnie, co takiego zrobił właściciel kobałtowego samochodu, że zasłużył na dezaprobatę tego człowieka.

Później zabłądziłem, ale po godzinie wjechałem w Lexington na autostradę międzystanową numer 81 i na terenie Wirginii nadrobiłem stracony czas. Gdy tylko przekroczyłem granicę stanu Tennessee, uznałem, że koniec na dzisiaj, i zajechałem przed motel Autentyczne Chaty z Bali. Właścicielka o żółtych włosach, otwartych ustach i tłustym tyłku zakreśliła na mój widok obfitymi biodrami w najbardziej odpychający sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić; wyglądała na tak trudną do zdobycia jak bilet komunikacji miejskiej i mniej więcej za tę samą cenę. Wszystko w mojej chacie było przybite

do podłogi. Właścicielka powiedziała mi, że nowożeńcy często urządzą całe mieszkania meblami podprowadzonymi z moteli; od wieczora do rana odrzynają, co się da – wyjaśniła i wstydliwie zachichotała, dając mi do zrozumienia, że zna lepsze sposoby spędzania czasu, zwłaszcza w nocy. Na przykład rżnięcie na podłodze.

Pościel była jaskrawoczerwona.

– O kurczę – powiedziałem do niej – na twoim miejscu też bym się rumienił.

Na kolację dostałem „tradycyjną góralską zapiekankę z ziemniaków i peklowanej wołowiny”. Jeśli sądzicie, że to musi być specjał w Tennessee, to się mylicie; kudy jej do zapiekanki Jocka! Uszczupliłem trochę swoje zapasy red hackle’a de luxe i natychmiast zasnąłem – nikt nie oderżnąłby mnie od łóżka.

W amerykańskim motelu nie dostaniecie porannej filiżanki herbaty, nawet za gotówkę. Żałowałem, że nie zabrałem ze sobą czajnika elektrycznego. Nie macie pojęcia, jak trudno się ubrać bez tego pocrzepiającego napoju w żołądku. Powlokłem się do restauracji i wypiliśmy cały dzbanek tej ich kawy, która okazała się wyborna i zachęciła mnie do spróbowania kanadyjskiego bekonu na słodko i gorących bułeczek. Naprawdę nie były najgorsze. Zauważyłem, że właściciel kobaltowego samochodu – albo bardzo do niego podobnego – zatrzymał się w tym samym motelu,

ale nigdzie go – czy też jej – nie widziałem. Dla zabicia czasu zacząłem się zastanawiać, czy dużo tej nocy oderżnęli. Jeśli o mnie chodzi, uregulowałem rachunek z czystym sumieniem, bo od dłuższego czasu niczego nie podprowadziłem.

Tamtego ranka udało mi się prawie nie zabłądzić. Przez niewiele ponad godzinę pędziłem czterdziestką i tak przejechałem całe Tennessee – wspaniałe widoki. Lunch zjadłem w Nashville: żeberka i chleb kukurydziany, a do tego najlepsza szafa grająca, jaką kiedykolwiek widziałem; siedzieć przed nią to był prawdziwy przywilej. Ociężały od wołowiny i otepiały od decybeli, przechodząc przez ulicę, o mało nie wpadłem pod koła kobaltowego samochodu. Teraz, gdy jest już po wszystkim, sądzę, że w Stanach Zjednoczonych jest z pół miliona kobaltowych samochodów, ale amerykańscy kierowcy, kiedy pieszy wchodzi im pod koła, zwykle sami stają się trochę kobaltowi, wychylają się przez okno i przeklinają go siarczyście, zwracając się do niego per kłocu, zwłaszcza jeśli akurat jest trochę przy kości. Ten kierowca jednak tak się nie zachował. Spojrzał na mnie i pojechał dalej, mocno zbudowany, o kwadratowej szczęce, jak mój pan Braun, koronowany księżę ryby z frytkami, ale w kapeluszu i ciemnych okularach zapewniających mu incognito.

Zapomniałem o tym incydencie, dopóki nie dotarłem do obrzeży Memphis, kiedy to wyprzedził mnie

identyczny samochód z identycznym facetem za kierownicą.

Tamtego wieczoru przynieśli mi do pokoju hotelowego kawę i butelkę źródlanej wody do szkockiej. Zamknąłem drzwi na klucz i zadzwoniłem do pana Krampfa. Amerykańskie telefonistki są cudowne, wystarczy tylko, że podasz im nazwisko i adres gościa, z którym chcesz rozmawiać, a one już biorą na siebie całą resztę. Krampf wydawał się nieco spięty, ale jednocześnie bardzo przyjacielski. W tle było słuchać gwar, co sugerowało, że ma gości, którzy również są nieco spięci. Powiedziałem mu, że przyjadę na czas. Nie wspominałem o jego odstępstwie od planu.

– To wspaniale – ucieszył się. – Po prostu wspaniale.  
– Powtórzył to jeszcze kilka razy, taki ma zwyczaj.

– Panie Krampf – podjąłem ostrożnie. – Mam towarzystwo na drodze, jeśli wie pan, co chcę powiedzieć. Najnowszy model kabrioletu marki Buick, kobaltowy, z nowojorską rejestracją. Czy przychodzi panu do głowy...?

Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem zarechotał wesoło.

– Wszystko w porządku, synu, to coś w rodzaju eskorty. Po prostu nie chciałbym, żeby ktoś uprowadził mojego starego rolls and royce'a.

Wydałem odgłos ulgi, a on kontynuował:

– Hej, tylko nie daj po sobie poznać, że go zdemaskowałeś, zachowuj się jak gdyby nigdy nic,

a kiedy tu przyjedzie i powie, że go nie zauważyłeś, urwę mu jaja, co?

– Dobrze, panie Krampf – odparłem – ale niech pan nie będzie dla niego zbyt surowy, bardzo proszę. Po prostu byłem czujny.

Znowu zarechotał wesoło – a może po prostu beknął – i odłożył słuchawkę. A potem ktoś inny odłożył słuchawkę. Może była to tylko hotelowa telefonistka, ale odgłos jakoś na to nie wskazywał. Później ja z kolei odłożyłem słuchawkę, pozwoliłem sobie na beknęcie i poszedłem do łóżka.

Tamtej nocy już nic więcej się nie wydarzyło – oprócz tego, że trochę się niepokoiłem. Krampf nie doszedł do milionów dlatego, że był starym popijającym pierdołą; żeby zostać milionerem, trzeba być mózgowcem, bezwzględny i trochę zwyrodniałym. Krampf miał wszystkie te cechy, poza tym był przebieglejszy ode mnie i o wiele bardziej zdeprawowany. Wszystko to źle wróżyło. Moje wnętrzności bulgotały i gulgotały, chciały do domu. A na pewno nie chciały brać udziału w zamachach na przebiegłych milionerów w ich domowych pieleszach. W końcu tak się udręczyłem, że zmorzył mnie sen.

## 11

A jednak budzę się dziś tak bezsilny,  
Jakbym się zsunął z wysokiego zbocza,  
Mijając nawet moje dawne ja,  
Chwyając się kolejnych faktów, co znikają,  
Aż się znalazłem poza własnym światem,  
Chcąc w pustce znaleźć oparcie dla stopy,  
Z niezrodzonymi ludźmi w obcych krajach...

*Śmierć w pustyni, przeł. Grzegorz Uzdański*

Była niedziela, ale nigdy byście się tego nie domyślili, patrząc na obrazek, jaki ujrzałem, kiedy dotarłem do Little Rock w stanie Arkansas. Odbывał się tam jakiś protest i jak zwykle krótkowłosi faceci w ciemnogramatowych mundurkach ze znudzeniem walili długowłosych w jasnogramatowych dżinsach, którzy nazywali ich świniami i obrzucali kamieniami oraz innym świństwem. To wszystko było bardzo smutne. Jak ze sto lat temu powiedział jakiś Rosjanin, ci ludzie uważali się za lekarzy społeczeństwa, gdy tak naprawdę byli tylko trawiącą je chorobą. Wstrzymano wszelki ruch w mieście i na przedzie, kilka samochodów przede mną, zauważyłem kobałtowego buicka, który

ugrzął w morzu długich włosów i ochoczo wznoszonych nad nimi pał.

Wyłączyłem silnik i zacząłem się zastanawiać. Po kiego licha Krampf narażał się na koszty i kłopoty, żeby przez połowę kontynentu sprowadzić samochód, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby ukraść – i to sprowadzić w taki dziwnie okrężny sposób? Odrzucając możliwość, że jest po prostu stuknięty, doszedłem do wniosku, że musiał powiedzieć komuś o dodatkowym kawałku płótna, które zostało ukryte w pojeździe – pod tym względem rzeczywiście był stuknięty – i teraz tego pożałował. Co gorsza, być może prowadził podwójną albo potrójną grę, o czym świadczyłby jego zaimprovizowany list do wysoko postawionego Kumpla. Raczej nie powinien się domyślać, że Martland zlecił mi mokrą robotę, ale mógł z innych powodów uznać mnie za zbędnego i stanowiącego zagrożenie dla jego osoby. „Serce jest zdradliwsze niż wszystko inne i niepoprawne – któż je zgłębi?” – głosi Jeremiasz (17,9), a jak wiecie, Jeremiasz znał się dobrze na tych sprawach, bo sam był troszkę stuknięty.

To wszystko powiększyło mój osobisty bagaż trosk i powodów do zaciskania tyłka. Pokładałem nadzieję jedynie w silnej prawicy Jocka i jego mosiężnym ciosie. Atmosfera wyraźnie gęstniała; miałem świadomość, że jeśli szybko nie chwycę za łyżkę i w niej nie zamieszam, to będę musiał liczyć się z ryzykiem, że przywrze do



spodu. Najpewniej mojego spodu. I gdzie wtedy skończy szanowny C. Mortdecai? Pytyjska odpowiedź.

Kiedy już wszyscy, którym się należało, dostali po łbach oraz po nosie i odpowiednio wrzasnęli, wznowiono ruch, ale buicka zauważyłem dopiero w Shawnee, za mostem na rzece North Canadian – jechał boczną drogą. Zatrzymałem się na najbliższej stacji benzynowej (nazywają je tam gazowymi, ciekawe dlaczego?), mając nadzieję, że gdy będzie przejeżdżał obok, ustrzelę kierowcę wzrokiem.

To, co ujrzałem, sprawiło, że wytrzeszczyłem gały i zacząłem kręcić głową jak gospodyni domowa oglądająca kolejny odcinek telenoweli. Dwie czy trzy sekundy później byłem już dwadzieścia mil dalej; siedziałem na łóżku w motelu i popijałem whisky, dopóki nie odzyskałem jasności myślenia. To był ten sam wóz – a przynajmniej miał te same numery rejestracyjne – ale w ciągu nocy pozbył się głębokiego wgniecenia na zderzaku, za to zyskał białe opony i nową antenę radiową. Kierowca natomiast stracił kilka ton i stał się szczupłym, dotkniętym dyspepsją facetem o ustach jak szczelina świnki skarbonki. Krótko mówiąc, to nie był wcale ten sam samochód. Nie ogarnąłem jeszcze implikacji, ale z gąszczu faktów jak ekshibicjonista z krzaków wyłaniało się jedno: że nijak nie oznacza to niczego dobrego. Ktoś poświęcał dużo czasu i wysiłku, a także nie szczędził kosztów, żeby śledzić poczynania C. Mortdecaia, i z całą pewnością nie

było to Towarzystwo Niesienia Pomocy Dżentelmenom w Opałach. Głupca zbytnio by to nie przestraszyło, ale aż takim głupcem nie byłem. Z kolei bystrzak rzuciłby wszystko i wziął nogi za pas, ale do aż takich bystrzaków też się nie zaliczałem.

Ja zrobiłem co innego – opuściłem motel, mówiąc w recepcji, że wrócę po kolacji (oczywiście uregulowałem rachunek), i ruszyłem okreśną drogą do centrum Oklahomy, dokąd przyjechałem zmęczony i w wisielczym humorze.

W pewnej odległości od śródmieścia, nie za blisko, znalazłem przyzwoity, spokojny hotel, w którym, jak można by sądzić z wyglądu, świadomie nie udzielaliby gościny tajniakom czy płatnym zabójcom. Wjechałem do podziemnego garażu i odczekałem, aż pracownik z nocnej zmiany wyczerpie swój zapas pełnych podziwu shiitów, po czym zdradziłem mu, że rolls w nadchodzącym tygodniu bierze udział w organizowanym przez markę Concours d'Elégance w Los Angeles i że pewien nienawistny rywal nie cofnie się przed niczym, żeby zatrzymać mnie w drodze do celu albo w inny sposób odebrać mi zwycięstwo.

– Co by pan zrobił – zapytałem hipotetycznie – gdyby nieznajomy zaoferował panu pieniądze za możliwość posiedzenia chwilę w moim wozie pod pańską nieobecność?

– Hm, proszę pana – odrzekł – chyba bym pogroził mu tym francuzem i powiedział, żeby zabierał dupę

w troki, i to migiem, potem bym zadzwonił na recepcję, a z rana bym panu doniósł, ile tamten chciał mi dać, rozumie szanowny pan, co mam na myśli.

– Rozumiem, w rzeczy samej. Wynika z tego, że porządny z pana facet. A nawet jeśli nic takiego się nie stanie, to jutro rano nie odmówi pan przyjęcia, powiedzmy, pięciu dolców, co?

– Dziękuję szanownemu panu.

Złapałem windę czy też dźwig, pojechałem na górę i zacząłem urabiać recepcjonistę. Był to domyty, wyniosły facecik w jednym z tych garniturów, które mogą sobie sprawić tylko recepcjoniści – a z ust zalatywało mu czymś niezdrowym i na pewno nielegalnym. Przyjrzał się mojemu bagażowi jak właściciel lombardu, po czym niechętnie przyznał, że ma wolny pokój z łazienką, szybko się jednak rozkrochmalił, gdy tylko zobaczył mój paszport dyplomatyczny i pięciodolarowy banknot, który beztróska wetknąłem między kartki. Właśnie przysuwał do siebie pieniądze, kiedy przytrzymałem je wymanikiurowanym palcem. Pochyliwszy się nad kontuarem, ściszyłem głos.

– Tylko pan i ja wiemy, że zatrzymałem się tu na noc. Rozumie mnie pan?

Kiwnął głową, nie puszczając banknotu.

– Każdy, kto zechce rozmawiać ze mną przez telefon, będzie próbował mnie zlokalizować. Nadal podąża pan za moim tokiem rozumowania?

Nadal podążał.

– Żaden z moich przyjaciół nie będzie próbował się ze mną skontaktować. A moi wrogowie są członkami partii politycznej, która chce przejąć władzę w Stanach Zjednoczonych. Co więc pan zrobi, jeśli ktoś do mnie zadzwoni?

– Wezwę gliny?

Skrzywiłem się z nieudawanym niesmakiem.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – wykrzyknąłem cicho. – Żadnych glin. Wydaje się panu, że gdzie jesteśmy? W Oklahoma City?

Wreszcie do niego dotarło. W jego mętnych oczach pojawił się lęk, a zaraz potem z cichym zgrzytem opadła mu szczęka.

– Mam zadzwonić do pana, prawda? – wykrztusił w końcu.

– Właśnie – potwierdziłem i puściłem banknot.

Facet wpatrywał się we mnie, dopóki nie zamknęły się za mną drzwi windy. Poczułem się stosunkowo bezpiecznie – recepcjoniści na całym świecie mają dwie zalety: umieją sprzedawać informacje i wiedzę, kiedy to robić, a kiedy nie. Te proste umiejętności pozwalają im przetrwać.

Pokój, który dostałem, był duży, ustawny i przyjemny, ale klimatyzacja wydawała co jakiś czas denerwujące odgłosy. Zamówiłem przez room service wybór polecanych przez szefa kuchni kanapek, butelkę wody źródlanej, porządną szklanę i hotelowego detektywa.

Wszystko zjawiało się jednocześnie. Staralem się obłąskawić detektywa, dziwnego młodzieńca wzrostu około sześciu stóp, z kaburą, która trzeszczała mu głośno pod pachą, kiedy siadał. Poczęstowałem go szkocką i starą gadką w podobnym stylu co ta wciśnięta wcześniej recepcjoniście. Był poważnym chłopcem i poprosił mnie o dokumenty; zrobiły na nim duże wrażenie i obiecał, że tej nocy będzie miał moje piętro szczególnie na oku.

Po jego wyjściu, lżejszy o kolejne pięć dolarów, z pośępną przyjemnością przyjrzałem się piramidzie kanapek. Były zrobione z dwóch rodzajów chleba i poprzekładane różnymi różnościami. Zrobiłem, co mogłem, żeby sobie z nimi poradzić, wypilem jeszcze kapkę szkockiej i położyłem się do łóżka, pewny, że zabezpieczyłem się w takim stopniu, w jakim tylko było to możliwe.

Zamknąłem oczy, a wtedy klimatyzacja zaczęła robić mi wodę z mózgu, budząc strachy wszelakie, podsuwając domysły, tysiące przerażających wizji i w efekcie wywołując narastającą panikę. Nie odważyłem się jednak zażyć tabletki na sen. Po trwającej wieczność półgodzinie zrezygnowałem z prób zaśnięcia i zapaliłem światło. Mogłem zrobić tylko jedno – podniosłem słuchawkę telefonu i zamówiłem rozmowę z panią Spon z Londynu. Z Londynu w Anglii.

Połączono ją ze mną po zaledwie dwudziestu minutach, wrzeszczącą z wściekłości, że została

obudzona w środku nocy, i przeklinającą jakichś dziwnych bogów. Słyszałem w tle jej głupiego, wrednego pudła Pisse-Partout, którego sopranowy jazgot dołączył się do tego całego harmidru. Jakże wtedy zatęskniłem za domem!

Udobruchałem panią Spon kilkoma starannie dobranymi słowami i niebawem zrozumiała, że sprawa jest niemałej wagi. Powiedziałem jej, że Jock za wszelką cenę musi znaleźć się do wtorku na Rancho de los Siete Dolores, i poprosiłem, żeby tego dopilnowała. Obiecała mi to. Zdobyć wizy amerykańskiej w kilka godzin to pestka dla takiej kobiety jak ona. Uzyskała audiencję u papieża, po prostu pukając do drzwi i mówiąc, że jest umówiona. Podobno prawie wynegocjowała z nim kontrakt na odnowienie Kaplicy Sykstyńskiej.

Myśl, że spotkam się z Jockiem na ranczu, uśmierzyła moje najgorsze obawy. Pozostało mi tylko dostać się na miejsce, nie zostawiając za sobą śladów krwi.

Zapadłem w niespokojny sen, nawiedzany, dziwna sprawa, przez erotyczne wizje.

## 12

Rankiem nie było mowy o herbacie, ale znajdowałem się u bram starego Dzikiego Zachodu i wiedziałem, że muszę się przyzwyczać do twardego życia. „O pionierowie!” – jak niestrudzenie wykrzykiwał Walt Whitman.

Ani w recepcji, ani w garażu nie mieli dla mnie żadnych wiadomości, więc wyszedłem na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i sprawdzić, czy okolica nie jest skażona przez kobaltowe buicki. Natknąłem się na coś w rodzaju baru, który reklamował w swoim oknie coś o nazwie „Specjalne śniadanie pastucha ze starej Oklahomy”. Kto by się temu oparł? Na pewno nie ja.

Na SŚPzSO składały się: gruby stek, niemal surowy, kawałek słonego bekonu wielkości i kształtu mojej pięści, piramida ciepłych bułeczek na zakwasie, blaszany kubek szatańskiej kawy i pół ćwierci pinty ryżowej whisky. Jestem człowiekiem ze stali, jak już się zapewne przekonaliście, ale muszę przyznać, że mi się po tym wszystko odbijało. Znalazłem się w pułapce,

ponieważ barman i kucharz stali oparci o bar i z wyraźnym zaciekawieniem obserwowali, jak sobie radzę; mieli poważne i uprzejme miny, na których jednak malowało się wyczekiwanie. Od mojego spustu zależał więc honor Wielkiej Brytanii. Trochę rozcieńczyłem kawę whisky i powstrzymując odruch wymiotny, pociągnąłem tęgi łyk. Po tym zebrałem się w sobie, żeby spróbować gorącej bułeczki, znowu łyknąłem kawy, przeszedłem do bekonu i tak dalej. Apetyt, ku mojemu zdumieniu i niedowierzaniu obserwatorów, rósł mi w miarę jedzenia, więc wreszcie wziąłem na widelec sam stek. Hej, bohaterские czyny, chwały brytyjskiej podwaliny! Przyjąłem drinka, którego postawił mi barman, podałem mu rękę i wyszedłem z fasonem. Nie wszyscy ambasadorowie siedzą w ambasadach, no.

Znacznie wzmocniony, odebrałem rollsa i zwróciłem spojrzenie ku złotemu Zachodowi, Lyonesse naszych czasów, kolebce wielkiej amerykańskiej legendy. W południe przekroczyłem granicę Teksasu i wjechałem do Żebraczyna, czyli do Panhandle – wzruszająca chwila dla każdego, kto tak jak ja przez całe dzieciństwo w sobotnie ranki towarzyszył Jeźdźcowi Znikąd.

Pamiętając o koniokradzie w kobaltowym buicku, który podążał moim tropem, zacząłem na każdej napotkanej stacji benzynowej kupować po kilka galonów paliwa i zawsze przy okazji pytać o drogę do Amarillo –



leżącego na zachodzie od tejże drogi. I oczywiście gdzieś między miasteczkami McLean i Groom kobaltowy samochód przemknął obok mnie; kierowca nie patrzył ani w prawo, ani w lewo. Najwyraźniej wiedział, dokąd się kieruję, i zamierzał śledzić mnie od frontu do samego Amarillo. Dla wszelkiej pewności pokazałem mu się w lusterku wstecznym i odczekałem, aż przejechał jeszcze z milę. Wtedy skręciłem w boczną drogę po lewej stronie i popędziłem na południe do Claude, później skierowałem się na południowy wschód przez Clarendon do widełek Red River w Prairie Dog Town – to dopiero nazwa mrożąca krew w żyłach – i w Estelline przejechałem na drugą stronę rzeki. Nie miałem ochoty na lunch, więc tu i tam wzmacniałem siły ryżową whisky i od czasu do czasu jakimś jajkiem, żeby mieć podkład. Podążając najmniej oczywistymi drogami, znowu ruszyłem na Zachód i po południu uznałem, że na dobre zgubiłem buicka. Nie trzeba mówić, że sam też się zgubiłem, ale to była kwestia drugorzędna. Znalazłem senny motel obsługiwany jedynie przez trzynastoletniego chłopca, który wynajął mi chatę, nie podnosząc wzroku znad komiksu.

– Hej, Columbio! Szczęśliwa kraino! – zawołałem, swobodnie zapożyczając od R.H. Horne’a. – Hej, wy, bohaterowie! Zrodzona w niebie gromado!

Już prawie podniósł głowę, ale w ostatniej chwili wybrał jednak *Nastoletniego wilkołaka z podwodnych otchłani* – i w głębi serca nie mogłem go za to winić.

Najgorszą część popołudnia przespałem i obudziłem się jakieś trzy godziny później, nękanym straszliwym pragnieniem. Zaspokoiwszy je, wyszedłem na dwór, żeby rozprostować nogi i skombinować trochę szynki i jajek. Nieco dalej przy bitej drodze, w cieniu topoli fremonckiej, stał kobaltowy buick.

Sprawa była jasna: w rollsie była pluskwa. Bez pomocy technicznej żadna agencja na tym świecie nie mogłaby mnie wytropić po całym dniu lawirowania. Całkiem spokojnie zjadłem jajka na bekonie i popiłem kilkoma filiżankami szatańskiej kawy, po czym wróciłem do rollsa krokiem człowieka zupełnie nieprzejętego obecnością kobaltowych buicków. Dopiero po prawie dziesięciu minutach znalazłem mały tranzystorowy radiomarker; był przyczepiony na magnes pod błotnikiem.

Uruchomiłem silnik i odjechałem w niewłaściwym kierunku; po pokonaniu kilku mil, krzycząc głośno, zatrzymałem policjanta stanowego na niesamowitym motorze i oświadczyłem mu, że się zgubiłem.

Jeśli syn swego kraju jest na tyle niemądry, żeby spytać amerykańskiego policjanta o drogę, zostaje albo wsadzony do paki za włóczęgostwo, albo – jeśli trafi na życzliwego gliniarza – słyszy, żeby kupił sobie mapę. Ten, z którym miałem do czynienia, dałby mi w łeb za to, że go zatrzymałem – przysięgam – gdyby nie to, że mówiłem z angielskim akcentem i podróżowałem wielkiej urody rolls-royce'em; to urzekło go do tego

stopnia, że *pro hac vice* okazał mi uprzejmość. Wsiadłem więc z samochodu i gdy pokazywał mi drogę na mapie, oparłem się lekko o jego wielkiego harleya davidsona, tak by mruczący silnik motoru przyciągnął magnes minitransmitera, który w końcu z cichym pacnięciem przywarł do tylnego błotnika. Policjant popędził z rykiem na północ, ja natomiast zacząłem się na bocznej drodze, dopóki buick nie przejechał spokojnie, podążając za swoim celem, po czym wystrzeliłem jak z armaty na południowy zachód.

Nad Teksasem wzeszedł ogromny teatralny księżyc i urzeczony nim jechałem przez kilka godzin wśród łąki wysmukłej jukki i pól amarantowej bylicy. W końcu na skraju Llano Estacado, czyli samych Staked Plains, ostrożnie wjechałem rollsem do zacisznego kanionu i ułożyłem się do snu za kierownicą, umieszczając w zasięgu ręki butelkę whisky na wypadek spotkania z górskim lwem, czyli pumą.

Zaraz potem nocne powietrze przeszyła dochodząca z niedalekiej odległości piosenka miłosna kojota i gdy zasypiałem, wydało mi się, że słyszę odległy, stłumiony odgłos niepodkutych kopyt.

## 13

Oto, jak go spotkałem:  
Szedłem przez niskie pasmo wzgórz, tak wyszczerbionych  
Jak zęby lwa starego...

*Epistoła, przeł. Grzegorz Uzdąński*

Obudził mnie strzał.

Czy to was nie przeraża? W takim razie sami chyba nigdy nie zostaliście obudzeni w taki sposób. Bo jeśli chodzi o mnie, zanim jeszcze w pełni oprzytomniałem, znalazłem się między pedałem gazu a hamulcem, popiskując ze strachu i panicznie obmacując skrytkę pod fotelem w poszukiwaniu podręcznego pistoletu bankiera (PPB).

Potem jednak zapadła cisza.

Odciągnąłem kciukiem spust i mrużąc oczy, ukradkiem wyjrzałem przez okno.

Wciąż cisza.

Wyjrzałem przez pozostałe okna – i nic – więc uznałem, że strzał musiał mi się przyśnić, bo we śnie nawiedzili mnie straszni Komancze, Apacze, partyzanci Quantrilla i inne demony w ludzkiej postaci. Uraczyłem

się kolejnym posiłkiem typu SŚPzSO, tyle że tym razem bez steku, bekonu, gorących bułeczek i kawy. Przeżyłem jedną czy dwie chwile zwątpienia, ale nic mi nie dolegało, więc wkrótce odzyskałem dawnego ducha i poczułem się na tyle śmiało, żeby wyjść na *un petit promenade hygiénique*. Kiedy otworzyłem drzwi, padł drugi strzał, co spowodowało, że jedną piątą sekundy później jednak je zamknąłem.

Przesłuchałem starannie swoją pamięć słuchową, żeby przypomnieć sobie dokładny dźwięk strzału.

1. Nie był to jednoznaczny, wyraźny HUK śrutówki
2. ani suchy TRZASK strzelby małego kalibru,
3. ani BUM pistoletu kalibru 45 milimetrów,
4. ani przeszywające ŁUP standardowej strzelby dużego kalibru czy też magnum, z którego ktoś strzela w waszym kierunku,
5. ani przerażający ŚWIST szybkostrzelnej strzelby sportowej, z której ktoś strzela w waszym kierunku, choć coś w ten deseń,
6. czyli strzelba sportowa, ale
7. strzał nie padł w kanionie, bo nie było echa, a zatem
8. ten ktoś nie strzelał do mnie – cholera, przecież nawet skautka nie mogłaby nie trafić w rolls-royce'a w dwóch starannie wymierzonych strzałach.

Mój intelekt zadowolili się więc myślą, że musiał to być jakiś poczciwy ranczer, który próbował zdefasonować kojota; moje ciało jednak trudniej było

spacyfikować. Ostrożnie podciągnąłem się z powrotem na fotel i trząsałem się na nim lekko przez następne piętnaście minut, od czasu do czasu pociągając łyk whisky. Jakieś sto lat później usłyszałem warkot uruchamianego starego samochodu, dobiegający z odległości wielu mil od strony pustyni. Po chwili ów odgłos zaczął się oddalać. Sarknąłem na tkwiącego we mnie tchórza.

– Ty tchórzliwy draniu – sarknąłem.

Potem jakimś cudem zapadłem w sen i spałem przez kolejną godzinę. Natura wie swoje, kapujecie.

Była dopiero dziewiąta, gdy wyruszyłem w ostatni etap mojej podróży, czując się stary, brudny i bezradny. Pewnie znacie to uczucie, jeśli skończyliście już osiemnaście lat.

Trudno prowadzić wóz w skulonej pozycji, niemniej rozbijałem rollsa i przejechałem przez Staked Plains, szybko łykając kolejne mile. Równiny te nie stanowią szczególnie ekscytującego widoku; zobaczyć jedną z nich to jakby zobaczyć je wszystkie. Nie chcę zdradzić, gdzie konkretnie leży ranczo Krampfa – albo leżało – ale mogę powiedzieć, że znajdowało się dwieście mil w linii prostej od mojego nocnego obozowiska, między górami Sacramento a Rio Hondo. Tamtego ranka nazwy te stały się dla mnie tylko obszarami na mapie, straciły wszelki romantyzm. Nic nie zabija poezji słów skuteczniej niż odgłosy strzałów. Wkrótce znudziły mi się te kreozotowe krzewy, pustynne wierzby

i wkrętopromieniowce, nie mówiąc już o ogromnych wiecznie żywych kaktusach, tak niepodobnych do tych, które pani Spon hoduje w swojej *conservatoilette*.

W południe wjechałem na teren Nowego Meksyku, wciąż przez nikogo nieprześladowany, ale nadal czując się stary i brudny. W Lovington (nazwanym tak na cześć starego, poczciwego Olivera Lovinga, który w sześćdziesiątym szóstym oznakował morderczy szlak Goodnighta-Lovinga i w następnym roku zmarł na nim od ran po strzałach z łuku) wziąłem kąpiel, ogoliłem się, zmieniłem strój i zamówiłem *huevos* o wdzięcznej nazwie *ojos de Comanchero*. W rzeczywistości danie to stanowiło najbardziej przerażający widok, jaki miałem dotychczas możliwość oglądać: dwa sadzone jajka ozdobione keczupem, sosem tabasco i posiekanymi papryczkami chilli na podobieństwo przekrwionych oczu – wolałbym już raczej zjeść własną nogę. Z zaciętą miną odesłałem ten specjał do kuchni; starzy pasterze z Oklahomy to jedno, a takie paskudztwo – to drugie. Spróbowałem natomiast chilli con Franks, które okazało się całkiem dobre, jak chilli con carne, ale z uroczymi słonymi kiełbaskami zamiast mielonego mięsa. Gdy się posilałem, różni zdjęci podziwem peoni myli ręcznie rollsa, oczywiście tylko wodą z mydłem.

Mając przed sobą do pokonania już tylko sto mil, czysty, elegancki i znowu zaledwie dojrzały, zwróciłem rollsa ku Ranczu Siedmiu Smutków Dziewicy, gdzie miałem odłożyć pielgrzymi płaszcz trosk, kapelusz

strachu i kosztur bezprawia tudzież odebrać dużą sumę pieniędzy i być może zabić Krampfa. A może nie. Opuszczając Anglię, byłem gotowy dotrzymać umowy z Martlandem, ale pokonując setki bezlitosnych mil przez Amerykę, sporo myślałem i znalazłem pewne argumenty przeciwko dochowaniu obietnicy. (W szkole tak naprawdę nigdy się nie przyjaźniliśmy. Martland był pośmiewiskiem całego internatu, powszechnie znanym jako Niewybrednodupy; chłopiec nie bez powodu zyskuje takie przezwisko).

Kupiłem także ciemniejsze okulary przeciwsłoneczne, bo poprzednie były obliczone na lemoniadowe angielskie słońce i nie chroniły przed brutalnym atakiem pustynnego światła. Ból sprawiało nawet patrzenie na fioletowozielone cienie, ostre jak brzytwa. Jechałem w całkowicie zamkniętym samochodzie, z zasuniętymi oknami i zaciągniętymi bocznymi ekranami; wewnątrz panowała atmosfera jak w saunie z uszkodzonym regulatorem temperatury, ale było to już lepsze niż wpuścić do środka suche, wściekle palące powietrze. Wkrótce więc siedziałem w żenującej kałuży potu i odezwała się moja stara rana; chilli con trwoga wyprawiało straszne rzeczy w moich jelitach i dochodzące z nich burczenie często bywało głośniejsze niż warkot silnika pocziwego rollsa, który toczył się niepowstrzymanie, cicho pożerając pintę benzyny na ustawową milę.

Po południu z przerażeniem zauważyłem, że...



przestałem się pocić i zacząłem mówić do siebie – i jeszcze tego słuchać. Coraz trudniej było odróżnić drogę od jeziorok drgającego z upału powietrza i nie mogłem się zorientować, czy strzępiasto-pierzaste kukawki kalifornijskie znajdują się pod moimi kołami, czy mile przede mną.

Pół godziny później znalazłem się na bitej drodze pod pasmem gór Sacramento – kompletnie zagubiony. Zatrzymałem się, żeby spojrzeć na mapę, i mimowolnie się wsłuchałem w niesamowitą ciszę – „tę ciszę, gdzie ptaki są martwe, coś jednak niczym ptak śpiewa” [16](#).

Nade mną ktoś strzelił, ale nie pochwyliłem odgłosu przelatującego pocisku, więc nie miałem zamiaru drugi raz tego dnia się kulić. Co więcej, trudno było nie rozpoznać broni, z której strzelano, wydała bowiem głębokie szczeknięcie, spłaszczone nieco przez ciężkie powietrze; odgłos pochodził z nabijanego prochem strzelniczym pistoletu dużego kalibru. Wysoko na grani ujrzałem jeźdźca na koniu, machającego kapeluszem z szerokim rondem; już zjeżdżał ku mnie, prowadząc swojego wierzchowca z niedbałą gracją, a nawet z pewną nonszalancją. Okazało się, że to nie byle jaki jeździec, lecz amazonka, i nie byle jaki wierzchowiec. *¡Que caballo!* Rozpoznałem go natychmiast, chociaż nigdy wcześniej nie widziałem prawdziwego *bayo naranjado* – pomarańczowego gniadosza ze śnieżnobiałą grzywą i ogonem. Był doskonały – kto mógł zdobyć takiego konia? – i schodził po nierównym

skalistym stoku, jakby to był tor wyścigowy. Teksaskie siodło o niskim łęku, z dwoma popręgami, było ozdobione srebrnymi *conchos* na pięknie tłoczonej i inkrustowanej skórze, a sama dziewczyna mogłaby stanowić eksponat na wystawie poświęconej Dzikiemu Zachodowi. Miała na sobie czarnego stetsona o niskiej główce z opaską ze skóry grzechotnika i paskiem z plecionego włosa pod brodę, bandanę z końcami opadającymi prawie do pasa, brązowe lewisy wetknięte do niesamowitych kowbojek, które z kolei tkwiły w starych, srebrnych hiszpańskich strzemionach i miały ostrogi najwyraźniej ze złota.

Amazonka dotarła do podnóża stoku wraz z małą lawiną odłamków skalnych, trzymając luźno wodze, za to ściskając udami boki konia, żeby utrzymać się w siodle, ogier zaś pokonał kanał przeciwburzowy, jakby go tam wcale nie było, i wylądował efektownie obok rollsa, wyrzucając spod kopyt kamyki.

Opuściłem okno i wyrzałem przez nie z uprzejmą miną. W tym momencie zostałem spryskany ohydą pianą z pyska wierzchowca, który odsłonił żółte zęby i ugryzłby mnie w twarz, gdybym czym prędzej nie zasunął z powrotem szyby. Dziewczyna przyjrzała się rollsovi. Kiedy koń minął okno, przy którym siedziałem, zobaczyłem piękny pas meksykańskiej roboty, z kaburami *buscadero*, a w nich parę doskonale utrzymanych koltów w smoczy wzór, model na papierowe pociski z lat czterdziestych dziewiętnastego

wieku, z kolbami od Louisa Comforta Tiffany'ego – na pewno – wykonanymi ze dwadzieścia lat później. Nosiła je tak, jak przystało na Południowy Zachód – kolbami do przodu, żeby dobyć je błyskawicznie typowym dla pogranicza ruchem krzyżowym albo skrętnym kawaleryjskim (co bardziej sensowne), i oczywiście kabury nie były przywiązane – nie była to żadna hollywoodzka maskarada, lecz doskonała historyczna rekonstrukcja. (Spróbujcie wsiąść na konia albo nawet kłusować z rewolwerami w otwartych kaburach przywiązanych do ud). Z pochwy przy siodle wystawała, bo głębiej by nie weszła, kolba sztucera wielostrzałowego One-in-One-Thousand Winchester.

Gdy tak siedziała w siodle, od kapelusza po końskie podkowy musiała być warta fortunę – to dało mi nowe pojęcie, co można robić z pieniędzmi – i jakby wcale się z tym nie obnosiła, co jeszcze bardziej potęgowało efekt. Nie jestem, jak być może już się domyśliliście, szczególnym zwolennikiem tradycyjnego seksu, zwłaszcza z kobietami, ale ten obraz zdecydowanie podziałał ożywczo na moje sflaczałe ciało. Nieznajoma miała idealnie okrągły, jędrny tyłeczek amazonki, bynajmniej nie rozlany, jak dziewczęta, które zbyt wcześnie zaczynają jeździć konno.

Wysiadłem po drugiej stronie samochodu – na tyle znam się na koniach, aby wiedzieć, że lepiej nie próbować zaprzyjaźnić się ze zmęczonym ogierem w upalny dzionek – i zwróciłem się do niej nad maską

wozu.

– Dzień dobry – rzuciłem, żeby jakoś zagaic.

Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów. Wciągnąłem brzuch. Starąłem się zachować kamienną twarz, ale dziewczyna wiedziała, oj, wiedziała. One zawsze wiedzą, oj, wiedzą.

– Cześć – odparła. Z wrażenia zabrakło mi tchu.

– Nie wie pani przypadkiem, jak mógłbym dojechać na Rancho de los Siete Dolores? – spytałem.

Jej pełne usta, jak użądłone przez pszczoły, rozchyliły się lekko, ukazując białe zęby. Pewnie miał to być uśmiech.

– Ile wart jest ten stary wóz? – zagadnęła.

– Obawiam się, że nie jest na sprzedaż.

– Głupiec z pana. I to gruby. Ale słodki. – W jej głosie można było pochwycić cień obcego akcentu, jednakże nie meksykańskiego. Może wiedeńskiego, a może budapeszteńskiego.

Ponownie zapytałem o drogę. Uniosła do oczu piękną szpicrutę i zlustrowała horyzont na zachodzie. Była to jedna z tych słynnych szpicrut z fragmentem przedziurawionego rogu w rączce, bardziej użyteczna w tym klimacie niż teleskop. Po raz pierwszy w życiu zacząłem rozumieć Sachera-Masocha.

– Może pan pojechać na przełaj. – Wskazała kierunek.

– Pustynia nie jest wcale gorsza od drogi. Niech pan podąży za kośćmi, kiedy już pan na nie trafi.

Próbowałem wymyślić jeszcze jakiś temat do

rozmowy, ale coś mi mówiło, że dziewczyna nie należy do trajkotek – i rzeczywiście, kiedy szukałem sposobu, żeby ją zatrzymać, szpicrutą smagnęła konia po boku i zniknęła między lśniącymi zwałami rozgrzanych głazów. Cóż, wszystkich nie da się zdobyć.

Szczęśliwe stare siodło – pomyślałem rzewnie.

Po dwudziestu minutach dojechałem do pierwszych kości, o których wspomniała. Był to pobielający szkielet teksaskiej krowy długorogiej, spoczywający artystycznie obok słabo widocznych śladów kół. Potem pojawił się drugi i trzeci, aż w końcu dotarłem do wielkiej bramy rancza w samym środku pustki. Na poprzecznej belce tkwiła polichromowana meksykańska rzeźba przedstawiająca zbolałą Madonnę, a pod nią wisiała tablica, na której wypalono symbol posiadłości: dwa hiszpańskie wędzidła. Zacząłem się zastanawiać, czy nie chodzi tu o jakiś żart, i doszedłem do wniosku, że jeśli nawet, to nie jest on pomysłem pana Krampfa.

Szlak za bramą był już wyraźniejszy. Trawa preriowa stawała się gęstsza z każdym furlongiem i zacząłem dostrzegać w cieniu topól fremonckich stada koniny – z gatunku morgan, palomino, appaloosa i sam nie wiem jakich jeszcze. Za mną i obok mnie raz po raz pojawiali się jacyś jeźdźcy i gdy wreszcie dojechałem do rozległej hacjendy, eskortowało mnie już z kilkunastu *desperados* ubranych w stylu *charro*, którzy zachowywali się, jakbym był powietrzem.

Dom okazał się niezwykle piękny: te wszystkie białe

kolumny i portyki, na zewnątrz labirynt zielonych trawników, fontanny, liczne patia, kwitnące agawy i jukki. Drzwi wiaty uniosły się same i wprowadziłem pod nią rollsa, stając między bugattim a cordem. Kiedy z torbami w rękach wysiadłem z samochodu, eskortujący mnie bandyci zniknęli, odpowiadając na czyjeś niedosłyszalne wezwanie, i w polu widzenia pozostał tylko jakiś mały impertynent. Wyseplenił coś po hiszpańsku, wyrwał mi bagaże i wskazał ocienione patio, do którego ruszyłem swobodnym, niewymuszonym krokiem, na jaki nie za bardzo mi pozwalały uwierające spodnie.

Usiadłem na marmurowej ławce, przeciągnąłem się z lubością i skierowałem spojrzenie na grupę rzeźb kryjących się w zielonym cieniu. Jedna z nich, bardziej zwietrzała niż inne, okazała się starszą panią siedzącą nieruchomo ze złożonymi na podołku rękami i patrzącą na mnie obojętnie. Zerwałem się na równe nogi i skłoniłem – była to bowiem kobieta, jakiej ludzie zawsze się kłaniają. W odpowiedzi skinęła lekko głową. Zacząłem się wiercić. Wszystko wskazywało, że to matka Krampfa.

– Czy mam zaszczyt rozmawiać z panią Krampf? – zapytałem wreszcie.

– Nie, proszę pana – odparła staranną angielszczyzną dobrze wyedukowanej cudzoziemki – rozmawia pan z hrabiną Grettheim.

– Proszę mi wybaczyć. – Powiedziałem to szczerze,

bo któż z nas, nienależących do rodziny Krampfów, chciałby zostać wzięty za jednego z nich? – Czy państwo Krampfowie są w domu? – spytałem.

– Nie potrafię powiedzieć – wyjaśniła pogodnie.

Najwyraźniej uznała temat za wyczerpany. Milczenie przeciągnęło się poza punkt, w którym ośmieliłbym się coś jeszcze powiedzieć. Jeśli życiową misją tej starszej damy było sprawić, bym stracił swobodę bycia, to z całą pewnością była w szczytowej formie sezonu – *si extraordinairement distingué*, jak mawiał Mallarmé, *quand je lui dis „bonjour”, je me fais toujours l’effet de lui dire „merde”* <sup>17</sup>.

Ponownie przyjrzałem się rzeźbom. Była wśród nich znakomita kopia Afrodyty Kallipygos i mój wzrok z wdzięcznością spoczął na jej chłodnych marmurowych pośladkach. Zdeterminowany, żeby się nie zaczerwienić, walczyłem z rumieńcem tak skutecznie, że zaczęły mi opadać zmęczone od słońca powieki.

– Nie chce się panu pić? – zagadnęła nagle starsza dama.

– Że co? No cóż... eee...

– To dlaczego nie zadzwoni pan po służbę?

Cholernie dobrze wiedziała, dlaczego nie zadzwoniłem po służbę, stara wiedźma. Teraz jednak to zrobiłem i wkrótce pojawiła się rośła latawica w jednej z tych bluzek – no wiecie, sznurowanych na biuście linką, taką jakby wyzwalającą – przynosząc wysoką

szklanę wypełnioną po brzegi czymś pysznym.

Zanim pociągnąłem pierwszy łyk, uprzejmie skłoniłem głowę przed hrabiną. To także okazało się błędem, bo rzuciła mi spojrzenie bazyliuszka, jakbym powiedział co najmniej: „No to chlup, kochanieńka”.

Przyszło mi do głowy, że chyba powinienem się jej przedstawić, więc uczyniłem to i wtedy chyba trochę odtajała. Najwyraźniej powinienem był to zrobić wcześniej.

– Jestem teściową pana Krampfa – powiedziała nieoczekiwanie, ale jej bezbarwny ton oraz obojętna mina wyrażały niewątpliwą pogardę dla ludzi noszących to nazwisko. A także dla innych, noszących nazwisko Mortdecai, skoro już o tym mowa.

– Ach, tak – odparłem jedynie z nutą uprzejmego niedowierzania w głosie.

Potem przez jakiś czas nic się nie działo oprócz tego, że wypilem drinka i zebrałem się na odwagę, aby zadzwonić po następnego. Ta kobieta już mnie oceniła jako szumowinę, pomyślałem więc, że opinia moczymordy już za bardzo mi nie zaszkodzi.

Później podkradł się bosy peon, który wymamrotał do niej coś po hiszpańsku, a następnie cichaczem odszedł. Po chwili kobieta się odezwała:

– Moja córka jest już w domu i chce się z panem zobaczyć. – I w sposób nieznoszący sprzeciwu przytknęła pergaminowe powieki. Zostałem odprawiony. Opuszczając patio, wyraźnie usłyszałem,



jak mówi: – Jeśli się pan pospieszy, zdąży pan ją przelecieć jeszcze przed kolacją.

Zatrzymałem się, jakby ktoś strzelił mi w plecy. C. Mortdecaiowi rzadko brakuje słów, ale w tamtym momencie to dopiero brakowało!

Nie otwierając oczu, dodała:

– Jej mąż nie będzie miał nic przeciwko temu, bo sam już tego nie robi.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko się oddalić. Umykając pospiesznie, pozwoliłem, żeby te słowa przebrzmiały w nieruchomym powietrzu. Służący przechwycił mnie sprawnie, kiedy tylko wszedłem do domu, i powiódł do małej, obwieszanej gobelinami komnaty na parterze. Utonąwszy w najbardziej luksusowej kanapie, jaką potraficie sobie wyobrazić, próbowałem się zorientować, czy to ja dostałem porażenia słonecznego, czy też starsza dama była wariatką w rodzinie.

Zapewne nie będziecie zdziwieni, bystrzy czytelnicy, kiedy wam powiem, że rozchyliwszy gobeliny, do pokoju weszła dziewczyna, którą widziałem wcześniej dosiadającą ogiera. Ja jednak bardzo się zdziwiłem, bo gdy ostatnio widziałem panią Krampf – w Londynie dwa lata wcześniej – była wredną starą babą w rudej peruce, ważącą ze sto kilo. Nikt mnie nie uprzedził, że pan Krampf wymienił ją na nowszy model.

Powściągając wytrzeszcz oczu, które musiały wystawać jak kołki na ubrania w przedSIONKU kaplicy,

próbowałem wstać, co zważywszy na moje krótkie nogi i głębokość kanapy, musiało stanowić raczej niedorzeczny widok. Kiedy w końcu, zły na siebie, przybrałem wyprostowaną postawę, zobaczyłem, że dziewczyna ma na twarzy coś, co nazwałbym szyderczym uśmiechem. Niemal można było sobie wyobrazić, że trzyma w perłowych zębach różę, czerwoną różę.

– Jeśli nazwie mnie pani *amigo*, to zacznę krzyczeć – burknąłem.

Uniosła brew w kształcie skrzydła mewy i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Ależ nie mam wcale zamiaru zachowywać się jak... niedoświadczona dzierlatka ani małpować tych meksykańskich dzikusów. Ten strój *pistolero valiente* to wymysł mojego szurniętego męża. – W cudownie subtelny sposób używała amerykanizmów. – A pistolety mają coś wspólnego z kompleksem kastracyjnym. Nie znam się na tym i nie chcę znać, nie interesuje mnie doktor Freud ani jego brudne myśli.

Wreszcie ją zlokalizowałem: wiedeńska Żydówka. Najpiękniejsze i najinteligentniejsze kobiety na świecie. Pozbierałem się do kupy.

– Proszę mi wybaczyć – przemówiłem. – Zacznę od nowa, jeśli pani pozwoli. Nazywam się Mortdecai. – Złączyłem pięty i pochyliłem się nad jej dłonią. Miała śliczne długie palce, typowe dla swojej rasy, twarde jak paznokcie.

– A ja mam na imię Johanna. Nazwisko pan zna.

Odniosłem wrażenie, że stara się wymawiać je jak najrzadziej. Gestem odesłała mnie z powrotem na kanapę – wszystkie jej ruchy były piękne – i stanęła nade mną na rozstawionych nogach. Dziwnie się czułem, patrząc na nią z głębin tej przeklętej sofy. Opuściwszy wzrok, stwierdziłem, że mam przed sobą jej ujęte w dzinsy łono, które znajduje się czternaście cali od mojego nosa. („Czternaście” w rozumieniu Borgesa, rzecz jasna).

– Piękne rewolwery – zauważyłem z desperacją.

Wtedy wykonała jakiś niezwykle szybki i skomplikowany ruch prawą ręką i zaraz potem, niemal w jednej chwili, kolba od Tiffany’ego znalazła się sześć cali od mojej twarzy. Wziąłem broń z szacunkiem – zważcie, że dragon kolt ma ponad stopę długości i waży ponad cztery funty; dopóki nie miało się go w ręce, trudno zrozumieć, jaką trzeba mieć siłę i wprawę, żeby wywijać nim od niechcienia. Przerazająca młoda kobieta.

Była to naprawdę piękna broń. Zakręciłem bębenkiem – jeden nabój był już w komorze, gotów na uderzenie kurka. W środku znajdowała się wspaniała grawerka i z nabożnym lękiem zauważyłem inicjały J.S.M.

– Chyba to nie należało do Johna Singletona Mosby’ego [18](#)? – zapytałem zdjęty niedowierzaniem.

– Rzeczywiście, chyba tak się nazywał. Kawalerzysta czy ktoś w tym rodzaju. Mąż aż do znudzenia opowiada, ile zapłacił za te rewolwery... nie pamiętam dokładnie,

ale chyba bardzo dużo.

– Na pewno – przytaknąłem, czując przeszywającą jak nóż żądzę. – Ale czy to nie za ciężka broń dla kobiety? To znaczy pięknie się nią pani posługuje, ale może odpowiedniejszy byłby inny model, taki kolt lightning albo wells fargo...

Wzięła rewolwer, sprawdziła pozycję kurka i broń jakimś cudem znalazła się z powrotem w kaburze.

– Mąż upiera się, żebym nosiła taką dużą – odparła ze znużeniem. – To ma coś wspólnego z kompleksem kastracyjnym, mechanizmem kompensacyjnym czy jakimś innym paskudztwem. Ale musi pan być spragniony, mąż mówił mi, że często doskwiera panu pragnienie... Przyniosę coś do picia. – Co powiedziawszy, wyszła z pokoju.

Ja też zacząłem się czuć trochę wykastrowany albo jakbym miał małego.

Wróciła za jakieś dwie minuty, przebrana w skąpy bawełniany szlafroczek. Za nią podążał obładowany alkoholami peon. Jej sposób bycia też się zmienił. Usiadła obok mnie z przyjacielskim uśmiechem. Właściwie tuż przy mnie. Cofnąłem się o cal. Czy raczej skurczyłem. Przez chwilę przyglądała mi się z zaciekawieniem, a potem zachichotała.

– Rozumiem. Moja matka już szepnęła panu słówko. Odkąd przyłapała mnie jako siedemnastolatkę bez niczego pod sukienką, uważa, że jestem niczym jakaś klacz w rui. – Zrobiła mi dużego mocnego drinka; peon

został odprawiony. – Jednakże – ciągnęła, z oszłamiającym uśmiechem podając mi szklankę – żywie niewytłumaczalny pociąg do mężczyzn w pańskim wieku i o pańskiej budowie ciała.

Uśmiechnąłem się kokieteryjnie, dając jej do zrozumienia, że poznałem się na żarcie, niepozbawionym być może nutki przekory.

– Chi, chi! – I zapytałem: – A pani się nie napije?

– Nie piję alkoholu. To przytępia zmysły.

– Wielkie nieba – bąknąłem – ależ to okropne! To, że pani nie pije. Bo wstając rano, trudno sobie wyobrazić, że przez cały dzień człowiek nie poczuje się lepiej.

– Ależ ja czuję się cudownie od rana do wieczora, dzień w dzień. Niech pan mnie dotknie.

Słyszając to, ulałem sporą część drinka.

– Poważnie – powiedziała. – No, niech pan dotknie.

Ostrożnie dotknąłem złotego, krągłego ramienia.

– Nie tam, ty głupcze, tutaj!

Odpięła guzik i spod szlafrocza wyskoczyły dwie najpiękniejsze piersi, jakie widziałem, całkiem nagie, twarde i o sterczących sutkach. Przy całej swojej galanterii nie mogłem oprzeć się pokusie, aby chwycić jeden z nich. Właściwie to ręka podjęła za mnie decyzję. Dziewczyna przyciągnęła moją głowę ku sobie.

Chociaż całować jej sutki było nader przyjemnie, muszę wyznać, że zawsze przy takich okazjach czuję się trochę zażenowany, a wy nie? Przypominają mi się wtedy tłuści faceci ssący z zapalem cygara jak smoczki.

Jednakże Johanna tak żywołowo zareagowała na moją pierwszą nieśmiałą próbę nadgryzienia od ogonka jej wspaniałych owoców, że zupełnie zapomniałem o zażenowaniu, zacząłem natomiast obawiać się o swoje zdrowie. Miauknęła bowiem jak torturowany kot i owinęła się wokół mnie, jakby miała zaraz utonąć. Jej szczupłe stwardniałe palce chwyciły mnie z cudowną gwałtownością i wkrótce się przekonałem, że od siedemnastego roku życia nie zmieniła swej bieliźnianej polityki.

– Poczekaj – powiedziałem gorączkowo. – Czy nie powinienem najpierw wziąć prysznic? Jestem brudny.

– Wiem – warknęła. – Uwielbiam to. Zalutujesz koniem. **Jesteś** jak koń.

Ponaglany dźgnięciami jej pięt, posłusznie przeszedłem w cwał. Cieszyłem się, że zdjęła ostrogi.

Opisy niewolenia marszandów w średnim wieku nie są ani pouczające, ani umoralniające, więc spuszczę zasłonę milczenia, kryjąc scenę, która nastąpiła potem. Oto ta zasłona:

.....

Do mojego pokoju odprowadziła mnie bosa latawica w sznurowanej bluzce. Uśmiechnęła się do mnie beznamietnie, wskazując swoje obfite łono jak parę pistoletów.

– Jestem do pańskich usług, dopóki będzie pan na ranczu, *señor* – powiedziała bez ogródek. – Nazywam się Josefina... jak Josephine.

– Szalenie stosownie – wymamrotałem – zważywszy na okoliczności.

Nie zrozumiała.

Jak przewidziała hrabina, zdążyłem przed kolacją. Wykapany i przebrany usiadłem przy stole, czując się już bardziej jak C. Mortdecai, którego znamy i kochamy, ale muszę przyznać, że byłem też trochę zawstydzony i starałem się nie patrzeć w oczy starszej damie. Tak jakoś się złożyło, że i ona unikała mojego wzroku. Była prawdziwym smakoszem i aż przyjemnie się siedziało naprzeciwko niej.

– Powiedz mi – zwróciłem się do Johanny, gdy przyniesiono drugie danie – gdzie jest twój mąż?

– W swojej sypialni. Obok małej garderoby, w której cię... eee... przyjął.

Spojrzałem na nią przerażony – żaden normalny człowiek nie mógłby spać spokojnie przy zwierzęcych odgłosach naszego spółkowania.

– Nie martw się o to, proszę. Nic nie słyszał, ponieważ od kilku godzin nie żyje.

Naprawdę nie pamiętam, co wtedy jedliśmy. Wszystko na pewno było przepyszne, ale miałem trudności z przełykaniem i stale wypuszczałem z rąk a to nóż, a to widelec, a to jakiś inny przedmiot. „Dygot” to jedyne słowo, które oddaje moje poczynania. Pamiętam tylko, że siedząca na wprost mnie stara hrabina wpychała w swoje wątle ciało mnóstwo jedzenia, jak ktoś, kto zaopatruje jacht przed bardzo długim rejssem. *Cur quis*

*non prandeat hoc est?* <sup>19</sup> – zdawała się myśleć.

Dotarliśmy do trunków i orzechów, gdy odzyskałem na tyle pewność siebie, aby odważyć się zadać następne pytanie.

– A tak – odparła Johanna obojętnie – to musiało być serce. Lekarz mieszka trzydzieści mil stąd i jest pijany. Przyjedzie jutro. Dlaczego tak mało jesz? Powinieneś uprawiać więcej gimnastyki. Jutro pożyczę ci klacz, galop dobrze ci zrobi.

Spurpurowiałem i zamilkłem.

Starsza dama zadzwoniła srebrnym dzwonkiem, który stał przy jej nakryciu. Do pokoju wsunął się ksiądz o ziemistej cerze i zmówił po łacinie długą modlitwę. Obie kobiety wysłuchały jej z pochylonymi głowami. Potem hrabina wstała i z typową dla siebie subtelną godnością skierowała się do drzwi, gdzie puściła bąka o tak przerażającej sile i głośności, że aż się przestraszyłem, iż sama sobie wyrządziła krzywdę. Ksiądz usiadł przy końcu stołu i zaczął pożerać orzechy oraz żłopać wino, jakby od tego zależało jego życie. Johanna uśmiechała się z rozmarzeniem, patrząc w przestrzeń; prawdopodobnie wyobrażała sobie rozkoszną przyszłość bez Krampfa. Miałem tylko nadzieję, że nie wyobraza sobie w najbliższym czasie żadnych rozkoszy, które wiązałyby się z moim udziałem, jedyne bowiem, o czym marzyłem, to odrobina szkockiej i wielka, gruba tabletką na sen.

Ale nie było mi to dane. Johanna wzięła mnie za rękę



i zaprowadziła do pokoju przy garderobie, żeby pokazać mi trupa, tak jak ktoś inny pokazałby gościowi ozdobne ptactwo wodne w angielskiej posiadłości. Krampf leżał nagi, szpetny i rzeczywiście ze wszech miar nieżywy, zdradzając wszelkie objawy rozległego zatoru tętnicy wieńcowej, jak piszą autorzy dreszczowców. (Nie ma zewnętrznych oznak śmierci z powodu rozległego zatoru tętnicy wieńcowej). Na dywanie obok łóżka leżała mała srebrna szkatułka, którą znałem. Krampf zawsze trzymał w niej pigułki na serce. A teraz dołączył do Butelki Zwrotnej. Obaj mieli słabe pikawy. Zresztą nie tylko oni.

Śmierć Krampfa rozwiązała kilka problemów, ale też spowodowała kilka nowych. W całej tej sytuacji było coś, czego w tym punkcie wieczoru nie potrafiłem jeszcze dokładnie określić, wiedziałem jednak, że gdzieś tu kryje się słowo „kłopoty”. Pewny, że Johanna nie będzie miała nic przeciwko temu, odchyliłem prześcieradło, którym Krampf był nakryty. Na jego potężnym ciele nie dostrzegłem żadnych widocznych śladów przemocy. Johanna podeszła i stanęła po drugiej stronie łóżka; oboje beznamiętnie spojrzeliśmy w dół. Ja straciłem bogatego klienta, ona – bogatego męża. Między moim a jej smutkiem była niewielka różnica ilościowa, jakościowa zaś polegała na tym, że Johanna prawdopodobnie zyskiwała dużo pieniędzy, ja zaś... przeciwnie. Gdyby Krampf żył, poczułby się jak Jezus Chrystus między dwoma łotrami. Zresztą po śmierci też

zyskał pewien duchowy wymiar, a niewątpliwie pewną  
woskową świątobliwość.

– Był brudnym małpiszonem – powiedziała w końcu  
Johanna. – W dodatku podłym i chciwym.

– Ja też taki jestem – odparłem – a jednak nie sędzę,  
żebym był do niego podobny.

– Ależ skąd! – potwierdziła. – On był podły w nędzny,  
skąpy sposób. Ty nie jesteś podły w takim sensie ani  
w żadnym innym. Dlaczego bogacze zawsze są  
nikczemni?

– Pewnie dlatego, że chcą pozostać bogaczami.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie – odezwała się znowu. – Jego chciwość była  
innego rodzaju. On był żądny ludzkiego życia,  
kolekcjonował swoich pobratymców jak znaczki  
pocztowe. Tak naprawdę nie chciał tego skradzionego  
obrazu, który masz w dachu rolls-royce’a, chciał ciebie.  
Po tej transakcji nie uwolniłbyś się od niego. Musiałbyś  
całować go w dupę przez resztę swojego życia.

To wytrąciło mnie z równowagi. Po pierwsze, nawet  
Krampf nie wiedział – nie powinien był wiedzieć –  
gdzie ukryty był Goya. Po drugie, ktoś inny tu mną  
manipulował, a nie vice versa. Po trzecie, w spisek  
wmieszała się kobieta, którą aż rozsadzało od  
niebezpiecznych faktów. Krampf zawsze był  
lekkomyślny, ale znał zasady draństwa. Jak to się stało,  
że wtajemniczył babę?

Sprawa śmierci Krampa zmieniła charakter:

przedtem wydawała mi się tylko nadzwyczaj dziwna, teraz złowieszcza. W tej całej groźnej historii, która zaczęła wychodzić na jaw, pojawiło się kilkanaście możliwych motywów zabójstwa milionera, podczas gdy poprzednio był zaledwie jeden: motyw Martlanda.

Co więcej, jeszcze tego ranka postanowiłem, że jednak nie wypełnię swojej części umowy, którą zawarłem z Martlandem, i nie usunę Krampfa. Nie mam cierpliwości do tego absurdalnego szacunku, jaki żywi się w obecnych czasach dla ludzkiego życia; uważam raczej, że naszym głównym problemem jest to, że wokoło panoszy się za dużo ludzi, ale z wiekiem coraz mniej mi się chce likwidować ich własnymi rękami. Zwłaszcza gdy akurat należą do moich najlepszych klientów. Niemniej pewnie dotrzymałbym danego Martlandowi słowa, gdyby rano nie przyszło mi do głowy, że sam znalazłem się na liście osób do odstrzału i że po zabiciu Krampfa znalazłbym się na niej tym bardziej – z różnych powodów, których sami możecie się domyślić.

– Kiedy go opętało, moje dziecko? – spytałem łagodnie Johanę.

– Pewnie jeszcze w łonie matki. Ale pogorszyło mu się, gdy zaczął coś knuć z niejakim Gloagiem.

Skrzywiłem się.

– Tak – odparłem – znam te typki.

Wbrew wszelkim pozorom stało się już dla mnie jasne, że Krampf został zamordowany. Istniało zbyt

wiele motywów, a także zbyt wiele sposobów, aby upozorować śmierć na skutek choroby serca – a tym bardziej spowodować ją u kogoś, kto już na tę chorobę cierpi.

Znalazłem się między młotem a kowadłem i to było okropne. Tylko słowo Martlanda jako ucznia odpowiedzialnego za dyscyplinę stało teraz między mną a ostatecznym łomotem ze strony kostuchy, tego straszliwego szkolnego sierżanta. Słowo honoru człowieka, który honoru nie miał.

Pozbierałem się do kupy.

– Cóż, Johanno – odezwałem się rażno – muszę iść do łóżka.

– Tak – odparła, biorąc mnie stanowczo pod ramię – musimy oboje.

– Posłuchaj, moja droga, naprawdę jestem bardzo zmęczony, rozumiesz. I wyszedłem już z wieku młodzieńczego...

– Och, znam lekarstwo na jedno i drugie... chodź, to się przekonasz.

Nie jestem wcale słaby, jak wiecie, tylko zepsuty i ulegam wpływom. Więc powędrowałem za nią ze skurczoną męskością. Noc była nieznośnie gorąca.

Z jej pokoju niczym z baru buchnęła nam w twarz duchota – spanikowałem, gdy Johanna wciągnęła mnie do środka i zaryglowała drzwi.

– Okna są pozamykane – wyjaśniła – zasłony zaciągnięte, a centralne ogrzewane podkręcone na

maksa. Popatrz, już się pocę!

Popatrzyłem. Faktycznie.

– To najlepszy sposób na te rzeczy – podjęła, zdzierając ze mnie mokrą koszulę. – Zaraz poczujesz się młody i pełen wigoru. Zapewniam cię, to niezawodna metoda, zaraz będziemy jak zwierzęta w tropikalnej dżungli.

Na próbę wydałem niepewny okrzyk pożądania, ale wypadł nieprzekonująco. Johanna tymczasem namaściła mnie obficie oliwką dla dzieci, podała mi butelkę, zrzuciła z siebie ostatnie części garderoby i podsunęła do nasmarowania wspaniałe góry i doliny swojego gorącego ciała. Więc je nasmarowałem. I moje ciało, wydostając z jakichś zapomnianych zakamarków resztki wigoru, stanęło na wysokości zadania.

– No widzisz – powiedziała radośnie Johanna, wskazując na mnie, po czym zaprowadziła mnie do jednego z tych przerażających plastikowych łóżek wodnych i nakryła swoim wilgotnym ciałem, by chwilę później dobyć z naszych przylegających do siebie łon soczyste plaśnięcia i zbudzić do życia dawno już nieżyjącego twardego jak stal młodego Mortdecaia, opętanego niewygasającą skrytą żądzą: Mortdecaia Minora, najpewniejszego kandydata do śmierci, jaka spotyka onanistów.

– Dziś wieczorem, ponieważ jesteś zmęczony, nie będę już klaczą. Ty za to będziesz leniwym koniem cyrkowym, a ja nauczę cię *haute école*. Połóż się, na

pewno ci się spodoba, obiecuję.  
I rzeczywiście mi się spodobało.

## 14

Ottima: Na ciało Wenery!  
Gdybyśmy, mówię, natrafili wówczas  
Na mego męża, Luki Gaddiego,  
Zamordowane zwłoki, tak, ukryte  
Pod jego łóżkiem, czyżbyś wzrok w nie wlepiął,  
Jak dziś? Dlaczego patrzysz w nie tak długo?  
(...)  
Sebald: Z temi rękami... to wieczór upalny...  
Precz!... Czy to rano?...

*Pippa przechodzi, przeł. Jan Kasprowicz*

Powoli, z bólem rozkleiłem oczy. W pokoju panowały kompletne ciemności i cuchnęło kozą. Gdzieś wybił zegar, ale którą godzinę, czy nawet którego dnia – tego nie wiedziałem. Można by chyba powiedzieć, że spałem, choć z przerwami, ale nie będę udawał, że obudziłem się rześki. Raczej wykończony. Zwlokłem się z parującego łóżka i w oparach wilgoci skierowałem do miejsca, gdzie powinno być okno. Miałem sto lat i wiedziałem, że moja prostata nigdy już nie wróci do formy. Jedyne, czego pragnąłem – jak zbłąkana duszyczka niebiańskiego źródła – to świeżego powietrza, żadnych innych rzeczy, których często pragnę. Wreszcie

znalazłem ciężkie zasłony, rozsunąłem je na boki i zatoczyłem się z wrażenia. Na zewnątrz panowała pełnia karnawału – więc pomyślałem, że postradałem zdrowe zmysły, mimo zapewnień wyniesionych ze szkoły podstawowej, że najpierw się ślepnie.

Okno wychodziło na pustynię i kilka furlongów ode mnie ciemność rozjaśniał pas barwnych świateł, które rozchodziły się w obie strony na pół mili. Gdy tak gapiłem się na to bezrozumnie, Johanna podkradła się do mnie i miłośnie przywarła do moich pleców spoconym ciałem.

– Oświetili lądowisko, ty mały ogierze – tchnęła uspokajająco między moje łopatki. – Widocznie nadlatuje samolot. Ciekawe, kto to.

Tak naprawdę jednak była ciekawa, czy stary ujeżdżony Mortdecai ma jeszcze siły w swoich rasowych lędźwiach na kolejny galop, ale odpowiedź nasuwała się sama. Jej rozkochane „muuu!” przeszło w „buuu!”, mimo to nie czyniła mi wymówek. Była damą – wiem, że to brzmi głupio – i nadal nią jest, o ile mi wiadomo.

Sprawny czy nie, zawsze mam mieszane uczucia względem samolotu, który ląduje niespodziewanie we wczesnych godzinach porannych na terenie wiejskich posiadłości, gdy znajduję się w jednoznacznej sytuacji. W takich przypadkach mam nieodmiennie zwyczaj witać pasażerów tych maszyn wykąpany, w pełni ubrany i z pistoletem czy czymś podobnym przy pasie, w razie



gdyby okazali się (pasażerowie) wrogo do mnie nastawieni.

Zgodnie więc z tą zasadą wykąpałem się, ubrałem i umieściłem PPB w jego ciepłym gniazdku, a następnie zszedłem na parter, gdzie znalazłem coś nadzwyczaj paskudnego do picia o nazwie „tequila”. Trunek smakował jak stary, porządny ocet siedmiu złodziei, ale tak mnie suszyło, że wypilem sporą jego ilość, zanim na dole pojawiła się Johanna. Miała uprzejmą minę, przyjacielską, ale powściągliwą; na jej ślicznej twarzy nie było żadnego śladu, który by świadczył o naszej niedawnej poufałości.

– Przyleciał niejaki señor Strapp – powiedziała z rodzajem zadumy – i chce natychmiast się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że się go spodziewasz...?

Oniemiałem na moment i już miałem zaprzeczyć, jakobym znał jakiegoś pana Strappa, ale moneta wpadła i mentalne drzwi do WC się otworzyły.

– A tak, oczywiście! – wykrzyknąłem. – Poczciwy Jock! Zupełnie zapomniałem. Ależ ze mnie głupiec! To mój służący czy ktoś w tym rodzaju. Powinienem być cię uprzedzić, że miał się tu ze mną spotkać. Nie sprawi żadnego kłopotu, wystarczy mu wiązka słomy do spania i kość do ogryzienia. Powinienem być ci powiedzieć wcześniej. Przepraszam.

W chwili gdy to mówiłem, w drzwiach pojawiła się potężna sylwetka, z gruba ciosana, niekształtna głowa latająca z boku na bok i mrugające od światła oczy.

Wydałem okrzyk zadowolenia, a Jock odwzajemnił mi się szczerbatym uśmiechem.

– Jock! – zawołałem. – Tak się cieszę, że przyleciałeś. – Johanna, nie wiadomo dlaczego, zachichotała. – Mam nadzieję, że jesteś... eee... w dobrej formie? –

Zrozumiał aluzję i zamrugał na potwierdzenie. – Idź, odśwież się i posil. Spotkamy się tu za pół godziny. Zaraz potem wyjeżdżamy.

Powlókł się za dziewczyną peonem, a Johanna natarła na mnie.

– Jak to „wyjeżdżamy”? Nie kochasz mnie? Co takiego zrobiłam? Nie pobierzemy się?

Miałem dzień opadającej szczęki – znowu mi opadła. Gdy gapiłem się na Johannę z otwartymi ustami, ona ciągnęła swoją zdumiewającą tyradę.

– Czy naprawdę myślisz, że oddaję się jak wywłoka każdemu napotkanemu mężczyźnie? Nie zrozumiałeś zeszłej nocy, że jesteś moją pierwszą i jedyną namiętnością, że należę do ciebie, że jestem twoją kobietą?

Przyszły mi na myśl słowa Huckleberry’ego Finna: „Oświadczenie zabrzmiało ciekawie, ale kategorycznie”, jednak to nie była pora na beztrioskie cytowanie – Johanna patrzyła na mnie tak, że mogłem się domyślać, iż usłyszawszy niewłaściwą odpowiedź, pogna na górę do buduaru po parę koltów. Otworzyłem usta i zacząłem szybko bełkotać, jakby ten bełkot miał mi uratować życie.

– Nigdy nie marzyłem... nie śmiałem żywić nadziei... jestem za stary... za gruby... wypalony... zdeprimowany... nie napiłem się jeszcze herbaty... a tu jest strasznie niebezpiecznie...

To ostatnie wyraźnie wzbudziło jej zainteresowanie, musiałem więc – po pewnej selekcji – wyjawić swoje powody do obaw, takie jak Martlandowie, buicki, Bluchery i Brauny, żeby wymienić tylko kilka.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Tak, w tych okolicznościach chyba lepiej się stanie, jeżeli wyjedziesz. Kiedy już będziesz bezpieczny, skontaktuj się ze mną, a wtedy przyjadę do ciebie i będziemy żyli razem długo i szczęśliwie. Zabierz rolls-royce’a... i wszystko, co w nim jest. To mój prezent zaręczynowy dla ciebie.

– Dobry Boże – odrzekłem drżącym ze zdumienia głosem – nie możesz mi tego dać, to jest warte fortunę, nie bądź śmieszna.

– Mam już fortunę – oznajmiła zwyczajnie. – Poza tym kocham cię. Proszę, nie obrażaj mnie, odmawiając. Postaraj się zrozumieć, że jestem twoja, więc siłą rzeczy wszystko, co mam, należy także do ciebie.

A niech mnie kule biją! – pomyślałem. Najwyraźniej ktoś robił sobie ze mnie żarty – i to z niewiadomej przyczyny, no bo jakżeby inaczej? Błysk w oczach Johanny nie wróżył niczego dobrego, naprawdę.

– Aha, cóż, skoro tak – odparłem – muszę mieć jeszcze tylko jedno, dla własnego bezpieczeństwa...

chodzi o negatyw pewnego zdjęcia i może kilka odbitek... hm...

– Dwóch dewiantów zabawiających się w buldożery? Wiem, o co chodzi. Z odbitki zostały wycięte twarze, ale mój mąż mówił, że jednym z tych gości jest paskudny pan Gloag, a drugim szwagier waszego...

– Tak, tak – wszedłem jej w słowo. – Właśnie. To miałem na myśli. Tobie nic po tym, sama rozumiesz. Twój mąż chciał wykorzystać zdjęcie wyłącznie po to, żeby przewieźć skradzione obrazy w bagażu dyplomatycznym, i nawet to okazało się zbyt niebezpieczne. Także dla niego. No tylko popatrz.

Popatrzyła, ale na mnie, i to z zaciekawieniem, a potem zaprowadziła mnie do jego gabinetu, który okazał się grołą nieprzebranych bogactw, koszmarną wizją Carskiego Sioła zrodzoną w wyobraźni bileterki kinowej. Wystarczy, jeśli wam powiem, że główną atrakcją tego pomieszczenia – główną bohaterką, by się tak wyrazić – była wielka, naga, rozkudłana ładacznica Hennera, która wisiała na tle boazerii w stylu Ludwika XIV, oświetlona dwiema najohydniejszymi lampami Tiffany’ego, jakie kiedykolwiek widziałem. Pani Spon od razu by się tam rozłożyła – na dywanie z Aubusson.

– *Merde* – powiedziałem z lękiem.

Johanna poważnie pokiwała głową.

– Piękny, nieprawdaż? Urządziłam ten pokój dla niego zaraz po ślubie, gdy jeszcze myślałam, że go kocham.

Potem powiodła mnie do prywatnego sracza Krampfa, gdzie nad pełną spokojnych wód otchłanią porcelanowego bidetu, który mógłby być zaprojektowany dla Katarzyny Wielkiej w jednym z jej bardziej swawolnych nastrojów, świecił jędrnymi cyckami i tyłeczkami piękny Bouguereau – jeśli lubicie Bouguereau. Obraz bynajmniej nie krył sejfu, który znajdował się – sprytnie – za rzeźbionym panelem. Johanna gmerała przy nim na rozmaite skomplikowane sposoby, zanim wreszcie się otworzył, ukazując półki uginające się pod plikami ordynarnych banknotów we wszelkiej walucie – nigdy nie widziałem tak wulgarnego widoku – książeczek oszczędnościowych z banków całego świata i małym stosem obciążniętych skórą uchwytów walizkowych. (Nie musiałem brać ich do ręki, żeby wiedzieć, że są zrobione z platyny, bo sam podsunąłem Krampfowi ten pomysł, genialny w istocie, jako że celnicy jeszcze na niego nie wpadli. Ale proszę bardzo, nie krępujcie się, ja już z niego nie skorzystam). Otworzyła szufladę ukrytą w bocznej ścianie sejfu i rzuciła mi paczkę z kopertami.

– Tu powinno być to, czego potrzebujesz – powiedziała obojętnie i oddaliła się, żeby przysiąść delikatnie na bidecie.

Zajrzałem do paczki z nabożnym skupieniem. Jedna koperta zawierała polisy ubezpieczeniowe, przechodzące najśmielsze wyobrażenia o ludzkiej chciwości, inna była pełna testamentów i kodycyli,

a w jeszcze innej znajdowała się tylko lista nazwisk z zaszyfrowanymi informacjami. (Znając Krampfa, pomyślałem, że sama ta lista mogłaby stanowić majątek, gdyby poświęcić jej trochę czasu, ale taki odważny to ja nie jestem). W kolejnej kopercie tkwiło mnóstwo mniejszych kopert, z których każda miała w prawym górnym rogu rzadki zagraniczny znaczek. Bogaci i chytry czytelnicy na pewno znają ten numer – po prostu zaklejasz rarytas zwykłym nowym znaczkiem i nadajesz list do samego siebie albo do swojego człowieka w stolicy innego państwa. To najłatwiejszy sposób puszczenia w świat znacznych pieniędzy bez konieczności płacenia dużej prowizji.

Ostatnia koperta zawiera to, czego chciałem – potrzebowałem – i to w komplecie. Była tam odbitka w dużym formacie, z wyciętymi twarzami, i negatyw trzydziestopięciomilimetrowej kliszy filmowej. Amatorskie stykówki przedstawiały głównie zadupia Cambridge, ale na środkowej klatce można było zobaczyć także coś od frontu: tamtego dnia buldożerem był Butelka, Kumpel zaś brał atak na siebie. Jego znajomy uśmiech, wprost do obiektywu, świadczył, że facet nie ma nic do ukrycia. Spaliłem to bez skrpułów, a popiół wrzuciłem do bezecnego bidetu. To wszystko warte było dużych pieniędzy, ale – jak już wspomniałem – nie jestem zbyt odważnym człowiekiem; nawet forsa może być zbyt kosztowna.

Nie martwiło mnie, że mogą istnieć jeszcze inne

odbitki. Krampf był może nierozważny, ale nie głupi, pomyślałem, a poza tym w dzisiejszych czasach nietrudno sfalszować odbitkę. Ludzie żądają negatywów – oryginalnych negatywów; negatywy wykonane z pozytywów łatwo zdemaskować.

Johanna odwróciła się i spojrzała na resztki popiołu w bidencie.

– Jesteś już zadowolony, Charlie? Naprawdę o to ci chodziło?

– Tak. Dziękuję ci. Chyba jestem już bezpieczniejszy. Może niewiele, ale zawsze. Dziękuję ci bardzo.

Wstała i podeszła do sejfu, wybrała dwa pliki banknotów i niedbale zamknęła panel.

– To pieniądze na podróż, weź je, proszę. Będiesz być może potrzebował *des fonds sérieux*, żeby się z tego wykaraskać.

Banknoty, wciąż z banderolami, tworzyły grube cegły, jedną z walutą angielską i drugą – z amerykańską. Razem stanowiły chyba dość nieprzyzwoitą sumę.

– Ależ nie mogę ich wziąć – pisałem. – To strasznie dużo forsy.

– Powtarzam ci: mam teraz strasznie dużo forsy... to, co znajduje się w sejfie, to tylko gotówka przeznaczona na drobne łapówki dla senatorów i na niespodziewane podróże. Bardzo cię proszę, weź to. Nie zaznam szczęścia, dopóki nie będę miała pewności, że dysponujesz odpowiednimi środkami, żeby uniknąć spotkania z tymi nieprzyjemnymi ludźmi.

Moje dalsze protesty zostały przerwane przez dochodzące z dołu okropne krzyki, do których dołączyły się niskie porykiwania. Zbiegliśmy po schodach i ujrzeliśmy w holu przerażającą, iście gladiatorską scenę: Jock trzymał za fraki dwóch peonów i zderzał ich ze sobą jak parę talerzy, podczas gdy inni, obojga płci, biegali wokół niego, szarpali go za włosy, czepiali się jego ramion i zrzucani turlali się po podłodze.

– *¡Bravo toro!* – zawołała przenikliwie Johanna i *mêlée* zamieniło się w *tableau*.

– Puść tych ludzi, Jock – nakazałem surowo. – Nie wiesz, gdzie byli.

– Chciałem się tylko dowiedzieć, co z panem zrobili, panie Charlie... powiedział pan: pół godziny, no nie?

Przeprosiłem wszystkich za zamieszanie; peoni nie bardzo rozumieli mój wytworny kastylijski, ale zorientowali się, że już wszystko w porządku. Nastąpiły ukłony, szuranie nogami, wyrazy szacunku i kurtuazyjnie mamrotane *de nada*. Każdy z wyraźnymi oznakami zadowolenia przyjął dolara. Jeden nabrał nawet tyle śmiałości, że grzecznie zasugerował, iż mając rozkwaszony nos, zasługuje na dodatkowe wynagrodzenie, ale Johanna nie pozwoliła mi szafować pieniędzmi.

– Jeśli dostanie jednego dolara, upije się na cacy – wyjaśniła – a jeśli dwa, zrobi jakieś głupstwo, może odejdzie i jeszcze się ożeni.



Wytłumaczyła to też chłopinie, który uważnie śledził jej tok rozumowania i na koniec z powagą przyznał rację. To logicznie myślące towarzystwo.

– To logicznie myślące towarzystwo, nie sądzisz, Jock? – spytałem później służącego.

– E tam – odparł. – Żadne tam towarzystwo, banda hołoty, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Ruszyliśmy w drogę, zanim słońce wspięło się na horyzont. Zjadłem lekkie śniadanie w postaci tequili – mocna jucha, ale z czasem smakuje coraz lepiej – i zdołałem jakoś uniknąć pożegnalnej demonstracji uczuć ze strony mojej kochanej Johanny. Chlipała i zawodziła bardzo przekonująco, mówiąc, że będzie żyła w oczekiwaniu na wiadomość, aby potem do mnie dołączyć i żyć ze mną długo i szczęśliwie.

– Dokąd jedziemy, panie Charlie? – spytał Jock.

– Zastanowię się w drodze. Na razie nie mamy wyboru. Ruszamy.

Jednakże podczas jazdy – prowadził Jock, bo przespał się w samolocie – myślałem o Johannie. Po kiego licha wygadywała te wszystkie dusery? Naprawdę myślała, że się na nie nabiorę? Miałbym uwierzyć, że uległa zwietrzałemu urokowi korpulentnego, dojrzałego już Mortdecaia? Narzucało mi się słowo „niedorzeczność”. A mimo to, mimo to... Karl Popper zwraca nam uwagę, abyśmy strzegli się modnej choroby naszych czasów: założenia, że nie można niczego brać takim, jakim się wydaje, że oczywisty sylogizm musi się opierać na

irracjonalnych motywach, że za ludzkimi słowami zawsze kryje się jakiś osobisty interes. (Freud zapewniał nas, że *Jan Chrzciciel* Leonarda to symbol homoseksualizmu, jego wzniesiony palec oznacza pragnienie penetracji fundamentu wszechświata; historycy sztuki wiedzą jednak, że to stary jak świat chwyt chrześcijańskiej ikonografii).

Wobec tego może to wszystko było takie, jakie się zdawało, razem z tą dodatkową forszą. I rzeczywiście, gdy tak pięliśmy się krętymi drogami na wyżyny, wyciągające silne członki ku młodemu słońcu, trudno było uwierzyć, że lęki i podejrzenia są być może uzasadnione.

Może Krampf naprawdę umarł na serce po ekscesach przy stole. Statystycznie takie zagrożenie było realne. Może Johanna naprawdę zakochała się we mnie z pasją. Moi mili przyjaciele twierdzą, że mam pewien wabik, choćby pomysłowość w tych sprawach. Może drugi kobaltowy buick z kierowcą to byli tylko moi zmiennicy, wynajęci przez Krampfa na wszelki wypadek. Nie miałem okazji go o to zapytać. Może w końcu naprawdę poślę po Johannę i będę żył jak panisko z nią i jej milionami, dopóki nie wysiądzie mi prostata.

Im dłużej zastanawiałem się nad prawdziwą naturą rzeczy, tym bardziej to wszystko wydawało mi się rozsądne i tym bardziej słońce wschodziło nad niegodziwcami tego świata. Rozparłem się wygodnie w pachnącym skórą rollsie – moim rollsie! – i cicho

zagwizdałem jedną czy dwie zwrotki wesołej piosenki.

Martland, rzecz jasna, na pewno by nie uwierzył, że zgon Krampfa nastąpił z przyczyn naturalnych; uznałby, że to ja zamordowałem go na zlecenie i że zrobiłem to bardzo sprytnie.

Tylko Johanna wiedziała, że spaliłem negatyw, i gdybym dał Martlandowi do zrozumienia, że zapomniałem to uczynić, nie odważyłby się spuścić ze smyczy swoich psów i poszczuć ich na mnie; byłby zmuszony dotrzymać słowa i chronić mnie przed wszelkimi przykrościami, takimi jak śmierć.

To mi się podobało, podobało mi się wszystko, bo miało sens, oddalało moje obawy, sprawiało, że czułem się znowu młody. Nagle nabrałem ochoty, żeby zawrócić i dać Johannie na pożegnanie dowód swojego przywiązania; oto jak młody się poczułem! Skowronek wzniósł się w powietrze i leciał śmiało, podczas gdy ślimak wręcz dosiadał swojej ulubionej igły sosny.

Jednakże jedna sprawa psuła wszystko: byłem obecnie dumnym, acz nieco onieśmielonym właścicielem wartego około pół miliona Goi – najgorętszego towaru na świecie. Wbrew temu, co czyta się w niedzielnych gazetach, w Ameryce nie kłębi się od szalonych milionerów pałających żądzą kupienia kradzionych dzieł sztuki i napawania się nimi w podziemnych ptaszarniach. Tak naprawdę nieboszczyk Krampf był jedynym, którego znałem, i nie miałem wielkiej ochoty poznawać innych jemu podobnych. Miał szeroki gest,

ale źle działał na system nerwowy.

Zniszczenie obrazu nie wchodziło w rachubę. Sumienie mam splamione różnymi okropnymi grzechami niczym wąsy palacza nikotyną, ale nie potrafię unicestwić dzieła sztuki. Ukraść, owszem, chętnie, to świadectwo szacunku i miłości, ale zniszczyć któreś – nigdy. Cóż, nawet Woosterowie mieli swoją dewizę, jak nam mówią największe autorytety.

Może więc najlepiej było zawieźć obraz z powrotem do Anglii – był przecież doskonale ukryty – i skontaktować się ze znajomym specjalistą, który wie, jak dyskretnie porozumieć się z firmami ubezpieczeniowymi.

No bo wiecie, te wszystkie nudne różowe Renoiry kradzione na południu Francji są albo odsprzedawane ubezpieczycielom za równe dwadzieścia procent kwoty ubezpieczenia – firmy nie zapłacą ani franka więcej, to kwestia etyki zawodowej – albo, podprowadzone na zlecenie właściciela, bywają natychmiast niszczone. Francuski *arriviste* to straszliwy snob, który nie odważy się wystawić na aukcję publiczną kupionego zaledwie trzy lata wcześniej Renoira, więc powie, że ma ochotę na zmianę – a już na pewno nie ośmieli się zaryzykować, że weźmie za malowidło mniej, niż jest rzekomo warte, w każdym razie zgodnie z tym, co rozpowiedział wcześniej znajomym. Będzie wolał raczej umrzeć, a praktycznie – zamordować obraz i zgarnąć *nouveaux francs*. W Anglii natomiast policja sznuruje usta i grozi

palcem firmom ubezpieczeniowym, które odkupują skradzione rzeczy od złodziei, uważa bowiem, że to nie zniechęca do przestępstwa – choć tak naprawdę cały ten proceder jest jawnym bezprawiem.

Niemniej jeśli pewien młody człowiek, nie całkiem nieznany u Lloyda, szepnie komuś odpowiedniemu do ucha, że zwitek banknotów wysłanych do Streatham pod ustalony adres może wpłynąć na postawę kilku złodziei, wzbudzić w nich panikę i skłonić do porzucenia łupu w przechowalni bagażu... cóż, firma ubezpieczeniowa to tylko człowiek, jak wiecie (czy nie wiecie?), a tysiąc funtów to o wiele mniej niż, powiedzmy, pięć tysięcy. Tak się złożyło, że pewien młody człowiek, nie całkiem nieznany u Lloyda, był także nie całkiem nieznany mnie i chociaż nie lubił szeptać komuś odpowiedniemu do ucha więcej niż raz czy dwa razy w roku, to miał, jak wiedziałem, złote serce i był mi winien drobną przysługę. Co więcej, okropnie bał się Jocka. Niech wam się nie wydaje, że popieram takie przekręty; policja to zawodowcy, a my, laicy, w najlepszym razie jesteśmy tylko zdolnymi amatorami. Jeśli już musisz zgrzeszyć, przynajmniej znajdź jakąś słabo spopularyzowaną sferę przestępczości, taką, na której eksperci Scotland Yardu jeszcze się nie znają, i eksploatuj ją rozsądnie, tak żeby źródółko nie wyschło, i stale zmieniaj modus operandi. Oczywiście w końcu i tak cię dopadną, ale jeżeli nie będziesz chciwy, wcześniej możesz dobrze sobie pożyczyć przez kilka lat.

Tak jak mówiłem przed swoim uczonym wywodem, byłem już całkowicie przekonany do tego hurraoptymistycznego spojrzenia na sprawę: wszystko dawało się wytłumaczyć, pajęcza sieć tworzyła logiczny wzór, kiedy ujrzało się ją w świetle słonecznym, a poza tym jeden Mortdecai był więcej wart niż cała gromada Martlandów, Blucherów, Krampfów i innych kretynów. („Jednym z najbardziej niezwykłych zjawisk związanych z ciągłym oszukiwaniem innych jest wielka liczba kłamstw, które mówimy sobie samym, a przecież ze wszystkich ludzi samego siebie najtrudniej oszukać” – J.S. Le Fanu [20](#)).

Żeby uzupełnić małe śniadanko i uczcić zwycięstwo cnoty nad rutyną, otworzyłem butelkę dwunastoletniej szkockiej i już podnosiłem ją do ust, gdy ujrzałem kobaltowego buicka. Wyjechał z *arroyo* przed nami, z silnikiem wyjąłym na niskim biegu, i zbliżał się lewą stroną w naszym kierunku. Znajdowaliśmy się tuż nad głęboką przepaścią liczącą z kilkaset stóp. Przed oczami stanęło mi całe moje życie. Jock tymczasem – mówiłem wam, jaki potrafi być szybki w razie konieczności – skręcił koła samochodu w lewo, wcisnął pedał hamulca i wrzucił pierwszy bieg, a wtedy silnik zgasł i rolls obrócił się w prawo. W tej samej chwili uderzył w nas buick. Jego kierowca nie miał pojęcia, jak mocny potrafi być stary rolls-royce, nie mówiąc już o waleczności Jocka. Nasza chłodnica z przerażającym szczękiem metalu rozpruła bok buicka, który okręcił się

i wylądował na poboczu drogi, z tylnymi kołami nad przepaścią. Kierowca o twarzy zniekształconej nie wiadomo jakimi emocjami, bo była pokryta krwawą masą, szarpnął gwałtownie klamkę u drzwi. Jock wysiadł z rollsa, powoli zbliżył się i spojrzał na faceta, potem zerknął na drogę w jedną i drugą stronę, obszedł buicka, oparł na masce obie ręce i pchnął. Wóz przechylił się do tyłu i zaczął zsuwać powoli w dół, tak że Jock zdążył jeszcze podbiec do okna i posłać kierowcy szeroki uśmiech, gdy przód samochodu się uniósł i zniknął z pola widzenia. Kierowca, zanim spadł, odsłonił jeszcze w niemym okrzyku białe zęby. Buick wyjątkowo głośno trzy razy odbił się od ziemi, nie usłyszeliśmy natomiast nawet słabego krzyku kierowcy – te buicki muszą być bardziej dźwiękoszczelne, niż można by pomyśleć. Sądzę, chociaż nawet teraz nie mam pewności, że był to sympatyczny pan Braun, który ostatecznie dowiódł, że statystycznie śmierć w katastrofie samolotowej jest mało prawdopodobna.

Stwierdziłem ze zdziwieniem – i zrozumiałą dumą – że podczas całego tego zdarzenia nie wypuściłem z dłoni butelki whisky. Pociągnąłem z niej łyk, gdyż okoliczności były naprawdę wyjątkowe, i podałem ją Jockowi.

– To było trochę mściwe z twojej strony – powiedziałem z przyganą.

– Poniosło mnie – przyznał. – Niektórzy kierowcy to straszne chamy.

– Mógł nam wyciąć numer – zgodziłem się z nim.

Potem opowiedziałem mu o wszystkim, zwłaszcza o kobaltowych buickach i o tym, w jakim straszliwym – czy nie ma bardziej wytartego słowa? – byłem... byliśmy... niebezpieczeństwie mimo swoich niedawnych, krótkich i upajających starań o względy fantazmatów sukcesu, bezpieczeństwa i dozgonnego szczęścia. (Trudno było uwierzyć, że chwilę wcześniej flirtowałem sobie z tak wulgarną, wymalowaną kochanką jak bezpieczeństwo). Moja elokwencja sięgnęła takich wyżyn autoironii, że zaskoczyłem samego siebie, mówiąc Jockowi, aby mnie zostawił i uciekał, zanim i na niego spadnie topór.

– Pieprzenie – brzmiała jego odpowiedź, jak donoszę z radością. (Ale „donoszę z radością” także nie oddaje prawdy, bo jego lojalność wobec mnie okazała się krótka, a jemu wyszła bokiem; można by powiedzieć, że „pieprzenie” oznaczało dla niego śmierć).

Kiedy wreszcie whisky nieco ukoїła nasze nerwy, zakorkowaliśmy butelkę i wysiedliśmy z samochodu, żeby obejrzeć rany. Kierowca anglii, rzecz jasna, zrobiłby to od razu, pomstując na los, ale my, właściciele rollsów, jesteśmy z innej, mocniejszej gliny. Chłodnica była porysowana i trochę z niej ciekło na rozpaloną drogę, reflektor i światło boczne zostały całkowicie zniszczone, błotnik zaś był mocno pogięty, ale nie dotykał opony. Rozbój na prostej drodze... no, może nie do końca. Wsiadłem z powrotem do



samochoду i zacząłem myśleć, podczas gdy Jock bolał nad stratami. Może chlapanłem sobie whisky, ale kto by mógł mnie za to winić?

Droga była pusta, nikt nią nie jechał ani w jednym, ani w drugim kierunku. Świerszcz cykał bez ustanku, najpierw mi to przeszkadzało, ale potem się przyzwyczailem. Zastanowiwszy się, przemyślałem wszystko jeszcze raz, od samego początku do końca. Ciągle dochodziłem do identycznego wniosku. Nie podobało mi się to, proszę was... czy nie proszę.

Zepchnęliśmy rollsa w przepaść. Nie wstydzę się przyznać, że się pobeczałem, widząc, jak całe to piękno, ta moc, ten urok i historia lecą w głąb wyschniętego kanionu niczym niedopałek cygara wrzucony do muszli klozetowej. Nawet ginąc, samochód prezentował się bardzo elegancko; przedstawiał sobą majestatyczny widok, gdy niemal niedbale odbijał się od głazów, by spocząć daleko pod nami, spodem do góry, w gardzieli przepastnej szczeliny skalnej, na kilka sekund bezwstydnie ukazując światłu słonecznemu swoje śliczne podwozie, dopóki liczące ze sto ton rumowisko, poruszone jego upadkiem, nie zasypało go z łomotem.

W porównaniu z tym koniec kierowcy buicka to było nic; śmierć prawdziwego człowieka nie robi na zapalonym telewizorze wielkiego wrażenia, a kto z was, zaprawieni w bojach czytelnicy, widział kiedykolwiek konającego podwoziem do góry silver ghosta? Byłem niezwykle wzruszony. Jock mimo swojej szorstkości

jakby to wyczuł, bo zbliżył się do mnie i wypowiedział słowa pociechy.

– Był w pełni ubezpieczony, panie Charlie – rzekł.

– Wiem, Jock – odparłem ze smutkiem – czytasz w moich myślach, jak zwykle. Ważniejsze jednak, jak go teraz uratować.

Spojrzał posępnie w migoczącą mgiełkę, która kryła zasłaną głazami otchłań.

– Jak dostać się tam na dół? – podjąłem. – Z tej strony istnieje niebezpieczeństwo lawinowe, a z drugiej znajduje się klif. Bardzo ryzykowne.

– No.

– Później trzeba by było wydobyć go ze szczeliny?

– Ano.

– Śmiertelnie ryzykowne.

– Ano tak.

– A jeszcze później należałoby wciągnąć go tu na górę, prawda?

– Chyba będą musieli zablokować drogę na czas akcji ratunkowej.

– Też tak myślę.

– Gdyby chodziło o jakiegoś cymbała, który utknął tam na dole, albo pieska starego pierdziela, wydobyliby go w okamgnieniu, ale to przecież tylko stary słoik dżemu, mam rację? Komuś musiałoby bardzo zależeć na jego wyciągnięciu... albo tego, co w nim jest... żeby tam zleźć. – Dźgnął mnie łokciem i znacząco puścił oko. Nigdy nie był za dobry w puszczeniu oka, zawsze wtedy

okropnie wykrzywiała mu się twarz.

Odpowiedziałem dźgnięciem. Uśmiechnęliśmy się z wyższością.

Potem ruszyliśmy w drogę, Jock niósł jedną walizkę, zawierającą nasze najniezbędniejsze rzeczy, którą z zadziwiającą przytomnością umysłu rzekomo miał uratować, gdy rolls balansował na brzegu przepaści.

Dokąd zmierzasz, Mortdecaiu? – to dobrze oddaje moje myśli na tamtej zakurzonej, rozprażonej drodze. Trudno myśleć konstruktywnie, gdy do nogawki spodni dostanie się wam drobny biały piasek Nowego Meksyku, który wędruje w górę i łączy się z potem w waszym kroczu. Wiedziałem jedynie, że gwiazdy na swoim kursie są nastawione zdecydowanie antymortdecaiowsko i że odłożywszy na bok szlachetne sentymenty, pozbyłem się pewnie najbardziej rzucającego się w oczy samochodu na subkontynencie północnoamerykańskim.

Inna sprawa, że w Nowym Meksyku piesi bardziej rzucają się w oczy niż auta. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy przemknął obok nas samochód jadący w kierunku, z którego przybyliśmy. Wszyscy jego pasażerowie gapili się nas, jakbyśmy byli przybyszami z kosmosu. Był to jakiś służbowy wóz, czarno-biały oldsmobile super 88, i bynajmniej się nie zatrzymał – po co miałby się zatrzymywać? Chodzenie na piechotę jest w Stanach Zjednoczonych nie tylko niemoralne, ale także bezprawne. Chyba że jest się trampem, oczywiście. To nie tak jak w Anglii, gdzie możesz swobodnie chodzić

na dworze i biwakować na świeżym powietrzu, jeśli tylko masz dom; to przestępstwo tylko wtedy, kiedy nie masz domu – na takiej samej zasadzie, na jakiej nie możesz pożyczyć pieniędzy z banku, jeśli ich nie masz.

Po wielu, jak się zdawało, godzinach znaleźliśmy wreszcie odrobinę cienia udostępnionego przez jakieś bezimienne rachityczne drzewa, więc bez słowa legliśmy w tym niezbyt szczodrym entourage'u.

– Jeśli pojawi się samochód, który będzie jechał w naszym kierunku, Jock, zerwiemy się na nogi i zatrzymamy go.

– Dobrze, panie Charlie.

Po czym obaj natychmiast zasnęliśmy kamiennym snem.

## 15

Jan ze Świątyni, mąż tak głośnej sławy,  
Dziś na paryskim placu żywcem płonie!  
Jak miotać klątwy, gdy go knebel dławi?  
Jak grozić pięścią, gdy związane dłonie?  
Jak rzucać szyją, gdy na niej obroża?  
Jak wierzgać stopą, gdy nogi w kajdanach?  
Jak ciało unieść ponad stosu pożar?  
– Myślę, że wezwać czas Chrystusa Pana.

*Tragedia heretyka, przeł. Grzegorz Uzdański*

Kilka godzin później zostaliśmy brutalnie obudzeni, kiedy tuż obok z piskiem opon zatrzymał się samochód jadący w tym samym kierunku co my. To właśnie on minął nas wcześniej. Wsiadło z niego czterech potężnych typów i zaczęło wymachiwać pistoletami, kajdankami oraz innymi symbolami prawa i porządku. W jednej chwili, zanim jeszcze dobrze oprzytomnieliśmy, siedzieliśmy skuci w aucie pomiędzy zastępcami szeryfa. Jock, gdy tylko zorientował się w sytuacji, zaczął wydawać niskie, mrukliwe odgłosy i prężyć mięśnie. Siedzący obok niego zastępca wprawnym bekhendem przyłożył mu pałką, taką

obciągniętą skórą, w górną wargę i nozdrza. To niezwykle bolesne. Jockowi napłynęły do oczu łzy i natychmiast zamilkł.

– Ależ proszę pana! – wykrzyknąłem z gniewem.

– Morda w kubel.

Więc i ja zamilkłem.

Ponowne uderzenie Jock otrzymał, gdy zajechaliśmy przed biuro szeryfa przy pojedynczej, szerokiej, zakurzonej ulicy w pustym miasteczku. Stracił wtedy ręce nadgorliwego zastępcy i znowu zawarczał, więc jeden z gliniarzy pochylił się od niechcienia i walnął go mocno w tył nogi na wysokości kolana. To także dość bolesne, musieliśmy więc odczekać chwilę, zanim Jock był w stanie pokuśtykać do biura, bo tak potężnego mężczyzny nie dało się tam zanieść. Mnie nie uderzyli, byłem zbyt niepozorny.

W tym konkretnym biurze szeryfa robią tak: wieszają cię na drzwiach za kajdanki, a potem biją dość lekko, ale wytrwale, po nerkach. Skoro już wszystko chcesz wiedzieć, to po jakimś czasie zacznasz krzyczeć. Każdy zacząłby krzyczeć. Nie zadają ci żadnych pytań i nie zostawiają na twoim ciele żadnych śladów, z wyjątkiem miejsc, w które wrzynają się kajdanki, bo przecież sam to sobie zrobiłeś, gdy się szarpałeś, no nie?

„Więc zamknąłem oczy, by odczuć własne serce. Jak człowiek, co żąda szklanki wina przed walką...” [21](#)

Po jakimś czasie do pokoju przyszedł sam szeryf. Był to drobny, skrzętny mężczyzna o inteligentnym

spojrzeniu, z grymasem niezadowolenia na twarzy. Zastępcy przestali walić nas po nerkach i schowali pałki za siebie.

– Dlaczego tym ludziom nie postawiono zarzutów? – zapytał zimno. – Ile razy mam wam powtarzać, że nie wolno przesłuchiwać podejrzanych, dopóki nie zostaną spisani jak należy?

– Nie przesłuchiwaliliśmy ich, szeryfie – odparł jeden niesubordynowanym tonem. – Gdybyśmy to robili, wisieliby odwrotnie, a my walilibyśmy ich po jajach, dobrze pan o tym wie, szeryfie. Chcieliśmy tylko delikwentów trochę zmiękczyć, zanim pan weźmie ich na przesłuchanie.

Szeryf w zamyśleniu pogładził się po twarzy, wydając łagodny, ledwie słyszalny dźwięk, jak starsza pani głaskająca swoją milusińską ropuchę.

– Przeprowadźcie ich do mnie – polecił i odwrócił się na pięcie.

„Przeprowadzić” to było właściwe słowo, bo o własnych siłach nie doszlibyśmy do jego gabinetu. Pozwolił nam usiąść na krzesłach, ale tylko dlatego, że nie mogliśmy ustać. Wtedy nagle poczułem gniew, rzadkość u mnie, bo od traumatycznego dzieciństwa uczyłem się tłumić go w sobie.

Kiedy szlochając i dławiąc się, byłem już w stanie mówić, przedstawiłem szeryfowi całą sprawę; nie pominąłem zwłaszcza wątku paszportu dyplomatycznego. I zadziało, bo facet sam zaczął

wyglądać na zagniewanego i może trochę przestraszonego. Zdjęto nam kajdanki i zwrócono nasze rzeczy, ze szczególnym uwzględnieniem mojego PPB. Luger Jocka znajdował się w walizce, której – jak zauważyłem z ulgą – nie otwierano. Jock przezornie połąkł klucz, a zastępcy, podnieceni demontażem naszej osobistej kanalizacji, nie mieli czasu, żeby wyłamać zamek. Był to zresztą bardzo dobry zamek i bardzo mocna walizka.

– A teraz może będzie pan tak miły i wytłumaczy się z tego niezwykłego przyjęcia, proszę pana – powiedziałem, rzucając mu swoje najbardziej złośliwe spojrzenie. – I może zasugeruje powód, dla którego nie powinienem zażądać od ambasadora, żeby policzył się z panem i pańskimi zbirami.

Popatrzył na mnie przeciągle i z zadumą. Oczy mu błyszczały, gdy mózg pracował na najwyższych obrotach. Oznaczałem dla niego poważne problemy, tak czy siak; w najlepszym razie mnóstwo papierkowej roboty, w najgorszym – mnóstwo zmartwień. Wiedziałem, że podjął decyzję, i wewnątrz zadrżałem. Zanim jednak zdążył się odezwać, ponownie przystąpiłem do ataku.

– Jeśli woli pan nie odpowiadać, mogę po prostu zadzwonić do ambasady i przedstawić gołe fakty, tak jak się prezentują.

– Niech pan nie przeciąga struny, panie Mortdecai. Zamierzam postawić panów w stan oskarżenia pod



zarzutem morderstwa, a w tej lidze pański status dyplomatyczny jest głównie wart.

Zabełkotałem jak Brytyjczyk, żeby pokryć konsternację. Z całą pewnością nikt nie widział, jak Jock daje upust chwilowej złości wobec buicka – zresztą z daleka musiało to wyglądać, jakby próbował ratować biednego gościa...

– Kogo niby miałbym... mielibyśmy... zamordować?

– Miltona Quintusa Desiré Krampfa.

– Desiré?

– Tak słyszałem.

– A niech mnie diabli porwą! Jest pan pewny, że nie Voulu?

– Nie – odparł domyślnie, z półuśmiechem. – Mam tu napisane „Desiré”. – Można było odnieść wrażenie, że gdyby był Anglikiem, poparłby moje wezwanie skierowane do diabłów, ale jednocześnie wydawał się całkiem zadowolony, że nie jest Anglikiem, a już na pewno nie takim korpulentnym jak ten, który akurat mężnie się przed nim kulił.

– No dalej – rzuciłem. – Niech mnie pan zastraszy.

– Nie mam takiego zamiaru. Czasami robię ludziom krzywdę, to element mojej pracy. Czasami także zabijam, to też element pracy. Czy muszę kogoś zastraszać? Nie jestem **z takich** gliniarzy.

– Założę się, że zastrasza pan swojego psychiatrę – zażartowałem i od razu gorzko tego pożałowałem.

Nie rzucił mi zimnego, pustego spojrzenia, wcale na

mnie nie spojrział. Spojrział natomiast na porysowany i obsrany przez muchy blat biurka, otworzył szufladę i wyjął jedno z tych cienkich, krótkich, czarnych, sękatych cygar, a następnie je zapalił. Nawet nie dmuchnął mi obrzydliwym dymem w twarz – nie był z takich gliniarzy.

Jakimś cudem jednak udało mu się mnie zastraszyć. Poczułem straszny ból nerek.

– Czuję straszny ból nerek – powiedziałem – i muszę pójść do toalety.

Oszczędnym gestem wskazał w stronę drzwi i jakoś się do nich dowlokłem, nie krzycząc głośno. Toaleta, jak się okazało, była bardzo przyjemna. Oparłem czoło o chłodne kafelki i wysiusiałem się ostrożnie. W siuśkach nie było krwi, co mnie nieco zdziwiło. Na poziomie wzroku ktoś zdążył wyryć w ścianie SKURWYS, zanim mu przeszkodzono. Próbowałem domyślić się reszty, pewnie YN, ale natychmiast przywołałem się do porządku, przypominając sobie o Jocku. Przed wyjściem obciągnąłem ubranie.

– Twoja kolej, Jock – powiedziałem stanowczo po powrocie do pokoju. – Powinienem był wcześniej o tobie pomyśleć.

Jock wyszedł, powłócząc nogami. Szeryf nie sprawiał wrażenia zniecierpliwionego, nie sprawiał żadnego wrażenia – a szkoda. Chrząknąłem.

– Szeryfie – odezwałem się – widziałem wczoraj zwłoki pana Krampfa... wielkie nieba, to było zaledwie

wczoraj... i wszystko wskazywało na to, że zmarł na serce w najbardziej naturalny sposób. Skąd przypuszczenie, że to było zabójstwo?

– Może pan mówić normalnie, panie Mortdecai. Może nie jestem wykształcony, ale dużo czytam. Pan Krampf zmarł na skutek głębokiej punktowej rany w sercu. Ktoś... pewnie pan... wbił mu w bok, między piątym a szóstym zębem, bardzo cienkie narzędzie i starannie wytarł nieznaczne krwawienie powierzchniowe, które potem nastąpiło. Nie jest to rzadki modus operandi na Zachodnim Wybrzeżu. Członkowie chińskich tongów używają w tym celu gwoździ długości sześciu cali, Japończycy stosują zaostrzony pręt parasola. Podobną funkcję spełnia sztylet sycylijski, tyle że Sycylijczycy zwykle wbijają go przez przeponę. Gdyby pan Krampf był młody i w dobrej formie, być może by przeżył... mięśnie zacisnęłyby się wokół tak małej rany... ale nie miał zdrowego serca. Gdyby był biednym człowiekiem, jego śmierć ze względu na historię choroby być może uszłaby uwagi, ale on w ogóle nie był człowiekiem, był chodzącą setką milionów dolarów. W tym kraju, panie Mortdecai, oznacza to dużą presję ze strony firm ubezpieczeniowych, a przy ich detektywach policyjne oddziały prewencji z Chicago to jak drużyna skautek. Nawet najbardziej pijany lekarz bardzo uważnie zbada setkę milionów dolarów.

Zastanowiłem się przez chwilę. Coś mi zaświtało.

– Starsza dama! – wykrzyknąłem. – Hrabina! –

Szpilka od kapelusza! Jeśli ktoś nienawidził Krampfa i miał taką szpilkę, to właśnie ona!

Powoli pokręcił głową.

– To nic nie da, panie Mortdecai. Jestem zdziwiony, że próbuje pan zrobić najsłodszą i najbardziej niewinną starszą panią na świecie. Poza tym już to sprawdziliśmy. W kościele nakrywa głowę szalem, nie ma kapelusza ani szpilki. Są na to świadkowie. Tak czy owak jeden ze służących zeznał pod przysięgą, że widziano pana wchodzącego do prywatnego apartamentu pana Krampfa mniej więcej w porze jego śmierci i że pański służący Strapp podczas waszej wizyty na ranczu zachowywał się jak niebezpieczny dla otoczenia maniak, rozbijając nos temuż służącemu i bijąc wszystkich, którzy się nawinęli. Co więcej, podobno jest pan kochankiem pani Krampf... mamy bardzo interesujące zeznanie pokojówki, która ścieli jej łóżko... więc istnieje podwójny motyw, seks i pieniądze, a do tego nadarzyła się okazja. Radzę więc, żeby przyznał się pan do winy... poczynając od tego, gdzie ukrył pan narzędzie zbrodni... żebym nie musiał pana brać na przesłuchanie.

Powtórzył słowo „przesłuchanie”, jakby lubił jego brzmienie. Mało powiedzieć, że zmroziło mi to w żyłach krew, która i tak była już lodowata jak pocałunek dziwki. Gdybym rzeczywiście był winny, wołałbym od razu wypruć sobie flaki – jeśli mogę użyć kolokwializmu – niż ponownie stanąć, zwłaszcza frontalnie, przed zastępcami tego człowieka. „Gdy się

zima zbliża, czy nie podąży za nią wiosna chyba?!...” [22](#)  
A jednak jakiś cichy głos szeptał mi do ucha: „Graj na zwłokę”.

– Czy chce pan powiedzieć, że aresztowaliście Johannę Krampf?! – wykrzyknąłem.

– Panie Mortdecai, niech pan nie udaje naiwnego. Pani Krampf sama jest teraz chodzącymi dziesiątkami milionów dolarów. Biedny szeryf nie aresztuje milionów dolarów, one są bez skazy. Mam wezwać kogoś do stenografowania, żeby mógł pan złożyć zeznanie?

Co miałem do stracenia? W obecności słodkiej, piersiastej stenografki przynajmniej nie mogli mnie skrzywdzić w sposób zbyt obsceniczny.

Szeryf wcisnął więc brzęczyk i do pokoju wparował paskudniejszy z jego zastępców, dzierżąc w jednej mięsistej łapie ołówek, a w drugiej bloczek do notowania.

Być może pisałem – nie pamiętam i jest to bez znaczenia. Nie ulegało wątpliwości, że znalazłem się w nie lada opałach.

– Źle się pan czuje, panie Mortdecai? – spytał szeryf uprzejmie.

– Ależ skąd! – odpowiedziałem. – To tylko proktalgia.  
– Nie chciał wiedzieć, co to znaczy. Może i dobrze.

– Zeznanie C. Mortdecaia – rzucił sucho do stenografującego zbira – złożone, miejsca, data, w obecności, moje nazwisko, przy świadkach, nazwiska

świadców. – Potem wymierzył we mnie palec, jak jeden z tych rzeczowych facetów z telewizji.

Nie wahałem się; przyszła pora wybić klin klinem.

– Nie zabiłem Krampfa – oznajmiłem – i nie mam pojęcia, kto to zrobił. Jestem brytyjskim dyplomatą i zdecydowanie protestuję przeciwko takiemu haniebnemu traktowaniu. Domagam się, żeby natychmiast mnie pan wypuścił albo pozwolił mi zadzwonić do najbliższego konsulatu, bo inaczej bezpowrotnie zrujnuje pan sobie karierę. Umie pan napisać słowo „bezpowrotnie”? – rzuciłem przez ramię do stenografującego zbira.

Ale on bynajmniej nie notował tego, co mówię, tylko zbliżał się do mnie z pałką we włoschatej łapie. Zanim jednak zdążyłem się skulić, drzwi się otworzyły i stanęli w nich dwaj niemal identyczni mężczyźni.

Ten kafkowski finał był już ponad moje siły. Zacząłem chichotać histerycznie. Ale nikt na mnie nie patrzył. Zastępca wymykał się chyłkiem, szeryf oglądał dokumenty przybyłych, a ci patrzyli na niego, jakby był przezroczysty. Potem szeryf też wymknął się chyłkiem. Próbowałem się opanować.

– Co ma znaczyć to wtargnięcie? – zapytałem, wciąż jednak chichocząc jak zwariowana dzierlatka.

Mężczyźni zachowywali się bardzo uprzejmie. Udając, że nie słyszą, co mówię, usiedli za biurkiem szeryfa. Byli do siebie niewiarygodnie podobni, mieli takie same doskonale skrojone garnitury, takie same

uczesania i takie same lekkie wybrzuszenia pod pachami. Wyglądali jak młodsi bracia pułkownika Bluchera. To ich spokojne zachowanie było dość przerażające. Pozbierałem się wreszcie i przestałem chichotać. Widziałem, że ci dwaj nie przypadli Jockowi do gustu, bo zaczął oddychać przez nos, a to pewny znak.

Jeden z mężczyzn wyjął mały magnetofon, sprawdził, czy działa, wyłączył go i usiadł z powrotem, składając przed sobą ręce. Drugi wyjął cieką beżową kopertę, przeczytał jej zawartość z lekkim zainteresowaniem i odchylił się na oparcie krzesła, składając przed sobą ręce. Obaj spojrzeli na mnie, jakby widywali mnie codziennie i nie czuli się z tego powodu bogatsi duchowo. Wreszcie jeden z nich, sterowany jakimś niewidzialnym sygnałem, odezwał się.

– Panie Mortdecai, jesteśmy pracownikami małej agencji rządowej, o której nigdy pan nie słyszał. Podlegamy bezpośrednio wiceprezydentowi. Możemy panu pomóc. Doszliśmy do wniosku, że pilnie potrzebuje pan pomocy, i wolno nam tylko zdradzić, że wniosek ten wysnuliśmy po długotrwałej obserwacji pańskich poczynań, które wydają się bardzo głupie.

– Och, aha – odparłem słabo.

– Chcę powiedzieć jasno, że nie interesuje nas egzekwowanie prawa jako takie. W gruncie rzeczy takie zainteresowanie często koliduje z naszymi specyficznymi obowiązkami.

– Uhm – rzuciłem. – Znacie niejakiego pułkownika

Bluchera? A skoro o tym mowa, to może jeszcze innego faceta, nazwiskiem Martland?

– Panie Mortdecai, na tym etapie najlepiej panu pomożemy, zachęcając pana raczej do odpowiedzi na nasze pytania niż do stawiania własnych. Kilka właściwych odpowiedzi i będzie pan mógł stąd wyjść w ciągu dziesięciu minut. Niewłaściwe odpowiedzi... albo za dużo pytań... i stracimy zainteresowanie pańską osobą, a wówczas znowu znajdzie się pan w rękach szeryfa. Ja osobiście, mówiąc w zaufaniu, wolałabym nie zostać zatrzymany w tym kraju za morderstwo, a ty Smith?

Smith, zaciskając usta, wymownie pokręcił głową.

– Pytajcie – powiedziałem drżącym głosem. – Nie mam nic do ukrycia.

– Cóż, nie jest pan z nami do końca szczery, ale tym razem darujemy to panu. Najpierw proszę nam powiedzieć, co pan zrobił z negatywem i odbitkami pewnego zdjęcia, wcześniej będącego w posiadaniu Milтона Krampfa.

(Czy wiecie, że w dawnych czasach, gdy marynarz zmarł podczas rejsu i żaglomistrz przed wrzuceniem do morza zaszywał go w brezentowy worek razem z obciążeniem, to ostatni szew zawsze przechodził przez nos trupa? Dzięki temu mógł on jeszcze ożyć i krzyknąć. W tamtym momencie poczułem się właśnie jak taki marynarz. Ożyłem i krzyknąłem. Ten ostatni szew w końcu wyrwał mnie z kataleptycznego transu,



w którym musiałem tkwić od wielu dni. Za dużo osób, o wiele za dużo, wiedziało za dużo, o wiele za dużo, o moich prywatnych sprawach. Gra była skończona, wszystko wyszło na jaw, w niebie nie było Boga, ślimak nie tkwił wśród igieł, a C. Mortdecai znajdował się *dans la purée noire*. Rzeczywiście, byłem głupi).

– Jaki negatyw? – zapytałem wesoło.

Popatrzyli na siebie ze znużeniem i zaczęli zbierać swoje rzeczy. Wciąż byłem głupi.

– Poczekajcie! – wrzasnąłem. – Zapomniałem. Negatyw. Tak, oczywiście. Negatyw fotograficzny. Owszem. O tak, tak, tak, tak. Właściwie to go spaliłem, zbyt niebezpiecznie było mieć go przy sobie.

– Cieszymy się, że pan to mówi, bo mamy powody przypuszczać, że jest to zgodne z prawdą. Znaleźliśmy nawet ślady popiołu w... eee... takiej dziwnej misce do mycia nóg w prywatnej łazience pana Krampfa.

Sami chyba przyznacie, że nie była to odpowiednia pora, żeby rozwodzić się nad niuansami francuskich urzędzeń toaletowych.

– No właśnie – odparłem.

– Ile było tych odbitek, panie Mortdecai?

– Spaliłem dwie razem z negatywem. Słyszałem o jeszcze jednym, w Londynie, takim z wyciętymi twarzami... ale wy też pewnie o nim wiecie.

– Dziękujemy panu. Obawialiśmy się, że będzie pan udawał, iż nie wie o innych negatywach, i próbował je wykorzystać jako zabezpieczenie. Nic by to panu nie

dało, tylko wprowadziłby pan nas w zakłopotanie.

– Och, to dobrze.

– Panie Mortdecai, nie zadał pan sobie pytania, jak to się stało, że znaleźliśmy się tu tak szybko po zabójstwie?

– Posłuchajcie, powiedziałem, że odpowiem na wasze pytania, i to zrobię. Jeśli mam flaki, to gotów jestem je sobie teraz wypruć, bo lecę na autopilocie. Ale jeśli chcecie, żebym sam sobie zadawał pytania, musicie mi załatwić coś do jedzenia i do picia. Zjem cokolwiek, a jeżeli chodzi o picie, to jest w tamtym pokoju, jeśli King Kong i Godzilla jeszcze wszystkiego nie wytrąbili. Och, i mój służący też by coś przekąsił.

Jeden z nich wystawił głowę za drzwi i coś wymamrotał. Niebawem pojawiła się moja whisky, nawet nie tak bardzo uszczuplona, więc przyssałem się do niej chciwie, a potem podałem ją Jockowi. Chłopcy w garniturach Brooks Bros nie chcieli sobie chlapanąć – pewnie jechali na zimnej wodzie i gwoździach.

– Nie – podjąłem później – nie zadałem sobie tego pytania. Gdybym naprawdę zaczął pytać samego siebie o kwestie związane z wydarzeniami ostatnich trzydziestu sześciu godzin, musiałbym dojść do wniosku, że mam do czynienia ze światowym spiskiem antimortdecaiowskim. No, ale mówcie, jeśli to ma poprawić mi humor.

– Nie mamy wiele do powiedzenia, panie Mortdecai. Chcieliśmy tylko się zorientować, co pan wie. Na razie podobają nam się pańskie wyjaśnienia. A teraz proszę

nam opowiedzieć, jak stracił pan rolls-royce'a. – W tym momencie włączyli magnetofon.

Wyznałem im prawdę, ale nieco zmodyfikowałem kolejne zdarzenia, rozwodząc się nad tym, jak Jock wspianałomyślnie próbował uratować balansującego nad przepaścią buicka, a potem chciał wycofać rollsa na drogę, ale koła się zabuksowały, skarpa osunęła i samochód dołączył do kolegi.

– A pańska walizka, panie Mortdecai?

– Och, to zasługa niezwyklej przytomności umysłu mojego służącego... złapał ją w ostatniej chwili.

Wyłączyli magnetofon.

– Niekoniecznie wierzymy w całą tę historię, panie Mortdecai, ale tak się składa, że właśnie coś takiego chcieliśmy usłyszeć. Czy w pańskim posiadaniu nie znajduje się coś jeszcze, co zamierzał pan dostarczyć panu Krampfowi?

– Nie. Słowo honoru. Proszę nas przeszukać.

Znowu wbili wzrok w sufit, jakby mieli czas do końca świata.

Później rozległo się pukanie do drzwi i jeden z zastępców przyniósł papierową torbę z jedzeniem. O mało nie zemdlałem, kiedy poczułem boską woń kawy i hamburgerów. Jock i ja wtrząchnęliśmy po dwa, podczas gdy przesłuchujący nas faceci nawet nie spojrzeli na swoje. Jednocześnie odsunęli je wierzchem palców, jakby mieli to przećwiczone. Była tam też torebeczka z chilli do przyprawienia hamburgerów. Nie

żałowałem sobie, chociaż psuje smak whisky.

Z reszty przesłuchania pamiętam niewiele oprócz tego, że ciągnęło się długo i część pytań miała zaskakująco ogólny, niekonkretny charakter. Magnetofon czasami był włączony, a czasami nie. Pewnie inny, w jednej z teczek, nagrywał wszystko przez cały czas. Odniosłem wrażenie, że agenci są coraz bardziej znudzeni całą tą sprawą, ale sam byłem już tak zmęczony i senny po posiłku i alkoholu, że z trudem mogłem się skupić. Przeważnie mówiłem prawdę – to taktyka, którą zalecał sir Henry Wotton w celu zmylenia przeciwnika (kolejny Anglik, który wyjechał za granicę, by kłamać <sup>23</sup>). Ktoś inny powiedział kiedyś: „Jeśli chcesz zachować sekret dla siebie, otul go szczerością” <sup>24</sup>. Więc otuliłem, i to obficie. Jednak grając w prawdę czy fałsz, łatwo przegrać, bo po jakimś czasie traci się kontakt z rzeczywistością. Ojciec często odradzał mi kłamstwo, gdy można powiedzieć prawdę. Wcześniej zdał sobie bowiem sprawę, że moja pamięć – podstawowe wyposażenie kłamcy – stanowi wadę. „Co więcej – mawiał – kłamstwo to sztuka. A sztukę się sprzedaje, nie oddaje się jej za darmo. Wystrzegaj się fałszu, synu”. Dlatego nigdy nie kłamię, sprzedając dzieła sztuki. Choć z kupowaniem to już inna sprawa.

Jak mówiłem, zadawali dużo ogólnych pytań, z których niewiele miało znaczenie dla całej sprawy. Pamiętajcie jednak, że nie byłem tak do końca pewny, co

to za sprawa, więc może osądzam to niewłaściwie. Pytali na przykład o Butelkę Zwrotną, mimo że najwyraźniej wiedzieli o nim więcej niż ja. Ale chyba nie słyszeli, że on już nie żyje; zabawne, no nie? Kilka razy podczas rozmowy wspomniałem o pułkowniku Blucherze – starałem się nawet wymawiać jego nazwisko „Blaaaczer” – ale w ogóle na to nie reagowali.

W końcu zaczęli pakować swój sprzęt do identycznych teczek, dając do zrozumienia, że to koniec przesłuchania, więc zorientowałem się, że kluczowe pytanie padnie niedbale, jakby od niechcienia, gdy skierują się do wyjścia.

– Niech pan nam powie, panie Mortdecai – odezwał się jeden z nich niedbale, jakby od niechcienia, gdy skierował się do wyjścia – co pan myśli o pani Krampf.

– Jej serce – odparłem z goryczą – jest jak kleista ciecz na palmie, którą potrząsa Tatar... nigdy nie wiadomo, w którą stronę poleci.

– Pięknie powiedziane, panie Mortdecai – zauważył jeden z nich, kiwając z uznaniem głową. – To M.P. Shiel, prawda? Czy mamy przez to rozumieć, że pańskim zdaniem przez nią znalazł się pan w kłopotach?

– Oczywiście, że tak. Przecież nie jestem przeklętym idiotą. To się nazywa zostać kozłem ofiarnym.

– Tu może być pan w błędzie – łagodnie odezwał się drugi agent. – Nie ma pan przekonującego dowodu na to, że pani Krampf nie jest szczerą, jeśli chodzi o jej uczucia do pana, a już na pewno nie na to, że pana

wrobiła.

Prychnąłem.

– Panie Mortdecai, nie chcę być impertynencki, ale mogę zapytać, czy ma pan duże doświadczenie z kobietami?

– Kobiety należą do moich najlepszych przyjaciół – warknąłem – choć oczywiście nie chciałbym, żeby moja córka poślubiła jednego z nich.

– Rozumiem. Cóż, chyba nie będziemy dłużej zatrzymywać pana w podróży. Powiemy szeryfowi, że nie zamordował pan Krampfa, a ponieważ wszystko wskazuje na to, że nie będzie pan już dłużej przysparzał Waszyngtonowi powodów do zakłopotania, możemy zostawić pana w spokoju. Jeśli jednak by się okazało, że się mylimy, to oczywiście... znajdziemy pana.

– Oczywiście – zgodziłem się.

Kiedy szli do drzwi, pospiesznie przeszukałem swój biedny zabałaganiony umysł i znalazłem wielkie toporne pytanie, które do tej pory nie padło.

– Kto więc zabił Krampfa?

Przystanęli, odwrócili się i spojrzeli na mnie w osłupieniu.

– Nie mamy bladego pojęcia. Sami przyjechaliśmy tu, żeby go zlikwidować, więc to dla nas bez znaczenia.

To było dopiero wyjście, musicie przyznać.

– Mogę jeszcze kropelkę whisky, panie Charlie?

– Tak, oczywiście, Jock, proszę bardzo. To przywróci róż na twoje policzki.

– No. Mniam, cmok. Aaaach. No to wszystko w porządku, prawda, panie Charlie?

Spojrzałem na niego surowo.

– Oczywiście, że nie w porządku, ty cholerny idioto. Te dwa zbiry zrobią z nas miazgę, gdy tylko się stąd ruszymy. Posłuchaj, myślisz, że ci tu zastępcy to kanalie? Przy tamtych dwóch zakłamanych mordercach to niewinne sufrażystki... tamci to ludzie prezydenta do zadań specjalnych, a teraz tym zadaniem jesteśmy my.

– Nie bardzo kapuję. To dlaczego od razu nas nie puknęli?

– O rany, Jock, zastanów się. Czy pan Martland zabiłby nas, gdyby uznał, że to dobry pomysł?

– Jasna sprawa.

– Ale czy zrobiłby to na posterunku policji przy Moon Street w obecności zwykłych gliniarzy?

– Nie, pewno, że nie. A, kapuję. Ojej!

– Przykro mi, że nazwałem cię cholernym idiotą, Jock.

– W porządku, panie Charlie, jest pan tylko troszkę zmęczony.

– Zgadza się, Jock.

Pojawił się szeryf, który zwrócił nam zawartość naszych kieszeni, z moim PPB włącznie. Naboje znajdowały się w oddzielnej kopercie. Nie był już uprzejmy, wręcz zionął nienawiścią.

– Dostałem instrukcje – powiedział jak ktoś, kto wypływa rybnie ości – żeby nie odnotować was za

zabójstwo, które wczoraj popełniliście. Na zewnątrz czeka taksówka. Chciałbym, żebyście do niej wsiedli, wyjechali z tego kraju i nigdy do niego nie wracali. –

Przymknął oczy, zaciskając mocno powieki, jakby miał nadzieję, że obudzi się w innym strumieniu czasu, w którym C. Mortdecai i J. Strapp nie przyszli na świat.

Wyszliśmy z pokoju na palcach.

Zastępcy byli w przedSIONKU, stali wyprostowani, z bezmyślnymi szyderczymi uśmieszkami na twarzach, w stylu takich jak oni. Podszedłem do większego i paskudniejszego.

– Twoja matka i ojciec spotkali się tylko raz – powiedziałem przemyślnie. – Pieniądze przeszły z ręki do ręki. Pewnie był to miedziak.

Kiedy pchnęliśmy drzwi i wyszliśmy na dwór, Jock spytał:

– A miedziak to ile będzie w angielskiej walucie, panie Charlie?

Przy krawężniku stał, pierdząc i prychnając, wielki sterany samochód. Kierowca, ewidentny alkoholik, poczynił uwagę, że mamy piękny wieczór, a ja nie miałem serca zaprzeczyć. Gdy wsiedliśmy, oznajmił, że po drodze musi zabrać jeszcze jednego pasażera, i oto na następnym rogu stała ona, słodka, hoża dziewczyna, o jakiej tylko moglibyście zamarzyć.

Usiadła między nami, naciągając króciutką wzorzystą spódniczkę na paskudnie obsypane krostami uda, i uśmiechnęła się do nas jak upadły anioł. Nie ma to jak



ładna dziewczyna, żeby facet natychmiast zapomniał o kłopotach, zwłaszcza jeśli wygląda na taką, którą można mieć. Powiedziała, że nazywa się Kopciuszek Gottschalk, i uwierzyliśmy jej – bo czegoś takiego nie mogła wymyślić, nieprawdaż? Jock zaoferował jej ostatni łyk whisky, jaki pozostał jeszcze w butelce, a ona odparła, że jej zdaniem picie alkoholu jest okropnie niebezpieczne czy coś w tym rodzaju. Śliczne piersiątko miała ujęte wysoko, pod brodę, tak jak kiedyś w latach pięćdziesiątych, pamiętacie. Krótko mówiąc, zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. I gdy byliśmy z dziesięć mil za miasteczkiem, jadący z tyłu samochód nagle włączył syrenę i zrównał się z nami. Nasz kierowca, chichocząc, zjechał na pobocze i zatrzymał wóz. Tamten, wzbijając pył, gwałtownie zahamował obok nas i wyskoczyli z niego ci sami zastępcy z tymi samymi szyderczymi uśmiezkami na twarzach, mierząc do nas z tych samych pistoletów co poprzednio.

– O Boziu! – jęknął Jock, choć wiele razy go prosiłem, żeby się tak nie wyrażał. – I co teraz będzie?

– Pewnie zapomnieli zapytać, gdzie się strzygę – odparłem dzielnie.

Ale nie o to chodziło. Zastępcy szarpnięciem otworzyli drzwi taksówki i zwrócili się do naszej małej ślicznotki z Południa.

– Przepraszamy, panienko, ale ile ma pani lat?

– Ależ, Jedzie Tuttle – zachichotała – dobrze wiesz, ile mam lat, tak jak dobrze znasz...

– Twój wiek, Cindy – warknął.  
– Prawie piętnaście – pisnęła, wstydliwie wydymając usta.

Serce zamarło mi w piersi.

– Dobra, parszywi zbrodniecy... wysiadać! – wrzasnął zastępca.

Odstawiwszy nas z powrotem na posterunek, nie zajęli się nami tak jak poprzednio. Byli już po służbie i nie mieli czasu. Zamknęli nas tylko w areszcie.

– Do zobaczenia rano – rzucili słodko na odchodnym.

– Domagam się możliwości skorzystania z telefonu.

– Może rano, jak wytrzeźwiejesz.

I zostawili nas, nawet nie mówiąc dobranoc.

Areszt był klatką, która składała się wyłącznie z prętów, oprócz wyłożonej płytkami podłogi pokrytej cienką warstwą zaschłych rzygowin. Jedynym elementem wyposażenia okazał się plastikowy kubeł, od dłuższego czasu nieopróżniany. Z sufitu bezlitośnie spływało kilka kilowatów fluorescencyjnego światła. Nie byłem w stanie znaleźć adekwatnych słów, ale Jock jak zawsze potrafił dopasować się do sytuacji.

– No to pora pluć i łapać.

– W rzeczy samej.

Przeszliśmy więc w kąt, jak najdalej od wiadra, i oparliśmy nasze zmęczone ciała o pręty. Później pojawił się zastępca z nocnej zmiany – wielki podstarzały tłuścioch o twarzy wielkiej jak dupa biskupa, różowej, okrągłej i rozpalonej. Stał przy

areszcie i ze skrzywioną miną pociągnął nosem.

– Cuchniecie jak para świniaków albo co. – Pokręcił wielkim łbem. – Nigdy bym nie pomyślał, że dorosłe chłopy mogą się doprowadzić do takiego stanu. Sam też czasami się uchlam, ale nie sram pod siebie jak świniak albo co.

– To nie my tak śmierdzimy – odpowiedziałem uprzejmie – to głównie ten kubeł. Czy nie mógłby go pan zabrać?

– Nie. Od tego mamy tu sprzątaczkę, a teraz jest w domu. Ale gdybym, powiedzmy, zabrał ten kubeł, to do czego byście rzygali?

– Nie chce nam się rzygać. Nie jesteśmy pijani. Jesteśmy brytyjskimi dyplomatami i stanowczo protestujemy przeciwko takiemu traktowaniu. Wybuchnie straszliwy skandal, kiedy już stąd wyjdziemy, więc może lepiej, żeby pan sobie pomógł i pozwolił nam skorzystać z telefonu.

Przesunął palcami po swojej wielkiej facjacie, od góry do dołu; chwilę to trwało.

– Nie – rzucił w końcu. – Musiałbym spytać szeryfa, a teraz jest w domu. Nie lubi, gdy mu się przeszkadza, chyba że chodzi o zabójstwo dwóch białasów.

– Cóż, w takim razie niech pan da nam coś, na czym moglibyśmy usiąść, dobrze? Bo niech pan spojrzy na podłogę... a ten garnitur kosztował mnie... eee... ze czterysta dolarów.

To trafiło mu do przekonania, coś takiego potrafił

pojąć. Zbliżył się i przyjrzał uważnie mojemu strojowi. Pragnąc pozyskać jego sympatię, wyprostowałem się i wykonałem piruet z rozpostartymi na boki rękami.

– Synu – rzekł wreszcie – obrabowali cię w biały dzień. Taki sam garniak kupiłbyś w Albuquerque za sto osiemdziesiąt pięć dolców.

Jednakże zanim odszedł, kręcąc głową, podał nam przez pręty plik gazet. Był to może prosty, ale pocziwy człowiek.

Rozpostarliśmy gazety na najmniej zarzyganej części podłogi i położyliśmy się na nich. Na poziomie ziemi smród nie był taki straszny. Sen litościwie dzielił mnie pałką, zanim ze strachem pomyślałem o tym, co przyniesie jutrzeńka.

## 16

Pomyślałem zrazu, że kłamię każdym słowem.

*Sir Roland pod mroczną wieżą stanął*, przeł. Juliusz Żuławski

Słońce wstało jak wielka, pijacka, czerwona morda, która patrzy na mnie z góry. Po bliższym przyjrzeniu stwierdziłem, że to jest wielka, pijacka, czerwona morda, która patrzy na mnie z góry. Uśmiechała się przy tym obleśnie.

– Pobudka, synu – powiedział zastępca z nocnej zmiany – macie gościa... i kaucję na wyjście!

Zerwałem się na nogi i natychmiast znowu usiadłem, jęcząc z powodu bólu nerek. Pozwoliłem, żeby pomógł mi się podnieść, a Jock wstał o własnych siłach – za nic nie przyjąłby przysługi od policjanta. Za zastępcą niezgrabnie stał wysoki, chudy, smutny mężczyzna, który próbował się uśmiechać, ale nie bardzo mu to wychodziło, bo usta miał stworzone wyłącznie do odmawiania kredytu. Wyciągnął długą rękę zwieńczoną kilka jardów dalej guzowatą dłonią, która uściśnęła słabo moją dłoń. Przez moment miałem wrażenie, że skądś go znam.

– Krampf – przedstawił się.

Przeanalizowałem to słowo, ale nie bardzo wiedziałem, co to za zagajenie. W końcu spytałem:

– Krampf?

– Doktor Milton Krampf Trzeci – wyjaśnił.

– O, przepraszam. C. Mortdecai.

Opuściliśmy ręce, ale dalej mamrotaliśmy uprzejmości. W tym czasie zastępca obszedł mnie, strzepując z mojego garnituru różne paskudztwa.

– Spadaj – syknąłem wreszcie do niego. To dobre słowo do sykania.

Jock i ja musieliśmy się umyć. Krampf powiedział, że dokończy załatwiać formalności związane z wpłatą kaucji i odbierze nasze rzeczy. W łazience spytałem Jocka, czy już odzyskał klucz do walizki.

– Chryste, panie Charlie, połknąłem go na kolację, no nie, a od tamtego czasu nie poszedłem na stronę.

– A tak, rzeczywiście. Czy jednak... nie mógłbyś spróbować... eee... pójść teraz?

– Nie. Nie da rady. Zastanawiałem się, czy da radę, ale nie da. Myślę, że to wina innej wody, zawsze mnie zapiera.

– Nonsens, Jock, przecież ty nie pijesz wody. Dodałeś do hamburgerów dużo chilli?

– Tej ostrej przyprawy? Ano może.

– O rany!

Zastępca z nocnej zmiany giął się w przepaszających ukłonach. Okazało się, że inny z zastępców zabrał mój

pistolet ze sobą, żeby podrzucić go do laboratorium medycyny sądowej. To była zła wiadomość, bo jedyną bronią, jaka nam została, był luger Jocka w walizce, do której klucz znajdował się *in petto*. Facet zaoferował mi natomiast możliwość skorzystania z telefonu, ale nie chciałem dłużej się tam zatrzymywać. W sekretariacie był dalekopis i ambasada brytyjska mogła w każdej chwili odpowiedzieć na pytania w naszej sprawie, która z pewnością została już uruchomiona. Jak sobie przypominacie, ambasador wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie mogę liczyć na wsparcie ze strony poczciwej ojczyzny, a mój paszport dyplomatyczny był równie wiarygodny jak banknot dziewięcioszylingowy.

Na dworze panowała noc, ciemna choć oko wykol, i lał deszcz; kiedy w tej części świata już pada, to jak cholera. Daliśmy nura do wielkiego jasnego samochodu Krampfa, który w przyjemnym poczuciu hierarchii społecznej wepchnął Jocka razem z walizką na tylne siedzenie. Zapytałem go uprzejmie, dokąd nas zabiera.

– Hm, pomyślałem, że może zechce pan zatrzymać się u mnie przez jakiś czas – odparł swobodnie. – Mamy nad zatoką bardzo ustronną letnią rezydencję... która chyba teraz należy do mnie... i to właśnie tam znajdują się obrazy. Zwłaszcza te specjalne, rozumie pan? Na pewno chciałby je pan zobaczyć.

O Chryste, jeszcze tego mi potrzeba! – pomyślałem. Sekretne kryjówka szalonego milionera, pełna gorących starych mistrzów pędzla i zimnych młodych mistrzyń

czego innego.

– Będę zachwycony – odparłem. Po czym zagadnąłem: – Mogę spytać, jak to się stało, że tak sprawnie przyszedł nam pan z pomocą?

– Och, to nie wymagało żadnego wysiłku. Jeszcze wczoraj byłem zmanierowanym znawcą sztuki, synem bogatego ojca... przez całe życie zarobiłem na historii sztuki może ze sto dolarów. Dziś zaś jestem chodzącą setką milionów dolarów... plus minus, bo kilka milionów dostanie Johanna... a taka suma pieniędzy potrafi tu wyciągnąć z więzienia każdego. Nie mam na myśli łapówki ani niczego w tym rodzaju, wystarczy tylko je mieć. Ach, pana chyba interesuje, jak się tu znalazłem? To też była betka. Przyleciałem na ranczo około południa, żeby zająć się przewiezieniem ciała... ruszy w drogę, gdy tylko skończy z nim policja. Rodzinne mauzoleum jest w Vermoncie: dobrze, że mamy lato... zimą ziemia staje się tam tak twarda, że ostrzą jeden koniec truposza i wbijają go w grunt, ha, ha.

– Ha, ha – zawtórowałem. Ja także nigdy nie przepadałem za swoim ojcem, ale nie mówiłbym o nim tak dzień po jego śmierci.

– Policjanci na ranczu usłyszeli o rollsie i... eee... pojawił się ten drugi samochód, a potem przyszła wiadomość, że został pan aresztowany. Byli już tam dwaj faceci z FBI czy jakiejś innej agencji federalnej i natychmiast się ulotnili, mówiąc, że jadą tutaj. Pojechałem więc za nimi, gdy tylko się zorientowałem



w sytuacji, na wypadek gdyby okazali się kretynami. To znaczy wiem, że człowiek o pańskich poglądach na temat Giorgionego nie może być złoczyńcą, ha, ha. Tak, znam pańskie prace, czytuję co miesiąc „Burlington Magazine”, to dla mnie lektura obowiązkowa. Chodzi mi o to, że na przykład nie można w pełni ogarnąć osiągnięć Mondriana, jeśli się nie zrozumie, w jakim stopniu uitorował mu drogę Mantegna.

Zakrztusiłem się cicho.

– To mi przypomina – ciągnął – że miał pan przywieźć mojemu ojcu jakieś płótno. Powie mi pan, gdzie ono jest? Domyślam się, że teraz należy do mnie.

Odparłem, że ja również się tego domyślam. Rząd hiszpański pewnie miał inny pogląd, ale czy nie wydaje im się też, że Gibraltar stanowi ich własność?

– Jest w rollsie, zaszyte w dachu. Obawiam się, że niełatwo będzie je wydobyć, ale na razie przynajmniej jest bezpieczne, przyzna pan, prawda? O, a przy okazji, pozostaje jeszcze drobna formalność związana z finansami, której pański ojciec nie dopełnił.

– Ach, tak?

– Owszem. To tylko pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– To jakoś mało, panie Mortdecai.

– No cóż, gość, który płótno świsnął, już dostał swoją dolę. Te pięćdziesiąt patyków to tylko mój drobny *pourboire*, by się tak wyrazić.

– Rozumiem. Dobrze, a jak i gdzie mam je przelać? Do banku szwajcarskiego, na konto numerowe, jak

sądzę?

– Wielkie nieba, nie! Drzę na samą myśl, że leżałyby tam między tą całą czekoladą, śmierdzącym gruyère'em i Alpami. Mógłby pan przekazać je do Japonii?

– Jasne. Mamy firmę deweloperską w Nagasaki. Zatrudnimy pana jako... eee... konsultanta do spraw artystycznych, powiedzmy, na pięć lat za jedenaście tysięcy rocznie. W porządku?

– Sześć lat za dziesięć tysięcy wystarczy mi w zupełności.

– Umowa stoi.

– Bardzo panu dziękuję.

Rzucił mi tak szczere spojrzenie, że niemal mu uwierzyłem. A oczywiście nie powinienem był. Nie w tym rzecz, że żałował mi tych pięćdziesięciu tysięcy – za krótko był bogaty, by zacząć skąpić pieniądze. Nie, rzecz w tym, że najwyraźniej zawadzałem mu pod wieloma względami i na pewno nie miał w planach pozwolić mi długo żyć. To, że miałem rozsądne poglądy na temat Giorgionego, nie oznaczało, że mogę pozostać przy życiu; po co miałbym żyć dłużej, będąc utrapieniem dla samego siebie i ciężarem dla innych?

Gawędziliśmy dalej.

Nie znał się za bardzo na podszewkarstwie – zaskakujące zaiste jak na taki autorytet w dziedzinie modernistów, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że przeciętny współczesny obraz wymaga troski już w ciągu pięciu lat, kiedy schnie farba, a wiele z nich

pęka albo się łuszczy jeszcze wcześniej. I nie chodzi o to, że współcześni twórcy nie mogą nauczyć się właściwych technik w takim stopniu, w jakim by chcieli. Moim zdaniem nie robią tego, bo podświadomie się boją, jak potomność oceni ich dzieła.

– Jest pan pewien – dopytywał się Krampf – że ten... eee... proces nie uszkodzi obrazu?

– Niech pan posłucha – powiedziałem wreszcie – obrazów nie niszczy się w ten sposób. Żeby zniszczyć obraz, trzeba głupiej gospodyni domowej ze szmatą i amoniakiem w jakiejś postaci, denaturatem albo opatentowanym środkiem do czyszczenia malowideł. Może pan pociąć obraz na wstążki, a dobry podszewkarz i konserwator tak przywrócić go do porządku, że będzie jak nowy, i to zanim zdąży pan okiem mrugnąć. Pamięta pan *Wenus z lustrem*?

– A tak – odrzekł. – Sufrażystka z siekierą, mam rację?

– Może pan namalować na nim inny obraz, a konserwator... nawet kilka wieków później... oczyści go, docierając do oryginału, spokojna głowa. Pamięta pan Crivellego ze zbiorów pańskiego ojca?

Zastrzygł uszami i samochód na chwilę zjechał z pasa.

– Crivelli? Nie. Jaki Crivelli? Miał jakiś jego obraz? Dobry?

– Bernardo Tatti twierdzi, że bardzo dobry. Pański ojciec kupił go gdzieś w Wenecji Euganejskiej

w czterdziestym dziewiątym albo pięćdziesiątym roku. Wie pan, jak handluje się starymi mistrzami we Włoszech... najwięksi z nich rzadko kiedy przechodzą przez komercyjne galerie sztuki. Gdy tylko ktoś z poważnymi pieniędzmi rozgłosi, że poszukuje poważnych dzieł sztuki, zostaje niebawem zaproszony na weekend do jakiegoś *palazzo*. Utytułowany gospodarz delikatnie rzuca, że w niedalekiej przyszłości będzie musiał zapłacić duży podatek... to taki żart we Włoszech... i w związku z tym może nawet zdecyduje się sprzedać jakiegoś starego mistrza albo dwóch. Pański ojciec kupił tak Crivellego. Obraz miał wszystkie certyfikaty, wydane przez największych specjalistów... zawsze tak jest, dobrze pan wie. Przedstawiał Madonnę z gołopupym Dzieciątkiem wśród gruszek, granatów i melonów... był całkiem ładny. Jak Crivelli z kolekcji Fricka, tyle że mniejszy. Włoski książę czy hrabia dał do zrozumienia, że nie jest do końca pewny swoich praw do tego dzieła, ale widzi, że pański ojciec nie przejmuje się takimi drobiazgami... tak czy owak trzeba by przemyścić płótno z kraju ze względu na przepisy zabraniające wywozu dzieł sztuki. Pański ojciec zabrał malowidło do zaprzyjaźnionego malarza w Rzymie, który je zagruntował, a potem namalował na nim jakiś bohomaz w stylu futurystyczno-wortycystycznym. (O, przepraszam, zapomniałem, że to pańska działka). Śmiało sygnowany i opatrzony datą tysiąc dziewięćset czterdzieści dziewięć, obraz przeszedł przez kontrolę

celną, nie budząc żadnego zainteresowania z wyjątkiem litościwych spojrzeń. Po powrocie do Stanów pański ojciec wysłał go do najlepszego renowatora w Nowym Jorku z liścikiem tej treści: „Proszę zdjąć współczesną warstwę farby, odsłonić i przywrócić do porządku oryginał”. Kilka tygodni później wysłał jeden z tych swoich telegramów: NATYCHMIAST POWIADOMIĆ O POSTĘPACH PRAC NAD CUDZYSŁÓW OTWARTY WSPÓŁCZESNYM CUDZYSŁÓW ZAMKNIĘTY OBRAZEM. Renowator odpowiedział telegramem: ZDJAŁEM CUDZYSŁÓW OTWARTY WSPÓŁCZESNY CUDZYSŁÓW ZAMKNIĘTY OBRAZ STOP USUNĄŁEM MADONNĘ CUDZYSŁÓW OTWARTY CRIVELLEGO CUDZYSŁÓW ZAMKNIĘTY STOP DOCHODZĘ DO PORTRETU MUSSOLINIEGO STOP KIEDY PRZESTAĆ PYTAJNIK.

Doktor Krampf jednak wcale się nie śmiał. Patrzył prosto przed siebie, zaciskając palce na kierownicy wozu. Po chwili rzuciłem więc od niechcienia:

– Cóż, pański ojciec, gdy wyszedł z szoku, uznał, że to bardzo zabawne. A trudno go było rozbawić.

– Mój ojciec był ograniczonym, głupim erotomanem – odparł spokojnie Krampf junior. – Ile dał za tamten obraz?

Powiedziałem mu i skrzywił się boleśnie. Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Samochód przyspieszył.

Po pewnym czasie Jock chrząknął nieśmiało.

– Przepraszam, panie Charlie, ale czy mógłby pan poprosić doktora Krampfa, żeby się zatrzymał? Muszę w krzaki. Natura ma swoje prawa – dodał kurtuazyjnie.

– No, naprawdę, Jock – powiedziałem surowo, żeby ukryć zadowolenie – powinieneś być pomyśleć o tym wcześniej, przed wyjściem. To pewnie wina chilli.

Zatrzymaliśmy się pod czynną całą dobę restauracją przy motelu. Dwadzieścia minut później, obciążeni niepokojąco ciężkostrawnymi jajkami sadzonymi, doszliśmy do wniosku, że możemy równie dobrze pozostać tam do rana. Jock podał mi klucz do walizki, który wyglądał jak nowy; spodziewałem się, że będzie skorodowany i uszkodzony na skutek działania potężnych kwasów trawiennych.

Na wszelki wypadek zamknąłem się w pokoju, chociaż byłem pewny, że Krampf zaczeka, aż będzie nas miał w swojej ustronnej letniej rezydencji. Położywszy się do łóżka, pomyślałem, że muszę przeprowadzić dokładną, obiektywną analizę sytuacji w świetle czystych faktów. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” – powiedziałem sobie. Z pewnością ostry jak brzytwa intelekt Mortdecaia znajdzie jakieś wyjście z tego paskudnego, ale mimo wszystko trywialnego bajzlu.

Na nieszczęście ostry jak brzytwa intelekt został zmorzony snem, gdy tylko jego zewnętrzna powłoka dotknęła poduszki. Na prawdziwe nieszczęście, jak się okazało.

## 17

I tak walczyliśmy, półludzie. Aż w końcu  
Bóg nas pociesza.

*Andrea del Sarto*, przeł. Juliusz Żuławski

O ileż boleśnieszka od ukąszenia węża jest pobudka bez herbaty! Jock, oddana dusza, przyniósł mi wszystkie rodzaje furazu, jakie tylko znalazły się w motelu, jednakże herbaty wśród nich nie było. Jeżeli Paryż, jak mówi Galiani [25](#), jest kafejką Europy, to Stany Zjednoczone A. muszą być budką z hot dogami świata. „Fuj!” – powiedziałem, ale zjadłem trochę, żeby sprawić przyjemność Jockowi.

Dochodziło południe, spałem bite osiem godzin. Wykapawszy się, ogoliwszy i starannie ubrawszy, wyszedłem na poranne słońce, przepełniony duchem sir Percy’ego Blakeney-Mortdecaia, le Bouton Ecarlate. „*A la lantern* z citoyen de Krampf” – podśpiewywałem sobie cicho, strzepując jakiś paskudny paproch z nieskazitelnej koronki Méchlin mego żabotu.

Na zewnątrz stał kobaltowy buick.

A.L. Rowse [26](#) powiedział kiedyś, że dokonać

naprawdę doniosłego odkrycia historycznego to jak usiąść niechcący na kocie. Przez chwilę poczułem się jak taki właśnie historyk – i jednocześnie jak kot. Doktor Krampf, który czekał za kierownicą samochodu, nie mógł nie zauważyć, że podskoczyłem w miejscu i wydałem zdławiony pisk, ale starannie powściągnął wszelkie oznaki zdziwienia. Jock i ja wsiedliśmy do wozu, ponieważ ewidentnie był to ten sam, którym tu przyjechaliśmy, i po pewnym czasie, gdy już wymieniliśmy poranne powitania, przyszła pora ruszać w drogę.

Podobnie jak Odyseusz przy licznych okazjach, zacząłem łamać sobie bystrą głowę. Klucz od walizki, owoc szczerych wysiłków Jocka, był podwójnym błogosławieństwem: pozwolił mi dostać się do czystej bielizny, a Jockowi do lugera, którego miał teraz w pokrzepiającym sąsiedztwie – było to naprawdę silne partnerstwo. Mój paszport dyplomatyczny zapewne przeszedłby pomyślnie oględziny na mniejszych lotniskach w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, ale w późniejszym czasie już raczej nie. Było nas dwóch, a Krampf na razie tylko jeden. Nie miałem wątpliwości, że chce mnie zlikwidować; właściciele kobaltowego buicka nie mogli być moimi przyjaciółmi, poza tym wiedziałem o wiele za dużo o proveniencji tej świeżo odziedziczonej kolekcji i byłem w posiadaniu kilku drobnych informacji, jak na przykład kto zabił tatusia – chociaż oczywiście nie mógł mieć pewności, że



to wszystko wiem. Musiałby więc, to było jasne, dobrać się do nas, zanimby nam włożył cementowe buciki – tak to się mówi, prawda? – ale mogliśmy go od tego odwieść.

Jechaliśmy dalej na południowy wschód, zatrzymując się na ohydny lunch w miejscu o nazwie Fort Stockton, gdzie ukradkiem kupiłem mapę, by następnie przestudiować ją w departamencie spożytego piwa. Potem znowu jechaliśmy jakiś czas, pokonując rzekę Pecos w kierunku Sonory. (Teraz to były już dla mnie tylko nazwy, cała magia wyparowała).

Tuż przed Sonorą rzuciłem do Krampfa:

– Przykro mi, mój drogi, ale jednak nie możemy zostać u pana na weekend.

Nadal trzymał ręce na kierownicy, ale niepewnie łąpnął na mnie z ukosa.

– Jak to?

– Coś nam wypadło, rozumie pan.

– Nie rozumiem... co mogło wypaść?

– Cóż, tak się składa, że właśnie dostałem telegram.

– Właśnie dostał pan te...

– Owszem. Który przypomniał mi o niecierpiących zwłoki zobowiązaniach. Więc może byłby pan tak miły i skręcił w Sonorze na północ?

– Panie Mortdecai, wiem, że to jakiś żart, więc zamierzam jechać prosto w stronę zatoki, he, he – zachichotał. – Gdybym nie wiedział, że pański pistolet został w laboratorium medycyny sądowej, może bym się

nawet skusił i potraktował pańską prośbę poważnie, he, he.

– Jock, pokaż doktorowi Krampfowi lugera.

Jock pokazał, wychylając się z tylnego siedzenia. Krampf przyjrzał się broni uważnie. Jeśli znał się na lugerach, dostrzegł nad zamkiem mały wskaźnik *Geladen*. Potem zwiększył prędkość – rozsądnie, bo nikt przecież nie wymierza *Gesnickschuss* komuś, kto jedzie z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę.

– Jock, w lewe ramię, proszę.

Wielka pięść Jocka, wyposażona w mosiądz, spadła jak młot parowy na rzucone ramię i gdy ręka Krampfa znieruchomiała, przejąłem kierownicę.

Krampf zwolnił i w końcu się zatrzymał; nie można prowadzić samochodu, kiedy się płacze. Szybko zamieniłem się z nim miejscami i ruszyliśmy dalej – coś mi mówiło, że na autostradzie międzystanowej numer 10 lepiej się ociągać. On siedział obok mnie i rozcierał sobie ramię; nic nie mówił, tylko patrzył przed siebie przez łzy. Było to potwierdzenie jego złych intencji, bo czyż uczciwy człowiek nie protestowałby gorąco w takiej sytuacji?

Sto pięćdziesiąt mil na południe od Sonory leży Abilene. Większość tej odległości pokonaliśmy w ciągu dwóch godzin, a Krampf nadal siedział cicho, najwyraźniej nieprzestraszony, zapewne wierząc niezachwianie w potęgę stu milionów dolarów. Za San Angelo – kiedy przez nie przejeżdżaliśmy, zaśpiewałem

*E lucevan le stelle*, wielbiciele opery będą wiedzieli dlaczego – zacząłem rozglądać się za odpowiednim miejscem, bo zbliżał się wieczór, i wkrótce po przebyciu Kolorado znalazłem takie – nieoznaczoną drogę gruntową, która biegła łożyskiem wyschniętej rzeki. Upewniwszy się, że nie można nas wypatrzeć, wysiadłem z samochodu i pchnąłem przed siebie Krampfa.

– Krampf – powiedziałem do niego – obawiam się, że źle mi życzysz. W obecnej chwili nie mogę pozwolić sobie na to, żeby oprócz innych jeszcze jacyś Krampfowie dybali na moje życie, więc muszę udaremnić ci te nieczne zamiary. Czy wyrażam się jasno? Proponuję, że zostawię cię tutaj, bezpiecznie związanego, w ciepłej odzieży, ale bez portfela. Na lotnisku powiadomię policję, gdzie ma szukać ciebie i twoich pieniędzy, bo takim złodziejem nie jestem. Jest mało prawdopodobne, żebyś umarł, zanim cię znajdą. Masz jakieś pytania?

Spojrzał na mnie spokojnie, zastanawiając się, czy dałby radę gołymi rękami wyrwać mi wątrobę. Nic nie powiedział ani nawet nie splunął.

– Portfel – rzuciłem, pstrykając palcami.

Wyjął cienki portfel z wężowej skórki i rzucił mi niegrzecznie pod nogi. Podniosłem go, nie jestem dumny. Zawierał prawo jazdy, kilka lepszych kart kredytowych, zdjęcia jakichś paskudnych dzieci i portret Madisonsa. Oczywiście na banknocie tysiąc dolarowym.

– Nie masz drobnych? – zapytałem. – Nie. Chyba nie. Nie wzięłybyś ich do ręki, bo dobrze wiesz, gdzie wcześniej były. A nie wyglądasz mi na takiego, co zostawia hojne napiwki.

– Panie Charlie – odezwał się Jock – bogaci goście nie trzymają zwykłej forsy w portfelach, tylko w gaciach, w takich klipsach, co to się robi ze złotych monet.

– Masz rację, Jock, udzielam ci pochwały. Krampf, poproszę klips z banknotami.

Niechętnie sięgnął do kieszeni na biodrach, zbyt niechętnie, i nagle zdałem sobie sprawę, co jeszcze tam trzyma. Wymierzyłem mu szybkiego kopniaka w jaja, a on cofnął się, potknął i upadając, dobył pistolet typu liliput. Nie słyszałem strzału, ale moje ramię jakby zostało wyrwane z korzeniami i kiedy się przewracałem, zobaczyłem tylko, że buciór Jocka wchodzi w kontakt z głową Krampfa.

Musiałem na chwilę stracić przytomność, ból był nie do zniesienia. Kiedy się ocknąłem, Jock przemywał mi ranę wacikiem z samochodowej apteczki. Mała kula przeszła obok pachy, rozorując ją brzydko i omijając tętnicę zaledwie o włos, ale wystarczająco, abym był bezpieczny. To była bardzo dobrze zaopatrzona apteczka. Po zatamowaniu krwawienia i założeniu stosownego opatrunku skupiliśmy uwagę na leżącym nieruchomo Krampfie.

– Zwiąż go, Jock, dopóki jest nieprzytomny.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Panie Charlie... eee... może pan go obejrzy?

Obejrzałem. Boczna część jego głowy przypominała w dotyku torebkę czipsów. Następne pokolenie Krampfów przeniosło się ze swoim kijem krykietowym do Wiecznego Pawilonu, żeby pogawędzić z Wielkim Sędzią.

– Doprawdy, Jock, jesteś okropny – warknąłem. – To już drugi raz w ciągu dwóch dni. Ile razy mam ci mówić, że nie będę tolerował tych twoich morderczych ekscesów!

– Przepraszam, panie Charlie – powiedział przygnębiony. – Ale przecież to było niechcący. Próbowałem ratować panu życie, no nie?

– Tak, Jock, chyba masz rację. Przykro mi, jeśli trochę mnie poniosło... ale nieco cierpię, rozumiesz.

„Pochowaliśmy go w złowieszczym nastroju ciemną nocą, przewracając bagnietami trawę” [27](#), jak można by rzec. Potem nasłuchiwałem przez dłuższy czas i wreszcie wróciliśmy w ciszy na główną drogę, a następnie skierowaliśmy się do Abilene.

Tej nocy z Abilene odlatywały dwa samoloty, do Denver i Kansas City, więc każdy z nas wsiadł do innego z nich.

– Do zobaczenia w Quebecu, Jock – powiedziałem.

– W porządku, panie Charlie.

## 18

Baktryjczyk, dzikus, był całkiem jak dziecko  
Nie umiał czytać, pisać – tylko kochać.  
Więc aby pamięć o tym nie zginęła,  
Wiedząc, że jutro mam walczyć z bestiami,  
Powiem o wszystkim Febasowi!

*Śmierć w pustyni*, przeł. Grzegorz Uzdański

Na pewno zdążyliście już zauważyć, że do tej pory moja zawiła opowieść zachowywała przynajmniej kilka typowych dla tragedii jedności. Nie próbowałem relacjonować myśli ani poczynań innych, jeśli wykraczały poza moją wiedzę, nie przenosiłem was z miejsca na miejsce bez odpowiedniego transportu i nigdy nie zaczynałem zdania od słów „kilka dni później”. Każdy ranek był świadkiem małej śmierci, jaką jest przebudzenie się pijaka, a „każdy niespieszny zmierzch stanowił zaciągnięcie zasłony” [28](#). Anglicy, jak zauważył Raymond Chandler, może nie zawsze są najlepszymi pisarzami na świecie, ale to bez wątpienia najlepsi nudni pisarze.

Jeśli nie zawsze zdradzałem przyczyny niektórych wydarzeń, to po części dlatego, że pewnie jesteście ode

mnie lepsi w tych sprawach, a po części dlatego, że, muszę przyznać, nawet bawiło mnie odkrywanie, iż wydarzenia, którymi w swoim przekonaniu kierowałem, tak naprawdę kierowały mną.

W ciągu tych ostatnich kilku tygodni sprawiało mi przyjemność nadawanie moim wspomnieniom pewnego rodzaju zdyscyplinowanej formy, ale ta głupota musi się już skończyć, ponieważ dni stają się coraz krótsze i helikopter czasu szaleńczo młóci powietrze nad moją głową. Akcja wyparła literaturę, więc teraz przyszła pora na kilka spokojniejszych stron i może także na zapiski rodem z dziennika; a później, jak podejrzewam, błyskawicznie nastąpi wieczność.

Wygląda na to, że w wyniku wulgarnej ironii losu wróciłem do domu, by dokonać żywota, mając przed oczami sceny ze znieawidzonego dzieciństwa; ścieżki Opatrzności są zaiste bezwzględne, jak powiedziała kiedyś Pat do Mike'a, kiedy szli Broadwayem – czy może O'Connell Street?

Powrót był łatwy. Z Quebecu poleciliśmy na Éire – tym samym samolotem, ale oddzielnie. W Shannon Jock bez problemu przeszedł przez kontrolę, machając swoim paszportem turystycznym, do którego nawet nie zajrzano. Niósł walizkę. Kupił bilet na lot krajowy do Dublina, na lotnisko Collinstown, i czekał na mnie w miłym pubie Pod Ławą Przysięgłych w College Green.

Co do mnie zaś, to spokojnie spędziłem godzinę

w toalecie w Shannon razem z połową butelki whisky, wmieszałem się w tłum rozmaitych podróżnych, rozprowadając wszem wobec, że moja żona, dziatki i bagaż są w samolocie lecącym do Dublinu, Belfastu i Cork, a następnie, popłakując nieznośnie po pijacku, wydostałem się na zewnątrz i wsiadłem do taksówki, nie okazawszy nikomu paszportu. Chyba wszyscy byli zadowoleni, że się mnie pozbyli. Taksówkarz opróżnił mój portfel przez całą drogę do Mullingar, gdzie się ogoliłem, zmieniłem ubranie tudzież akcent i wsiadłem do następnej taksówki, aby pojechać do Dublinu.

Jock zgodnie z planem czekał Pod Ławą Przysięgłych, ale się tam nie zasiedział. Kilka minut później mieli go stamtąd wyrzucić, ponieważ był w trzy dupy pijany i ktoś nauczył go paskudnego miejscowego wyrażenia, które on wyśpiewywał z uporem na melodię starej irlandzkiej pieśni patriotycznej.

Potem poleciliśmy razem tanim nocnym lotem do Blackpool. Teraz ja musiałem przynajmniej udawać pijanego, żeby nie wyróżniać się spośród innych pasażerów. Obsługa lotniska tylko czekała, żeby położyć się już do łóżek czy co tam robią w Blackpool. Odwrócili się plecami do całej naszej gromady. Wsiadliśmy z Jockiem do oddzielnych taksówek i pojechaliśmy każdy do swojego obskurnego hoteliku. Na kolację zjadłem placek ziemniaczany, a Jock – nie mam pojęcia co.

Nazajutrz rano wsiadliśmy do oddzielnych pociągów



i spotkaliśmy się w bufecie na stacji Carnforth. Być może nigdy nie słyszeliście o tym mieście, ale musieliście widzieć tę stację, a zwłaszcza bufet, bo tam właśnie kręcono *Spotkanie* i jest to święte miejsce dla wielbicieli Celi Johnson. Obecnie Carnforth nie ma innych powodów do chwały. Niegdyś kwitnący ośrodek hutniczy z ważnym węzłem kolejowym, dziś wyróżnia się tylko szczególną i chyba zamierzoną brzydotą zabudowy i nadzwyczajną życzliwością mieszkańców – nawet pracowników bankowych. Urodziłem się pięć mil dalej, w miejscu o nazwie Silverdale.

Carnforth znajduje się w najdalszym północno-zachodnim zakątku Lancashire i czasami jest nazywane Bramą do Krainy Jezior. Nie leży za blisko wybrzeża i w ogóle nie jest „za” w żadnym sensie. Można tam znaleźć kilka dobrych pubów. Kiedyś, w czasach mojego dzieciństwa, było jeszcze kino, ale i tak nigdy nie pozwalano mi do niego chodzić, a teraz jest zamknięte. Służy tylko do gry w bingo, oczywiście.

Jeden z hoteli prowadzi sympatyczny stary Włoch, Dino jakiś tam. Zna mnie, od kiedy byłem *bambino*. Powiedziałem mu, że wracam z Ameryki, gdzie narobiłem sobie trochę wrogów, więc muszę się przyczaić.

– Bez obaaawy, panie Chaaarlie, te przekłete sycyliijskie draby nie znaaajdą pana tuuutaj. Jeśli tyyyylko zobaczę, że się tu kręęcą, zawooołam poliiicję... to porząądne chłopaaaki, nie boją się

śmierdzących mafioosów.

– Nie całkiem o to chodzi, Dino. Jeśli zobaczysz, że ktoś się tu kręci, lepiej dać znać mnie, ale po cichu.

– Doobrze, panie Chaaarlie.

– Dziękuję ci, Dino. *Evviva Napoli!*

– *Abassa Milano!*

– *Cazzone pendente!* – wykrzyknęliśmy unisono nasze zawołanie sprzed lat.

Jock i ja przyczailiśmy się tam na jakieś pięć tygodni, aż moja pacha się wygoiła i urosła mi mniej lub bardziej przekonująca broda. (Chcę, aby było jasne, że Dino nie miał pojęcia, iż zrobiliśmy cokolwiek złego). Przestałem farbować włosy oraz jeść produkty zawierające skrobię, więc wkrótce zacząłem wyglądać jak dobrze zakonserwowany siedemdziesięciolatek. Wreszcie przed wyjazdem wyjąłem dwa górne kły, umocowane na drucik, i z górnymi siekaczami spoczywającymi lekko na dolnej wardze wyglądałem jak wcielenie demencji starczej, co zawsze przerażało panią Spon. Zapuściłem siwiejące skołtunione włosy, kupiłem lornetkę i wszedłem w środowisko ornitologów amatorów. To zdumiewające, ilu ich obecnie jest. Kiedyś ornitologia stanowiła wyszukane hobby zgorzkniałych dyrektorów szkół, zbzikowanych starych panien i samotnych chłopców, ale teraz jest zwyczajnym weekendowym zajęciem, jak wyplatanie dywaników czy bicie żon. Gdy chodziłem do szkoły, była moją pasją, znałem głosy ptaków, i prawdę

mówiąc, teraz też jej uległem i wyprawy za miasto sprawiały mi dużą przyjemność.

W tej części Lancashire znajdują się najlepsze w Anglii tereny do obserwacji ptactwa. Ptaki morskie i nadbrzeżne milionami nawiedzają ogromne słone błota i strefy pływów zatoki Morecambe, a wśród trzcin Leighton Moss – sanktuarium Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków – co krok kryją się kaczki, łabędzie, mewy, a nawet bąki.

Dałem Dinowi trzysta funtów i kupił mi używanego ciemnozielonego mini, którego zarejestrował na swoje nazwisko. Ozdobiłem go naklejkami różnej treści: RATUJMY LEVENS HALL, GŁOSUJ NA KONSERWATYSTÓW, ODWIEDZAJMY MUZEUM KOLEJNICTWA, i rzuciłem na tylne siedzenie fotelik dziecięcy – pomysłowy element kamuflażu, sami przyznajcie. Załatwiliśmy Jockowi parę barwionych szkieł kontaktowych i zamieniliśmy jego porażająco niebieskie oczy na ziemistobrązowe. Bardzo mu zresztą przypadły do gustu, nazywał je swoimi okularami przeciwsłonecznymi.

Jednocześnie, ponieważ Carnforth ma automatyczną centralę telefoniczną, można było bezpiecznie zadzwonić pod zastrzeżone numery w Londynie, gdzie różni paskudni przyjaciele w zamian za dużą forszę wzięli się do wyrabiania dla mnie i Jocka nowych dokumentów, żebyśmy mogli zbiec do Australii i zacząć nowe życie wśród kangurów i kangurzyc. Nowa

tożsamość słono kosztuje i trzeba na nią długo czekać, ale proces wyrabiania papierów jest znacznie prostszy teraz, gdy istnieją te wszystkie narkotyki. Musisz po prostu znaleźć faceta, który zażywa heroinę przez duże „H” i jego dni na tym świecie są policzone, najlepiej takiego, który byłby do ciebie podobny pod co najmniej kilkoma względami. Bierzesz go pod swoje skrzydła – czy raczej robią to twoi paskudni przyjaciele – dajesz mu kąć u siebie, dostarczasz H i karmisz, gdy tylko jest w stanie coś przełknąć. Opłacasz mu ubezpieczenie i załatwiasz paszport, otwierasz na jego nazwisko rachunek oszczędnościowy na pocztę i uzyskujesz prawo jazdy, zdobywasz dla niego fikcyjną pracę w prawdziwym miejscu. („Pracodawca” zatrzymuje sobie jego pensję w gotówce, podwójną). A później tylko płacisz najdroższemu specjaliście, żeby zastąpił jego zdjęcie w paszporcie twoim, i jesteś nowym człowiekiem.

(Tu narkoman, oczywiście, staje się nieco zbędny. Możesz go załatwić profesjonalnie, ale to obecnie straszny wydatek. Najlepszym i najtańszym sposobem jest więc odebranie mu jego lekarstwa na trzy dni, a kiedy wyjdzie z siebie, pozostawienie go w uczęszczanej publicznej toalecie – stacja metra Piccadilly cieszy się pod tym względem największą popularnością – z pełną strzykawką, a potem niech natura weźmie na siebie resztę. Koroner ledwie na niego spojrzy, uzna, że lepiej mu tam, gdzie jest; mógłby tak

się męczyć jeszcze przez lata, itd., itp.).

Krótko mówiąc, wszystko szłoby jak najlepiej, gdyby William Hickey czy jakiś inny felietonista nie napomknął delikatnie raz czy dwa, że pewni ludzie na wysokich stanowiskach otrzymują pewne zdjęcia, które mogą się odnosić do artystycznej działalności Butelki Zwrotnej. Jeśli to była prawda, nie potrafiłem odgadnąć, czyja to robota – bo chyba nie Johnny? Jednego z przerażających kumpli Butelki Zwrotnej? Martlanda? Ale nie zaprzątałem sobie tym głowy.

Poprzedniego wieczoru, gdy wchodziłem do baru w hotelu Dina, nawdychawszy się świeżego powietrza, które wraz z ruchem pobudziło mój apetyt, powiedziałbym każdemu, że sprawy mają się nadzwyczaj dobrze. Spędziłem całe popołudnie na grzędawisku i przez kilka minut mogłem podziwiać przez lornetkę parę sikorek brodatych, czyli wąsatek – i jeśli sądzicie, że nie ma takich ptaków, możecie zajrzeć do pierwszego z brzegu atlasu ornitologicznego. To było zaledwie dzień wcześniej.

### *Poprzedniego wieczoru, kiedy wszedłem do baru*

Barman powinien był się uśmiechnąć i powiedzieć: „Bry wieczór, panie Jackson, czym mogę panu służyć?”.

Tak witał mnie każdego wieczoru od tygodni.

Tym razem jednak obrzucił mnie wrogim spojrzeniem i warknął:

– To co zwykle, Irolu?

Byłem kompletnie zbity z tropu.

– No dalej – podjął barman nieprzyjemnie – zdecyduj się wreszcie. Mam też innych klientów, którzy czekają, żeby ich obsłużyć.

Dwaj nieznajomi na końcu baru przyglądali mi się od niechcienia w lustrze za szeregiem butelek. Skapowałem.

– Dobra, już dobra – burknąłem grubym głosem – jasne, że to co zwykle, ty zrzedliwy sukinkocie.

Pchnął ku mnie po blacie podwójną whisky Jameson's Irish.

– Uważaj, co mówisz – powiedział – bo inaczej zaraz stąd wylecisz.

– Nie chrzań – odciąłem się i z hałasem odsunąłem szklankę. Otarłem usta wierzchem dłoni, beknąłem głośno i wytoczyłem się na dwór. Szczęśliwie się składa, że strój roboczy poważnego ornitologa przypomina garderobę zapijaczonych irlandzkich marynarzy.

Pobiegłem na górę i zastałem Jocka siedzącego na łóżku. Czytał komiks dla dzieci.

– Zbieraj się – powiedziałem. – Znaleźli nas.

Byliśmy w stanie gotowości na wypadek alarmu, więc w półtorej minuty od mojego wyjścia z baru wynieśliśmy się z hotelu przez kuchenne drzwi i ruszyliśmy na parking, gdzie trzymałem swojego mini. Uruchomiłem silnik i wycofałem samochód. Byłem zupełnie spokojny, bo nie widziałem powodu, dla

którego mogliby mnie podejrzewać.

Potem jednak przekląłem i zdjęty przeraźliwym strachem zgasilem silnik.

– Co tam, panie Charlie, zapomniał pan czegoś?

– Nie, Jock. Coś sobie przypomniałem.

Otóż uświadomiłem sobie, że nie zapłaciłem za whisky – a barman się o to nie upomniał. Zapijaczni irlandzcy marynarze nie miewają kredytu w szanowanych hotelach na prowincji.

Ponownie włączyłem silnik, wrzuciłem brutalnie bieg i wyjechałem z podwórka na ulicę. Stojący na rogu mężczyzna odwrócił się i pobiegł w stronę hotelu. Modliłem się, żeby ich samochód stał zwrócony w złym kierunku.

Wyciskając ze swojego posłusznego małego mini, co się tylko dało, wyjechałem z miasta na północ, żeby dostać się na Millhead Road. Tuż przed drugim mostem kolejowym zgasilem światła i skręciłem w lewo, w stronę Hagg House i moczarów. Droga przeszła w drózkę, a potem w rozmiękłą ścieżkę. Zrywaliśmy druty kolczaste, pokonywaliśmy skarpy, niemal przenosiliśmy mini przez niemożliwe do przejechania błota, przeklinaliśmy, modliliśmy się i nasłuchiwalismy odgłosów pogoni. Kierowaliśmy się na zachód, przepelnieni zapiekłą nienawiścią do psów, i wreszcie znaleźliśmy rzekę Keer, to znaczy wpadliśmy do niej. Mówiąc dokładniej, mini zsunął się z brzegu i zarył przodem w wilgotny piach na dnie, bo był odpływ.

Chwyciłem prawie pustą walizkę, Jock złapał plecak i wleźliśmy do rzeki. Kiedy zimna woda dosięgła poziomu krocza, doznaliśmy wstrząsu termicznego i zaczęliśmy nerwowo wciągać powietrze. Pół mili za nami na niskim biegu zawył silnik samochodu, dwa snopy światła reflektorów omiotły nocne niebo, a potem zapadła ciemność.

Gwiazdy świeciły jasno, ale znajdowaliśmy się już za daleko, żeby nasi prześladowcy mogli nas zobaczyć. Wgramoliliśmy się na drugi brzeg – dzięki Bogu za moją świeżo odzyskaną kondycję – i ruszyliśmy na północy zachód, kierując się w stronę światła Grange-Over-Sands i pokonując sześć mil wśród lśniących bagiennych równin.

Do tej pory jeszcze nic podobnego mi się nie zdarzyło i była to najdziwniejsza podróż, jaką kiedykolwiek odbyłem. Ciemność, niesłyszalne, ale bliskie morze, łopot skrzydeł całych stad spłoszonych ptaków, plaśnięcia naszych stóp na mokrym piasku i strach, który wiódł nas w kierunku migoczących światełek daleko po drugiej stronie zatoki.

Miałem jednak pewną przewagę, byłem na swoim terenie. Zamierzałem dotrzeć do Quicksand Pool – ciągnącej się przez dwie mile zdradzieckiej, bagiennej laguny – potem skręcić wzdłuż niej na północny wschód, dojść do najwęższego miejsca i tam przeprowić się na drugi, przyjazny brzeg Silverdale, leżący zaledwie dwie mile na północ. Wszystko zależało od



tego, czy po sforsowaniu Keer znajdziemy się we właściwym punkcie i czy fala będzie taka, jakiej się spodziewałem – nie miałem wyboru, musiałem założyć, że nie mylę się ani co do jednego, ani co do drugiego.

I wtedy zaczął się koszmar.

Jock szedł kilka jardów na lewo ode mnie, kiedy obaj nagle znaleźliśmy się na grząskim gruncie. Ja zachowałem się tak, jak trzeba w takim przypadku – dalej szedłem szybko, ale zataczając kółko do miejsca, z którego ruszyłem. Jock tego nie zrobił. Zatrzymał się, jęknął, próbował się cofnąć i zaczął grzęznąć. Rzuciłem walizkę i zawołałem go w ciemności, a on z kolei zawołał mnie, i to piskliwym, pełnym paniki głosem, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem. Złapałem go za rękę i również zacząłem się zapadać. Rzuciłem się więc na ziemię, tylko łokciami dotykając bagna. To było tak, jakbym ciągnął dąb. Ukląknę, żeby mieć lepsze podparcie, ale kolana niepokojąco zagłębiły mi się w bagno.

– Połóż się płasko głową w moją stronę – warknąłem do Jocka.

– Nie da rady, panie Charlie... wpadłem już po pas.

– Czeka, wezmę walizkę.

Próbowałem zapalić zapałkę, żeby znaleźć to pudło, a potem następną, żeby ponownie znaleźć Jocka w zwodniczej poświacie mokrego piachu i blasku gwiazd. Rzuciłem walizkę przed siebie, a on położył na niej ręce, przyciskając ją do siebie i wciągając za sobą

w grzęzawisko.

– To na nic, panie Charlie – powiedział w końcu. – Zapadłem się po pachy i już ledwie dycham.

Jego głos brzmiał jak jakaś straszliwa parodia.

Z tyłu – nie tak daleko – rozległ się rytmiczny odgłos kroków na mokrym piasku.

– Panie Charlie, niech pan ucieka!

– Chryste, Jock, za kogo ty mnie masz?

– Niech pan nie będzie głupi – wydyszał. – Proszę mnie zostawić. Ale najpierw niech pan coś dla mnie zrobi. No wie pan. Nie chcę tak umierać. To może potrwać jeszcze pół godziny. No dalej, do roboty.

– Boże, Jock – jęknąłem z odrazą.

– Dalej, stary przyjacielu. Niech się pan nie ociąga.

Podniosłem się z przerażeniem. Ale nie mogłem dłużej słuchać odgłosów, które wydawał, więc stanąłem lewą nogą na walizce, a prawą postawiłem na jego głowie, wbijając ją w grzęzawisko. Wciąż wydawał okropne dźwięki, lecz jakoś nie zagłębiał się w bagnie. Stąpałem po nim szaleńczo, aż w końcu ucichł, a wtedy wydobyłem walizkę i ruszyłem z powrotem, płacząc z przerażenia, ze zgrozy i z rozpacz.

Usłyszawszy plusk pod stopami, domyśliłem się, gdzie jestem, i rzuciłem się do wody, nie patrząc, czy to właściwe miejsce do przeprawy, czy nie. Przepłynąłem kanał, wyszedłem na brzeg, zostawiając but w błocie – dzięki Bogu, ten but – i pobiegłem na północ, czując, że każdy oddech rozrywa mi tchawicę. W końcu padłem

i nie mogłem się podnieść. Z tyłu i po lewej stronie widziałem światła latarek; może jeden z nich poszedł śladem Jocka – nie wiem, to zresztą nieważne. Kopnięciem strąciłem z nogi drugi but i znowu rzuciłem się do biegu, przeklinając i płacząc, aż wpadłem na pozostałości falochronu w Jenny Brown's Point.

Tam pozbierałem się trochę, usiadłem na walizce i próbowałem zastanowić się spokojnie, powoli oswajając się z tym, co się stało. Nie... z tym, co zrobiłem. I robię dalej. Zaczął padać lekki deszcz, więc zwróciłem ku niemu twarz, żeby zmył z niej gorączkę i zło.

Plecak został w Quicksand Pool, a znajdowało się w nim wszystko, czego potrzeba do przeżycia. Walizka była prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku plików banknotów. Potrzebowałem broni, butów, suchych ubrań, jedzenia, picia, schronienia i – przede wszystkim – dobrego słowa od kogoś, wszystko jedno kogo.

Trzymając się niskich wapiennych klifów z prawej strony, powlokłem się brzegiem prawie milę do Know End Point, gdzie zaczynają się właściwe słone błota – ten dziwny krajobraz z wymywanymi przez morze torfowiskami, kanałami odpływowymi i błyskającymi światełkami, gdzie pasą się najpiękniejsze owce w Anglii.

W górze i po prawej stronie paliły się światła w domkach poczciwych mieszkańców Silverdale.

Zazdrościłem im straszliwie. To tacy ludzie jak oni posiadli sekret szczęścia, poznali sztukę życia, zawsze ją znali. Szczęście to renta albo udziały w towarzystwie budowlanym, to dożywotnia pensja i niebieskie hortensje, wspaniałe bystre wnuki i przynależność do komitetu, efekty kilku lat pracy w ogrodzie warzywnym i bycie żywym, dobra forma z kolejną dziesiątką na karku i podwójne szyby w oknach, siedzenie przy kominku i wspomnianie czasów, kiedy powiedziało się kierownikowi, żeby się odczepił, i gdy Doris...

Szczęście to łatwizna. Nie wiem, dlaczego tylu ludzi nie chce po nie sięgnąć.

Przemknąłem się drogą prowadzącą na brzeg. Spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że jest dwudziesta trzecia czterdzieści. Był piątek, więc pora sprzedaży alkoholu skończyła się o jedenastej, do tego z dziesięć minut na dopicie drinków i – powiedzmy – drugie tyle na pozbycie się uciążliwych klientów. Moje przemoczone i podarte skarpetki cicho mlaskały na chodniku. Przed hotelem nie stały żadne samochody, we frontowej części budynku nie paliły się żadne światła. Trzęsąc się z zimna, z szoku i nadziei na ratunek, powlokłem się przez mroczny parking pod hotel i skręciłem za róg, żeby podkraść się pod kuchenne okno.

Zobaczyłem przez nie gospodarza czy też właściciela, jak woli być nazywany. Stał niedaleko drzwi kuchennych, w szpetnym starym kapeluszu, który

wkładał do prac w piwnicy, i miał jak zwykle minę sędziego stosującego najwyższy wymiar kary. Przez jakieś dwadzieścia pięć lat niechętnym okiem obserwował moją karierę i nie był pod jej szczególnym wrażeniem.

Otworzył drzwi i rzucił mi obojętne spojrzenie.

– Dobry wieczór, panie Mortdecai – powiedział. – Trochę pan schudł.

– Harry – wybełkotałem – musisz mi pomóc. Proszę.

– Panie Mortdecai, ostatni raz nakłaniał mnie pan do sprzedaży alkoholu po godzinach w pięćdziesiątym szóstym roku. Odpowiedź nadal brzmi „nie”.

– Nie, Harry, naprawdę. Mam poważne kłopoty.

– Zgadza się, proszę pana.

– Co?

– Powiedziałem: „Zgadza się, proszę pana”.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że wczorajszego wieczoru pytali o pańskie miejsce pobytu dwaj dżentelmeni, którzy twierdzili, że są funkcjonariuszami wydziału specjalnego. Byli bardzo grzeczni, ale poproszeni o okazanie stosownych dokumentów, odmówili. – To był jego zwyczajny ton.

Nie powiedziałem nic więcej, tylko popatrzyłem na niego błagalnie. Nie uśmiechnął się, ale jego spojrzenie chyba nieco złagodniało.

– Lepiej niech pan stąd idzie, panie Mortdecai, bo inaczej zakłóci mi pan ustalony porządek rzeczy

i jeszcze zapomnę zaryglować bramę do ogrodu albo co.

– Dobrze. Cóż, dziękuję, Harry. Dobranoc.

– Dobranoc, Charlie.

Cofnąłem się w cień kortu do squasha i przykucnąłem w deszczu sam na sam ze swoimi myślami. Powiedział do mnie „Charlie”, jak nigdy wcześniej. Niesamowite, to było dobre słowo. A Jock na końcu nazwał mnie „starym przyjacielem”.

Kolejno zgasły wszystkie światła w hotelu. Zegar kościelny głucho jak zwykle wybił wpół do pierwszej, a wtedy ukradkiem okrążyłem budynek, przebiegłem przez skalne zbocze i szarpnąłem bramę ogrodową. Ktoś niefrasobliwie zapomniał ją zaryglować. Dzięki temu trafiłem do słonecznego saloniku z dwiema wypłowiałymi sofami. Ściągnąłem przemoczone ubranie, rozłożyłem je na jednej sofie, a sam z pomrukiem ległem na drugiej. Gdy wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegłem kilka rzeczy na stoliku między kanapami. Ktoś niefrasobliwie zostawił tam ciepły stary płaszcz, wełniane ubrania i ręcznik, a także bochenek chleba, trzy ćwiartki zimnego kurczaka, czterdzieści papierosów Embassy z filtrem, butelkę whisky Teacher’s i parę tenisówek. To zdumiewające, jak beztroscy bywają niektórzy hotelarze, nic dziwnego, że stale się skarżą.

Musiała być czwarta nad ranem, kiedy opuszczałem salonik. Wzeszedł księżyc i po niebie szybko mknęły

światliste chmury. Okrążyłem hotel i znalazłem za nim ścieżkę biegnącą przez Lots – dziwnie ukształtowane wapienne wzgórza porośnięte sprężystym torfem. Przestraszyłem na śmierć jałówki Burrowsa, kiedy wszedłem pomiędzy nie w ciemności. Stamtąd jest już tylko kilkaset stóp do Cove, gdzie kiedyś żaglowce z Furness wyładowywały rudę żelaza przeznaczoną do pieców w Leighton Beck. Teraz, gdy kanały zmieniły bieg, ten obszar zamienił się w torfowisko, dwa–trzy razy w miesiącu zalewane na wysokość kilku cali wodą morską.

Ale co ważniejsze, w klifie, pod wieńczącym je występem skalnym nadgryzionym przez pnąca, znajduje się jaskinia. To nieprzyjazne miejsce, nawet dzieci boją się tam zapuszczać. Podobno na końcu jest nagły spadek, niezgłębiona jama. Gdy tam zszedłem, świt na wschodzie nieśmiało dawał już o sobie znać.

Z wyczerpania spałem aż do południa, potem zjadłem trochę chleba i kawałek kurczaka, popijając whisky. Później znowu zasnąłem. Wiedziałem, że sny nie będą przyjemne, ale myśli po przebudzeniu okazały się jeszcze gorsze. Oprzytomniałem późnym popołudniem.

Mrok szybko zapada. Gdy nadejdzie noc, odwiedzę brata.

Dokładnie mówiąc, wymknąłem się z jaskini po północy, już w niedzielę, i pod osłoną ciemności udałem się do wsi. Ostatni odbiornik telewizyjny został

niechętnie wyłączony, ostatnie psisko wyprowadzone na ostatnie siku, ostatnia filiżanka kakao zaparzona i wypita. Cove Road wyglądała jak dobrze utrzymany grób: mężowie i żony leżeli obok siebie, śniąc o przeszłych ekscesach i przyszłych kawowych porankach, i ani drgnęli, więc trudno było uwierzyć, że tam są. Przejechał samochód prowadzony z ostrożną rozwagą pijanego kierowcy. Skryłem się w mroku, dopóki mnie nie minął. Kot otarł się o moją prawą nogę. Jeszcze kilka dni temu kopnąłbym go bez skrupułów, ale teraz nie mogłem kopnąć nawet własnego brata. Nie tą nogą.

Mruczek szedł za mną Walling's Lane, miaucząc nieustannie, ale na widok białego kocura, który siedział pod żywopłotem niczym duch Dicka Turpina, podkulił ogon. W Yewbarrow paliły się światła i zza drzew dochodziły strzępy jazzu nowoorleańskiego – stary Bon pewnie siadał do całonocnej gry w pokera podlewanej whisky. Kiedy na Silver Ridge skręciłem w prawo, rozległo się jeszcze jedno krótkie, niskie szczeknięcie dobiegające z St. Bernard, a potem zapanowała całkowita cisza, przerywana jedynie szeptem moich stóp na Elmslack. Ktoś palił śmieci w ogrodzie i w powietrzu unosił się upiorny smród – był to jeden z najbardziej przejmujących zapachów na świecie, ohydny i zarazem swojski.

Zszedłszy z drogi, ruszyłem ledwie widoczną ścieżką, która prowadzi na tyłu Woodfields Hall, siedziby



Robina, drugiego barona Mortdecai et cetera. Na Boga, cóż za imię! Mój brat urodził się na krótko przed Wielką Wojną; w tamtym dziesięcioleciu było *de rigueur* nadać synowi imię Robin, a moja matka należała do bezwzględnie *de rigueur*, każdy wam to powie.

Nawet byście się nie domyślili, gdzie piszę te słowa. Z kolanami podciągniętymi pod brodę siedzę na sedesie z dzieciństwa w skrzydle domu mego brata mieszczącym pokoje dziecięce. Miejsce to przywołuje szczęśliwsze dla mnie wspomnienia niż reszta budynku, w którym panuje duch chciwości i chronicznej zawiści mojego ojca, gorzkiego żalu matki, że poślubiła takiego niemożliwego łajdaka, i rosnącego wstrętu brata do wszystkich i każdego z osobna. Nie wyłączając samego siebie. A zwłaszcza mnie – nawet nie splunąłby mi w twarz, chyba że mógłby to uczynić żrącym kwasem.

Obok mnie na ścianie wisi rolka miękkiego różowego papieru toaletowego. Nasza niania nigdy by na coś takiego nie pozwoliła; wyznawała spartańskie zasady dotyczące podcierania dzieci z wyższych klas, więc musieliśmy używać staroświeckiego, ostrego papieru ściernego.

Przed chwilą byłem w swoim dawnym pokoju, który wciąż czeka na mnie spokojnie, taki sam jak przed laty. Mój brat bardzo lubi uderzać w takie fałszywe tony. Mawia często: „Pamiętaj, że to zawsze będzie twój dom, Charlie”, a potem czeka, żeby zebrało mi się na mdłości. Obmacawszy deski podłogowe, znalazłem pod nimi

dużą paczkę owiniętą natłuszczonym płótnem, w której znajdował się mój pierwszy i ulubiony rewolwer, policyjny i wojskowy model Smith and Wesson kalibru 455 z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku – najpiękniejszy ciężki rewolwer, jaki kiedykolwiek stworzono. Kilka lat temu, zanim nabrałem upodobania do whisky i sportów we wnętrzach, potrafiłem dokonywać naprawdę imponujących wyczynów, strzelając z tej broni do karty do gry z odległości dwudziestu kroków, i jestem pewien, że nadal trafiłbym przy dobrym świetle w większy cel. Powiedzmy, w Martlanda.

Jest także pudełko z wojskową amunicją do rewolweru – niklowaną, więc bardzo głośną – i pociskami ze zwykłego ołowiu, ręcznie ładowanymi, z mniejszą zawartością prochu, jednak znacznie przydatniejszymi do tego celu, który mam na myśli. Oczywiście nie wolno by mi było użyć tego na wojnie; taka miękka kula z ołowiu, miło mi to powiedzieć, potrafi dokonać strasznych rzeczy.

Dokończę butelkę whisky, zerkając ze strachem ku drzwiom, jakby dawno zmarła niania mogła mnie przyłapać, a potem zejść na dół i złożyć bratu wizytę. Nie powiem mu, jak dostałem się do domu. Niech się tym gryzie, zawsze niepokoją go takie sprawy. Nie mam zamiaru go zabić, byłby to z mojej strony niewybaczalny brak umiaru. Pewnie i tak wyświadczyłbym mu przysługę, a choć jestem mu

winien wiele rzeczy, to nie ma wśród nich przysług.

„Zwałem go bratem, Anglikiem i przyjacielem!”–29

Wszedłem po cichu do biblioteki. Mój brat Robin siedział odwrócony do mnie plecami, pisząc skrzypiącym piórem swoje pamiętniki. Nie oglądając się za siebie ani nie przestając pisać, powiedział:

– Witaj, Charlie. Nie słyszałem, żeby ktoś cię wpuścił...

– Spodziewałeś się mnie, Robinie?

– Wszyscy inni pukają przed wejściem. – Przerwa. –

Miałaś jakieś kłopoty z psami, gdy szedłeś przed kuchenny ogród?

– Posłuchaj, te twoje psy nie są warte funta kłaków. Gdybym był włamywaczem, jeszcze pottrzymałyby mi latarkę.

– Pewnie chcesz się napić – rzucił obojętnym głosem, obraźliwie.

– Dzięki, już z tym skończyłem.

Oderwał się od pisania i odwrócił. Niespiesznie obrzucił mnie niemal pieszczotliwym spojrzeniem.

– Idziesz zapolować na szczury? – zapytał w końcu.

– Nie, dziś w nocy nie, niepotrzebnie się martwisz.

– Zjesz coś?

– Tak, chętnie. Nie teraz – dodałem, gdy sięgnął do dzwonka. – Sam sobie wezmę, ale potem. Powiedz mi, kto ostatnio o mnie wypytywał.

– Tego roku dziwki z dziećmi na rękach jakoś nie. Tylko dwóch pajaców z jakiegoś tajemniczego wydziału Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nie pytałem, czego chcą. A, i jeszcze jakaś baba o zaciętej twarzy, która mówiła, że słyszano o tobie w Silverdale, i chciała cię prosić, byś wystąpił na spotkaniu Towarzystwa Rytowniczego Pań z Lakeland czy coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. I co im powiedziałaś?

– Że z tego, co wiem, jesteś w Ameryce. Dobrze zrobiłem?

– Tak, Robinie, dobrze. Dzięki.

Nie spytałem, skąd wiedział, że byłem w Ameryce. I tak by mi tego nie zdradził, a w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Poświęcił część swojego cennego czasu, aby śledzić moje poczynania, w nadziei, że pewnego dnia stworzę mu sposobność. Taki już jest.

– Robinie, mam robotę rządową i mogę wyjawić ci jedynie to, że muszę dostać się dyskretnie do Lake District i ukryć na kilka dni... dlatego potrzebuję kilku rzeczy. Śpiwora, trochę żywności w konserwach, rower, latarki, baterii i tak dalej.

Widziałem, że się zastanawia, ilu z tych rzeczy może rzekomo nie mieć. Rozpiąłem płaszcz, który się rozchylił; kolba smitha and wessona wystawała mi zza pasa jak psia łapa.

– Dobrze – odparł kordialnie – zobaczymy, co uda się skombinować.

W końcu skombinowaliśmy wszystko, chociaż

musiałem mu przypominać, gdzie mogą być niektóre rzeczy. Wziąłem także szczegółową mapę sztabową Lake District, żeby przydać wiarygodności swojej bajeczce, oraz dwie butelki whisky Black Label.

– Myślałem, że z tym skończyłeś, braciszku.

– To tylko do dezynfekcji ran – wyjaśniłem uprzejmie.

Zabrałem także butelkę terpentyny. Wy, bystrzy czytelnicy, domyślcie się po co, ale on był zaintrygowany.

– Posłuchaj – powiedziałem, wychodząc – proszę, nie mów nikomu... ale to nikomu... że tu byłem ani dokąd się wybieram, dobrze?

– Oczywiście – odrzekł serdecznie, patrząc mi prosto w oczy i pokazując cały swój fałsz. Czekałem, co będzie dalej.

– I, Charlie...

– Tak – odparłem z kamienną twarzą.

– Pamiętaj, że to zawsze będzie twój dom.

– Dzięki, staruszkule – skwitowałem szorstko.

Jak gdzieś napisał Hemingway: nawet gdy nauczysz się już nie odpowiadać na listy, rodzina wciąż może ci zagrozić na różne sposoby.

Obładowany sprzętem skautowskim, popedałowałem chwiejnie w stronę cmentarza, potem Bottom's Lane, w Green skręciłem w lewo i okrążając Leighton Moss, dojechałem do Crag Foot. Z obawy przed psami cicho przeprowadziłem rower obok farmy i lawirując

podziurawioną drogą, dotarłem do samego Crag.

Crag to rodzaj wapiennego wypiętrzenia w kształcie grani, bogatego w minerały i usianego szczelinami czy też wyźłobieniami, jak nazywa się je w okolicy. Zajmuje według mapy milę kwadratową (odchylenie standardowe 47 : 49,73), ale wydaje się znacznie większe, kiedy człowiek próbuje się w nim odnaleźć. To tutaj dwieście lat temu grasował straszliwy Trójpalczasty Jack, lustrując przez lunetę moczary w poszukiwaniu bezbronnych podróżnych, których kości spoczywają dziś na głębokości półtora sążnia pod powierzchnią ziemi, użyźniając zachłanne piaski zatoki Morecambe. (Och, Jock, „nie wstrząsaj ku mnie tak groźnie swymi skrwawionymi włosy!” [30](#))

W Crag pełno jest rozmaitych szczelin i zagłębień, jak Dog Hole, Fairy Hole, Badger Hole – z których wszystkie kryją stare kości i różne narzędzia – zapomnianych szybów, w których dawniej wydobywano minerały, fundamentów prastarych kamiennych chat i umocnień obronnych wznoszonych jeszcze przez starożytnych Brytów. To doskonałe miejsce, żeby złamać sobie nogę, nawet kłusownicy nie śmia zapuszczać się tam nocą. Obszar ten otaczają z jednej strony słone bagna i morze, a z drugiej Leighton Hall ze swą posępną gotycką urodą. Po prawej można zobaczyć rozciągające się w dole Leighton Moss, które stanowi schronienie dzikiego ptactwa, a po lewej – pustkowie Carnforth.

Dawno temu wydobywano tu wspaniały surowiec, jakim jest miedź, ale ja zmierzałem do kopalni pewnego pigmentu. A konkretnie tlenku żelaza. Wydobyć tlenku żelaza i ochry, dających czerwony barwnik, było tu kiedyś bardzo rozwiniętą gałęzią przemysłu i opuszczone szyby wciąż ronią czerwone łzy, co wygląda naprawdę wulgarnie o zachodzie słońca. Dopiero po godzinie znalazłem najlepiej zapamiętany szyb. Prowadzi on ostro w dół na odcinku jakichś dziesięciu stóp, wydaje się bardzo wilgotny i czerwony, ale potem biegnie poziomo, skręca ostro w prawo i staje się całkiem suchy i przestronny. Wejście do niego zasłania życzliwie jeżyna, więc nie miałem łatwego zadania, aby dostać się do środka.

## 19

Starannie zatem obmyśliłem, jak  
Nareszcie zgiąć mu kark.  
Dokoła wszystkich jego marnych schronień  
Rozniecę wielki płomień.  
Niech się huk gromów zmiesza z dymem czarnym,  
Idącym z mych kopalni.  
Aż spojrzę z góry, aby się po wszystkim  
Nacieszyć widowiskiem.

*Instans Tyrannus, przeł. Grzegorz Uzdański*

### *Szczyście ma kształt gruszki*

„Rozegrać coś na kształt gruszki” było ulubionym powiedzeniem Jocka, oznaczało, jak się zdaje, że należy sprytnie odwrócić sytuację na swoją korzyść, spożytkować okazję, kombinować.

Tak więc nowy, sprytny gruszkowaty Mortdecai obudził się w południe i tego dnia sam sobie zaparzył herbatę na małej turystycznej butli z gazem. Z całkiem dobrym skutkiem. Co ty na to, Kicie Carson? Albo raczej Jimie Bridger!

Popijając herbatę, próbowałem dokładnie przeanalizować sytuację, a zwłaszcza znaleźć jej ukryte



zalety, ale daremnie – bo niedzielne popołudnie ma dla niektórych z nas szczególne znaczenie, to pora, gdy otwierają puby. Myśl o tych szczęśliwych pijakach, siedzących teraz z brzuchem przy barze w Silverdale i Warton, zagłuszała w mojej głowie wszystkie inne refleksje w kształcie gruszki. To prawda, dysponowałem whisky, ale dwunasta w niedzielę to uświęcona pora butelkowanego piwa. Miałem nieodpartą ochotę strzelić sobie jedno.

Przez cały dzień na terenie Crag nie było żywej duszy. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tkwią w pubach, pijąc butelkowane piwo, podczas gdy mogliby za darmo cieszyć się świeżym powietrzem i piękną scenerią. Nie widać nawet biwakowiczów, których krzykliwe namioty i gustowne pastelowe przyczepy kempingowe szpecą krajobraz tu i tam niczym zęby smoka. Pewnie zasiedli przed przenośnymi telewizorkami i wiodą proste życie, oglądając programy przyrodnicze, Bóg z nimi. Jutro większość z nich powróci do Bradford, będzie opowiadać z dumą o swoich pionierskich czynach i porównywać z innymi ukąszenia komarów.

Rozebrałem rower na części i złożyłem je wszystkie w szybie. Zszedłem także do lodowatego strumyka, który płynie miniaturowym kanionem między dwiema wielkimi płytami wapienia. Umyłem się cały, piszcząc z zimna, i nawet napiłem się trochę wody. Była pyszna, ale po powrocie na górę musiałem pociągnąć parę łyków whisky, żeby zabić jej smak. W moim wieku

hydropatia? Jeśli już, to raczej hydrofobia.

Nad kopalnią znajduje się pewne trudno dostępne miejsce, gdzie nikt nie może się podkraść, aby cię zaskoczyć. Rozpaliłem tam małe, dyskretne ognisko, nad którym grzeje się teraz fasolka w puszcze. Z punktu, w którym siedzę, widzę długi naszyjnik świateł Morecambe – „spójrz, gwiazdy... promiennych prowincji obrotu, pałających pałaców podróże!” [31](#).

### Później

Bardzo lubię „wilgoć i dzikość” [32](#) tego miejsca. Panuje cisza i w pobliżu nie ma żywej duszy. Śpię tu błogo, śniąc niewinne sny, i po każdym przebudzeniu słyszę słodkie wezwanie brodzca krwawodziobego. Nigdy śmierć nie wydawała mi się taka słodka. W grobie nie może być ciemniej i samotniej niż tutaj, ani spokojniej, chyba że wiatr próbuje mnie przestraszyć, poruszając jeżyną u wejścia. Przypomina mi się tylko jedna przejmująca historia o duchach...

(Zakrystian: „Z czego się tak śmiejesz?”

Duch: „To nie jest aż tak śmieszne, by rozbawić dwie osoby” [33](#)).

### Innego dnia – nie wiem już którego

Widziałem dziś rano błotnika, przemierzał porośnięte trzcinałą polacie torfowiska, potem zerwał się do lotu nad

farmą Slackwood i zniknął w lasach Fleagarth. Pojawił się tam nowy namiot, pierwszy, jaki widziałem. Jest w typowym ohydny pomarańczowym kolorze – w czasach mojego dzieciństwa namioty były we właściwych kolorach: khaki, zielonym albo białym. Przyjrzałem się wielbicielom życia na łonie natury przez swoją ornitologiczną lornetkę – Audobons 8,5 x 44 – tatuśkowi o grubym tyłku, szczupłej umięśnionej mamusce i tyczkowatemu, dorosłemu już synkowi. Życzę im udanego końca wakacji, bo zaczął padać deszcz, powściągliwie, ale z determinacją. Lord Alvanley mawiał, że najbardziej lubi siedzieć w oknie swojego klubu i patrzeć, jak ci przekłeci ludzie mokną w deszczu.

Podgrzewam na małej butli gazowej frankfurterki w puszcze. Mam do nich trochę pokrojonego w kromki plastikowego chleba, ale szkoda, że nie pomyślałem o musztardzie i kilku butelkach piwa. Jednak świeże powietrze zaostreza apetyt: zjem jak skaut. „Sklepienie ust, żądzy smaku celo, pożądania jednak wino nie spłucze” [34](#).

### *Tego samego dnia, chyba*

Wykazuję dużą wstrzemięźliwość, jeśli chodzi o whisky; została mi jeszcze jedna i ćwierć butelki tej uroczej rozbójniczki. Kiedy już wszystko wypiję, będę musiał zrobić wypad do miasta i uzupełnić zapasy. Powoli

kończy się też jedzenie, mam jeszcze dwie duże puszkę fasoli, tyle samo peklowanej wołowiny, jedną trzecią pokrojonego bochenka chleba i pięć plasterków bekonu. (Muszę go jeść na surowo, bo zapach smażonego bekonu niesie się przez całe mile, wiedzieliście o tym?) Obawiam się, że miejscowi bogacze stracą w najbliższej przyszłości bażanta czy dwa; nie płoszą się tak łatwo, bo mało kto do nich strzela. To znaczy do bażantów, nie do bogaczy. Przeraza mnie myśl o ich skubaniu i sprawianiu – to znaczy bażantów. Kiedyś mi to nie przeszkadzało, ale teraz mój żołądek stał się bardziej trwożliwy. Po prostu pójdę za przykładem Nabuchodonozora, tego króla trawojada, i będę się paść na łące. (To przynajmniej dobra wiadomość: trawy tu nie brakuje).

### *Mam wrażenie, że wtorek, ale mogę się mylić*

Po porannej lodowatej kąpieli wspiąłem się okrężną drogą na najwyższy wierzchołek Crag, oznaczony na mapie jako „fort”. Daleko w dole widzę należącego do leśniczego land-rovera, który rozpryskując wodę, podskakuje na grobli w drodze do wybiegów dla zwierząt po lewej stronie torfowiska, a także strażnika Towarzystwa Ochrony Ptaków płynącego wolno łódką po Scrape. Ludzie często się dziwią, że na terenie łowieckim istnieje z powodzeniem rezerwat dla ptaków, ale to nie żaden paradoks, bo czy można znaleźć lepsze

miejsce, w którym płochliwy ptak mógłby się rozmnażać, niż dobrze strzeżone łowisko? Polowania odbywają się tam przecież tylko po sezonie rozrodczym, a poważni myśliwi – niemal wszyscy dobrzy przyrodnicy – raczej zastrzelą własną żonę niż rzadkiego ptaka. No dobrze, może czasami zdarza im się przez przypadek ustrzelić rzadkiego ptaka, ale my też czasami strzelamy do własnych żon, i to specjalnie, prawda?

Traktuję ten okres przyczajenia jako rodzaj wakacji, bo jestem pewien, że dobrze mi robi. Przy odrobinie szczęścia moi prześladowcy są już całe mile stąd; szukając mnie, przeczesują Lake District i terroryzują wszystkich, którzy tam biwakują. Może nawet uznali, że zginąłem razem z Jockiem, może rozjechali się już do domów. Gdybym tylko miał kilka butelek piwa, byłbym naprawdę w błogim nastroju.

## Południe

Znowu się łudziłem.

Dziesięć minut temu jak zwykle zlustrowałem teren, a potem ośmieliłem się zapuścić do pustego pionowego szybu, którego używałem jako toalety. Namiot we Fleagarth sprawiał wrażenie opuszczonego, chyba że wszyscy byli w środku i brzydko się bawili. (Kazirodztwo – rozrywka dla całej rodziny?) Podkrađłem się do swojej naturalnej latryny i gdy

dzieliło mnie od niej jakieś trzydzieści jardów, poczułem słodki czekoladowy zapach amerykańskiego tytoniu fajkowego. Rozchyliwszy krzaki jeżyny, zobaczyłem – odwróconego do mnie plecami – wysokiego chudego młodzieńca, który korzystał z mojego wychodka. Właściwie nie korzystał, tylko go oglądał. I oglądał. Miał ostrzyżone po amerykańsku włosy i nosił te niezgrabne bermudy, które bynajmniej nie służą sylwetce. Nie czekałem, żeby się odwrócił – i tak nigdy nie odróżniam jednego Amerykanina od drugiego – tylko się wycofałem i wróciłem po cichu do swojej kopalni pigmentu.

Jestem pewien, że był to jeden z biwakowiczów z Fleagarth, tylko co tam robił? Może to geolog, może nieudolny badacz borsuków, a może tylko idiota, ale na bolesny, mdlący skurcz żołądka nie poradzą żadne hipotezy. Mój brzuch jest przekonany, że w lasach Fleagarth kryje się brygada antymortdecaiowska. Nie ma sensu się zastanawiać, co to za typy – w tym tygodniu chyba bardzo niewielu ludzi nie jest żadnych krwi Mortdecaia.

### Później

„Dość już, dobra pani,  
Dzień jasny minął, zaraz noc zapadnie” [35](#).

Wóz albo przewóz, gra skończona. Od kilku minut obserwuję przez lornetkę między zasiekami z jeżyn całą

bandę z Fleagarth. Ten chudy Amerykanin – o ramionach coraz szerszych za każdym razem, kiedy go widzę – to jeden z pary aktorów, którzy grali komedię w biurze szeryfa w Nowym Meksyku, a może nawet sam pułkownik Blucher, zresztą nieważne, pewnie nie rozróżniają ich nawet własne matki. Znam też chyba tę krzepką kobietę, ona też należy do spisku. Wydaje mi się, że widziałem ją ostatnio, jak paliła papierosa w triumfie heraldzie na Piccadilly Circus, pamiętacie. Na podstawie tego, jak się porusza, powiedziałbym, że jest już po porodzie, ale jeszcze nie zdobyła czarnego pasa w karate.

„Starzej się wraz ze mną – jeśli nadążysz – bo najlepsze jeszcze przed nami” <sup>36</sup>. *Tertium quid*, czyli tatusiek o grubym tyłku, to – pewnie się domyślicie – a tak, Martland. Nie licząc mnie samego, nigdy nie spotkałem kogoś bardziej dojrzałego do śmierci niż on. Nie wiem, dlaczego tak bardzo go nienawidzę, bo nigdy nie wyrządził mi większej krzywdy. Aż do teraz.

Mój popołudniowy rekonesans nie był daleki. Zanim rozchyliłem *porte-cochère* jeżynowego krzaka, dobiegło mnie stapanie bawołów domowych po mokradłach. Był to Martland we własnej osobie, na czworakach, niczym Indianin szukający na ziemi tropu. Wycofałem się po cichu, tłumiąc lekki chichot. Mogłem go zastrzelić na miejscu, byłem tego bliski. Na pewno trafiłbym w wytalkowany przedziałek między jego

tłustymi pośladkami – w końcu i tak dostanie w dupę, dlaczego by więc tego nie przyspieszyć? O, odwróć biodra, co fałszywe przysięgi słodko kłamały synom oficerów w Hailsham College i wszędzie indziej [37](#).

Jednak oszczędzam proch i kulę na czas, kiedy znajdą moją kryjówkę – jeśli znajdą. Strzał ze smitha and wessona w tym wąskim szybie kopalnianym brzmiałby jak huk dwunastki kłusownika i od razu ściągnąłby strażnika leśnego z jego gotowymi do bitki pomagierami, a o tej porze roku nie stawiałbym na Martlanda i spółkę wobec takich sił. Biedny Martland, od czasu wojny nie miał do czynienia z nikim brutalniejszym od strażnika miejskiego.

Teraz wszyscy popijają kakao albo coś innego, siedząc przy wilgotnym, dymiącym ognisku przed swoim namiotem we Fleagarth. Przyjrzałem im się dobrze przez lornetkę i mam pewność, że się nie mylę.

[Co, jeszcze żywy w wieku czterdziestu dwóch lat – taki przystojny szlachetny facet?](#)

No cóż.

Owszem.

Mój rękopis, nafaszerowany odpowiednio banknotami, spoczywa w skrzynce pocztowej w Warton, *en route* do La Maison Spon. Zastanawiam się, czyje oczy przeczytają te ostatnie zapiski, czyje nożyce wytną niektóre informacje, czyja ręką potrze zapałkę, żeby je



spalić. Może tylko twoje oczy, Blucher. Mam nadzieję, że nie twoje, Martland, bo zamierzam zabrać cię ze sobą tam, gdzie idą po śmierci paskudni marszandzi. I nie będziesz trzymać mnie za rękę, nie ma mowy.

Kiedy wróciłem z Warton, wszyscy krążyli w mroku po Crag, to był koszmar. Wyobrażam sobie, że dla nich również. Pamiętam tylko, że wspinałem się, cały drżący, skradałem i myliłem tropy, strzygąc w ciemnościach bolącymi uszami i słysząc więcej, niżby należało; a potem była już tylko bezmyślna panika zrodzona ze świadomości, że się zgubiłem.

Przegrupowałem mentalne siły – niestety, uszczuplone – i zmusiłem się, żeby przycupnąć w zagłębienu, dopóki nie zorientuję się w terenie i nie uspokoję grających jam session nerwów. Kiedy usłyszałem w pobliżu głos, o mało nie zostałem świętej pamięci majorem Dashwoodem „Mad Jackiem” Mortdecaiem, kawalerem Orderu Takiego, Śmakiego i Owakiego, zimną jak lód grzanką spod Ypres.

– Charlie?

Serce podeszło mi do gardła. Przełknąłem je bohatercko raz i drugi. Pospiesznie zamknąłem oczy, czekając na strzał.

– Nie – doszedł mnie szept zza pleców – to ja.

Serce szarpnęło mi się w piersi i zabiło niepewnie, znowu wchodząc powoli w nierówny rytm. Martland i tamta kobieta poszeleścili jeszcze trochę, a potem zeszli cicho po stoku.

Gdzie był Amerykanin? Znowu zapuścił się do mojego wychodka, oto gdzie był. Pewnie zakładał tam ładunek wybuchowy. Chyba usłyszał, że się zbliżam, bo nagle znieruchomiał. Z wielką ostrożnością położyłem się na ziemi i zobaczyłem go – wysoką na osiem stóp sylwetkę na tle nieba. Podniosłem się i bezszelestnie zrobiłem jeden krok w jego stronę, potem drugi. Ku mojemu zaskoczeniu zachowywał się całkiem spokojnie, mściwy stary onanista przygotowujący się do zabicia ofiary. Pistolet został w kopalni pigmentu – może i dobrze. Najpierw kop w klejnoty rodowe, postanowiłem. Potem podcięcie kolana. I wreszcie uderzenie kamieniem w głowę, aż straci przytomność. A jeśli nie uderzenie kamieniem, to cios kolaniem w twarz i złamanie krawędzią dłoni kości gnykowej w gardle. Już nie mogłem się doczekać jego następnego kroku, chociaż z natury nie jest brutalem i gwałtownikiem.

Wykonał następny krok – i spod jego stóp smyrgnął spłoszony samiec bażanta, z całym hałasem i dramatyzmem, hm, spłoszonego samca bażanta. Cóż, jedną z rzeczy, które nie wprawiają w popłoch starego wychowanego na wsi Mortdecaia, jest spłoszony bażant, ale inaczej było z Amerykaninem. Pisnął, podskoczył, uchylił się, przykucnął i wyciągnął jakiś duży podłużny przedmiot, który nie mógł być niczym innym, jak tylko pistoletem maszynowym z tłumikiem. Gdy odłamki roztrzaskanej ciszy złożyły się znowu w jedną całość,

usłyszałem, jak facet dyszy w ciemności. W końcu wstał, schował pistolet i głęboko zawstydzony zbiegł po stoku, w każdym razie taką miałem nadzieję.

Wróciłem do kopalni. Pistolet, jedzenie, walizka i rower na szczęście były na miejscu. Potrzebowałem ich wszystkich... no, może z wyjątkiem roweru.

Ten mały grobowiec ma w sobie coś bezpiecznego i smrodliwie przytulnego. Raczej nie mogę liczyć, że mnie nie wywęszą, ale głębiej pod ziemię już nie zejść. Każdy z nas gdzieś ma swój Stalingrad.

*Ici gît qui, pour avoir trop aimer les gaupes,  
Descendit, jeune encore, au royaume des taupes* [38](#).

W każdym razie ucieczka oznaczałaby teraz tylko wcześniejszą śmierć, w miejscu, które oni wybiorą, a to jakoś nie bardzo mi się podobało. Wolę już zginąć tutaj, gdzie śniłem sny o młodości, później zaś wiele razy podnosiłem bezprawną nogę – by posłużyć się słowami Roberta Burnsa (1759–1796) [39](#).

Nietrudno wam będzie uwierzyć, że od czasu powrotu tutaj, do swojej *oubliette*, pociągnąłem już niejeden łyk wybornej whisky mego brata. Zamierzam pociągnąć ich jeszcze parę, a potem zasięgnąć rady roztropnego snu.

[\*Niewiele później\*](#)

Dlaczego kiedyś tak lubiliśmy życiorysy skazańców

i dlaczego tak wielu z nas żałuje, że zniesiono karę śmierci – otóż dlatego, że zwykli porządni goście jak my po prostu mają wycucie dramatyzmu. Wiemy, że tragedia nie może się zakończyć pięcioma latami więzienia w komfortowych warunkach, z pożyteczną, satysfakcjonującą pracą w więziennej piekarni. Wiemy, że śmierć to jedyne artystyczne zakończenie. Facet, który zadał sobie tyle trudu, żeby udusić żonę, ma prawo do momentu chwały na szubienicy – to zbrodnia kazać mu zaszywać worki z pocztą jak pospolitemu złodziejowi.

Kochamy te historie, opowiadane u stóp szafotu, bo wyzwalają nas od tyranii wulgarnych happy endów w postaci idiotycznych wyroków, cudownych wnucząt, taktownych pytań o składki ubezpieczenia na życie.

[Naprawdę ostatni dzień – rezerwacja biletów na koncerty z możliwością palenia](#)

No dobra, ponieważ pomoc nie przyjdzie, pocałujmy się na pożegnanie i rozstańmy. Coś poszło nie tak. Nie ściągnę pomocy, strzelając z pistoletu, bo dziś chyba pierwszy września, zaczął się sezon polowań na kaczki i już od świtu na torfowisku i wybrzeżu rozbrzmiewa echo ognia z muszkietów.

Martland mnie wytropił. Chyba zawsze wiedziałem, że tak to się skończy. Stał u wejścia do kopalni i zawołał w dół. Nie odpowiedziałem.

– Charlie, wiemy, że tam jesteś, wywąchałem cię, na litość boską! Posłuchaj, Charlie, inni mnie nie słyszą, więc chcę ci dać fory. Powiedz mi, gdzie jest ten przeklęty obraz, i pomóż mi zakończyć sprawę, a ja ci dam jeszcze tę noc. Będziesz mógł uciec.

Chyba nie sądził, że mu uwierzę?

– Charlie, mamy Jocka, on żyje...

Od razu się zorientowałem, że to kłamstwo, i ogarnął mnie gniew, że takie żałosne. Nie pokazując się, wymierzyłem czterystapięćdziesiątkępiątkę w skałę u wylotu szybu i nacisnąłem spust. Huk ogłuszył mnie na chwilę, ale mimo to słyszałem świst wielkiego zniekształconego pocisku, który odbił się rykoszetem i poleciał w stronę Martlanda. Kiedy ten odezwał się znowu, z innego miejsca, w jego głosie było słycać strach i nienawiść.

– Dobrze, Mortdecai. Proponuję inny układ. Powiedz mi, gdzie jest ten przeklęty obraz i gdzie są zdjęcia, a zabiję cię szybko i bez bólu, obiecuję. Na więcej nie możesz liczyć... i nawet jeśli o to chodzi, będziesz musiał mi zaufać. – Ten kawałek wyraźnie mu się podobał.

Strzeliłem znowu, modląc się, żeby ołów oderwał mu twarz. On jednak mówił dalej, próbował mi wytłumaczyć, jak małe mam szanse. Zupełnie nie rozumiał, że spisałem już swoje życie na straty i chciałem jeszcze tylko odebrać mu jego. Z lubością słuchał tych wszystkich, którzy pragnęli widzieć mnie

martwym, poczuwszy od rządu hiszpańskiego po Towarzystwo Przestrzegania Dnia Pańskiego – wręcz pochlebiało mi to, jakiego zamętu narobiłem. A potem odszedł.

Później przez pół godziny strzelali do mnie z pistoletu z tłumikiem, nasłuchując pomiędzy jednym a drugim strzałem okrzyków bólu czy kapitulacji. Kule, świszczące i bzyczące, gdy tak odbijały się od skał, prawie doprowadziły mnie do szaleństwa, ale drasnęła mnie tylko jedna z nich. Nie wiedzieli, czy szyb skręca w prawo, czy w lewo. Ten jeden w miarę celny pocisk rozciął mi skórę na głowie i teraz krew zalewa mi oczy – ależ muszę wyglądać!

Amerikanin próbował mnie wywabić, ale także nie miał mi nic do zaoferowania za informacje i pisemne zeznanie oprócz szybkiej śmierci. Musieli wydobyć rollsa z jego grobu w kanionie, bo wiedział, że Goi nie ma w dachu. Hiszpania ma, jak się zdaje, odnowić traktat z USA w sprawie baz strategicznych sił powietrznych na ich terytorium, ale za każdym razem, gdy Stany jej o tym przypominają, zmienia temat i pyta o Goyę. *Portret księżnej Wellington* – „podobno skradziony na zlecenie obywatela amerykańskiego i przewieziony do USA”. Nie mówiłby mi o tych bazach, gdyby wiedział, że mam jakiegokolwiek szanse na przeżycie, no nie?

Nie chciało mi się odpowiadać, zresztą byłem zajęty terpentyną.

Potem przedstawił mi alternatywną możliwość:

bolesną śmierć. Posłali już po puszkę cyjanku, tego, który stosują tu na króliki i ludzi. Tak więc nie mam co liczyć, że Martland tu zejdzie i mnie zabierze. Sam będę musiał wyjść i oddać się w ich ręce. Ale to już nie ma znaczenia.

Skończyłem robotę z terpentyną. Zmieszana z whisky pięknie rozpuściła podszewkę walizki i teraz księżna Wellington uśmiecha się do mnie ze ściany, świeża i urocza jak w dniu, w którym została namalowana. Niezrównana, naga *duquesa de Wellington*, moja już na zawsze. *Donc Dieu existe.*

Zostało jeszcze wystarczająco dużo whisky, żebym dotrwał do zmroku. Potem – kto mógłby się bać? – wyjdę ze swoim sześciopistoletem jak jakiś zarośnięty bohater z Dzikiego Zachodu. Wiem, że zdołam zabić Martlanda, później któryś z tamtych zabije mnie i „zgasnę jak jasny meteor wśród nocy” <sup>40</sup>, idąc do piekła, gdzie nie ma sztuki, nie ma alkoholu, bo to w końcu historia z morałem. Rozumiecie, prawda?

## Przypisy końcowe

1. Reginald Jeeves – fikcyjna postać z serii popularnych opowiadań i powieści humorystycznych angielskiego pisarza P.G. Wodehouse’a. Archetyp idealnego służącego. Jego nazwisko stało się w języku angielskim synonimem pomocnika zdolnego zaradzić każdemu problemowi (wszystkie przypisy tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Henry Joseph Duveen (1854–1919) – marszand, współzałożyciel firmy Duveen Brothers, także wybitny filatelista. [\[wróć\]](#)
3. Qui non est hodie, cras minus aptus erit (łac.) – cytat z Owidiusza: kto nie jest gotów dziś, jutro będzie gotów jeszcze mniej. [\[wróć\]](#)
4. Odwołanie do piosenki Pippy z Pippa przechodzi Roberta Browninga (przeł. Juliusz Żuławski):  
„Pora roku – wioska,  
Wiosną wczesny dzionek;  
O siódmej poranek;  
Pagórek zroszony –  
Ślimak w igłach sosny;  
W trzepocie skowronek;  
Bóg w niebie schowany –  
Świat jest urządzony”. [\[wróć\]](#)
5. Bohater powieści obyczajowej Christophera Isherwooda Pan Norris się przesiada. [\[wróć\]](#)



6. Margaret Winifred Tarrant (1888–1959) – angielska ilustratorka, głównie książek dla dzieci. [\[wróć\]](#)
7. Mulliner i Hooper – producenci nadwozi rolls-royce’a. [\[wróć\]](#)
8. Bernard Berenson, właśc. Bernhard Walwrożeński (1865–1959) – amerykański historyk sztuki specjalizujący się w renesansie. [\[wróć\]](#)
9. George Edward Cecil Wigg (1900–1983) – brytyjski polityk piastujący stosunkowo niskie stanowiska, ale mający duże zakulisowe wpływy. [\[wróć\]](#)
10. James Francis Durante (1893–1980), znany jako Jimmy albo Schnozzle – amerykański piosenkarz, pianista, komik i aktor. [\[wróć\]](#)
11. Karl Theodore Parker (1895–1992) – historyk sztuki i kurator muzealny. [\[wróć\]](#)
12. Kenneth Grahame, O czym szumią wierzby, przeł. Maria Godlewska. [\[wróć\]](#)
13. Cecil Roberts (ur. 1946) – górnik i przewodniczący związku zawodowego górników w Ameryce. [\[wróć\]](#)
14. William Szekspir, Wieczór Trzech Króli, przeł. Leon Ulrich. [\[wróć\]](#)
15. Bertrand Russell, Małżeństwo i moralność. [\[wróć\]](#)
16. James Elroy Flecker, The Gates of Damascus. [\[wróć\]](#)
17. Si extraordinairement distingué... (franc.) – Nawet jeśli staram się być niezwykle wytworny, kiedy mówię „dzień dobry”, to jakbym powiedział „gówno”. [\[wróć\]](#)
18. John Singleton Mosby zwany Szarym Duchem (1833–1916) – dowódca batalionu kawalerii konfederatów w czasie wojny secesyjnej. [\[wróć\]](#)
19. Cur quis non prandeat hoc est? (łac.) – Czy to powód, żeby się nie posilić? Cytat z Persjusza, poety i satyryka

- rzymskiego. [\[wróć\]](#)
20. Sheridan Le Fanu, An Account of Some Strange Disturbances in Aungier Street. [\[wróć\]](#)
  21. Robert Browning, Sir Roland pod mroczną wieżą stanął, przeł. Juliusz Żuławski. [\[wróć\]](#)
  22. Percy Bysshe Shelley, Oda do wiatru zachodniego, przeł. Jan Kasprówicz. [\[wróć\]](#)
  23. Henry Wotton (1568–1639) – angielski dyplomata i poeta. W latach 1589–1595 roku przebywał za granicą, być może zajmując się też pracą wywiadowczą w służbie hrabiego Essexa, którego sekretarzem został po powrocie do Anglii. [\[wróć\]](#)
  24. Słowa Alexandra Smitha. [\[wróć\]](#)
  25. Ferdinando Galiani (1728–1787) – włoski ekonomista, polityk i duchowny, zwolennik merkantylizmu. [\[wróć\]](#)
  26. Alfred Leslie Rowse (1903–1997) – znany jako A.L. Rowse, brytyjski pisarz i historyk. [\[wróć\]](#)
  27. Charles Wolf, The Burial of Sir John Moore after Corunna. [\[wróć\]](#)
  28. Wilfred Owen, Anthem for Doomed Youth. [\[wróć\]](#)
  29. William Wordsworth, The Prelude. [\[wróć\]](#)
  30. William Szekspir, Makbet, przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
  31. Gerard Manley Hopkins, Gwiazdzista noc, przeł. Stanisław Barańczak. [\[wróć\]](#)
  32. Robert Browning, Inversnaid, przeł. Stanisław Barańczak. [\[wróć\]](#)
  33. Sheridan Le Fanu, Madam Crawl's Ghost and the Sexton. [\[wróć\]](#)
  34. Gerard Manley Hopkins, The Habit of Perfection. [\[wróć\]](#)
  35. William Szekspir, Antoniusz i Kleopatra, przeł. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski. [\[wróć\]](#)

36. Robert Browning, Rabbi Ben Ezra. [\[wróć\]](#)
37. Trawestacja Szekspirowskiej Miarki za miarkę w przekładzie Leona Ulricha. [\[wróć\]](#)
38. „Tu spoczywa ten, kto zbyt kochając swe dziwki, wciąż młody poeta, zstępuje do królestwa kreta”. Baudelaire, Epitaphe pour lui-même. [\[wróć\]](#)
39. Holly Willie’s Prayer. [\[wróć\]](#)
40. William Szekspir, Sławna historia życia Henryka VIII, przeł. Leon Ulrich. [\[wróć\]](#)

# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Od tłumaczki](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[Przypisy końcowe](#)